



WATERLOO
KTO NAPRAWDĘ
WYGRAŁ TĘ
BITWĘ?

NIEDOSZŁY OBRÓŃCA POLSKIEGO NIEBA

DIALOG
JANA PAWŁA II
Z MICHAŁEM ANIOŁEM

Nr 1-2 (92-93)
STYCZEŃ-LUTY 2021
CENA: 9,90 zł (w tym 8% VAT)

W
SIECI

MAGAZYN O POLSCE,
HISTORII I KULTURZE

WIEK NASZEJ WALUTY

Polski Złoty

CENNIJSZY
NIŻ DOLARY

INDEKS 297127 ISSN: 2300-6803

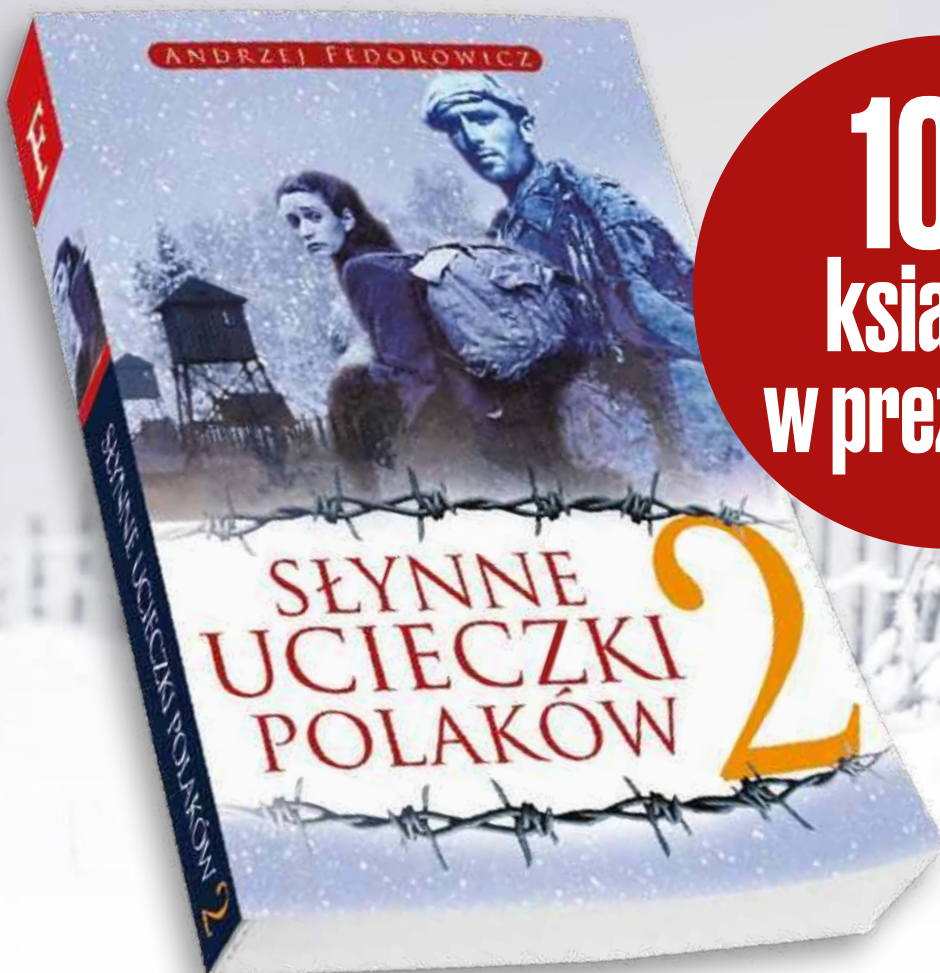


9 772300 680107

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

SIECI

**wSIECI
HISTORII**



**100
książek
w prezencie**

Piękna książka
o polskiej potrzebie
wolności

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 36 00 | prenumerata@fratria.pl | www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

ZAMÓW ROCZNĄ PRENUMERATĘ PAKIETU:

tygodnika **SIECI** i magazynu **wSIECI HISTORII** za **280 zł**,
a książkę **Słynne ucieczki Polaków 2** otrzymasz **GRATIS!**



Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

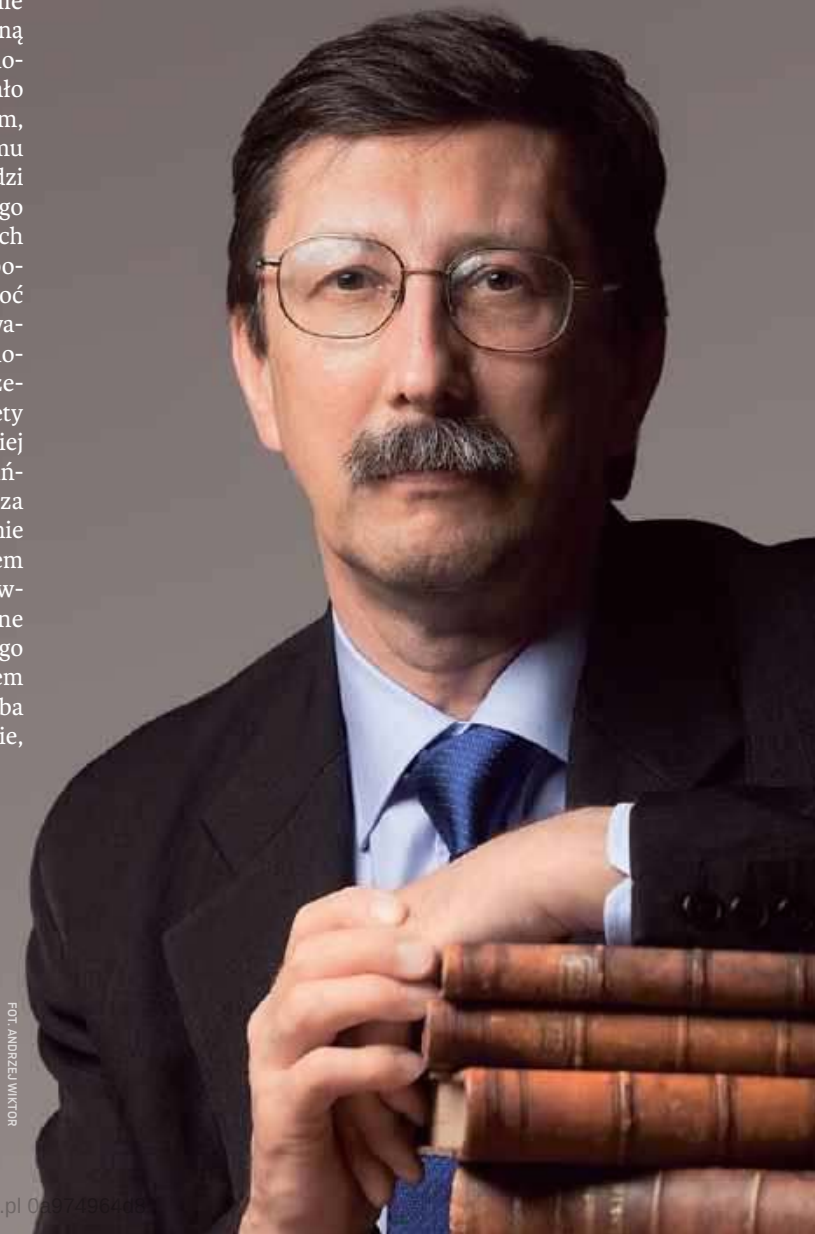
Z PIENIĘDZMI W KIESZENI

Tematem miesiąca jest tym razem pieniądź, tradycyjny. A zatem banknot i moneta. Zajmujemy się szczególnie wiekiem XX, w którym odbyła się na terytorium państwa polskiego niejedna zmiana waluty, niejedna denominacja i niejedna reforma monetarna. Tę niezwykłą historię można zobaczyć w Centrum Pieniądza Narodowego Banku Polskiego. Można by, gdyby nie pandemia. Jest to jedno z ciekawszych muzeów w Warszawie, do którego przybywali gremialnie uczniowie ze szkół powszechnych, ale nie tylko. Także miłośnicy kolekcjonerstwa. Jedną z ważnych funkcji NBP pozostaje bowiem wybijanie monet (głównie) i banknotów. Od kilku lat jestem przewodniczącym specjalnej Rady Numizmatycznej przy prezesie NBP, w której skład wchodzi m.in. wybitni historycy: Andrzej Nowak, Wojciech Roszkowski, Antoni Dudek i Zbigniew Stawrowski. Także Robert Szydlik, znany heraldyk. Naszym zadaniem jest m.in. przygotowanie zestawu monet na kolejne lata, na ogół zgodnie z ważnymi rocznicami historycznymi. Jednocześnie proponujemy także serie monet, z których warto wymienić jedną – w związku z obecnym numerem pisma – czyli „Polscy ekonomiści”. Nie przez przypadek w pierwszej kolejności NBP wydało monety dedykowane Władysławowi i Stanisławowi Grabskim, Stanisławowi Głębińskiemu czy też Romanowi Rybarskiemu (o którym zamieszczamy artykuł w tym numerze). Tych ludzi łączy dwie cechy. Z jednej strony należeli do szeroko pojętego obozu narodowego, tak przed I wojną światową, jak i w latach II RP. Byli wybitnymi postaciami życia publicznego, w tym politycznego. Z drugiej strony niewielu Polaków o tym wie, choć być może zna ich nazwiska. Wśród szczególnie rozchwytywanych monet znaleźć można serię Ojców Niepodległości – uhonorowaliśmy już chyba wszystkich! Także generałów, z Józefem Hallerem na czele. Dużą popularnością cieszą się monety z wizerunkami Żołnierzy Wyklętych. To jest chyba najbardziej ceniona seria przez samego prezesa NBP prof. Adama Glapińskiego, bo i w jego rodzinie odnajdziemy niezłomnego rycerza Niepodległej. Ja lubię szczególnie także te „lżejsze” historycznie serie, jak choćby wizerunki naszych piosenkarzy, z Czesławem Niemenem na czele, artystów z piękną Heleną Modrzejewską czy też monety prezentujące historyczne zabytki i ważne miejsca kultury narodowej, np. Teatr im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, wybitą w 125-lecie teatru, z pięknym wizerunkiem Stanisława Wyspiańskiego. Za chwilę wyjdą kolejne... Trzeba również nadmienić, że wszystkie monety są piękne wizualnie, zaprojektowane przez wysokiej klasy artystów. Już państwo wiedzą, dlaczego do niniejszego numeru pisma zaprosiliśmy NBP? Oczywiście to jedna z instytucji państwa polskiego, które także prowadzi polską politykę historyczną, czy też pamięci – jak wolą niektórzy.

Kolekcjonerstwo to piękna rzecz, ale i kosztowna. Mam wrażenie, że ta pasja powoli zanika, przynajmniej w takich odsłonach jak kolekcjonerstwo znaczków pocztowych. Chciałbym bardzo zachęcić czytelników, szczególnie młodych, by poddali się tej niewidzialnej sile, która zachęca do historycznego zbieractwa. W domu być może będzie trochę więcej kurzu i na półkach trzeba będzie zrobić w miejsce telewizora trochę więcej przestrzeni na klasyki, ale warto.

Ja w młodości zbierałem znaczki wedle zasady, by zebrać je z jak największej liczby krajów, szczególnie niedostępnych w latach PRL. A więc miałem całą Afrykę, od Egiptu po RPA i Lesotho, także wszystkie zakątki Ameryki Środkowej czy rzecz jasna Indonezję. Moja słabość poriońska, czyli skłonność do teoretycznie bezcelowych wędrówek, została w ten sposób zaspokojona. Może dzięki temu szczególnie od lat 90. XX w. co roku muszę gdzieś pojechać, tak bliżej, jak i dalej od domu. Nie wiem, jak zniosę tę pandemię! Kolekcjonerstwo to zdrowa pasja, a w przypadku monet – może nawet opłacalna. Kto wie?

JAN ŻARYN



HISTORII

10

ZACHOWANIE PAMIĘCI O HISTORII POPRZECZ GROMADZENIE I PRZECHOWYWANIE NUMIZMATÓW ORAZ POKAZYWANIE ICH NA TLE SZERSZEGO KONTEKSTU SPOŁECZNO-GOSPODARCZEGO JEST JEDNYM Z CELÓW NBP – WSKAZUJE ANNA KASPRYSZAK

48

BIOGRAFIA BRONISŁAWA PIŁSUDSKIEGO, BRATA JÓZEFA, TO ISTNA KOPALNIA „SENSACJI”, ALE I WIELU NIEJASNOŚCI. TO ŻYCIORYS NA KILKA FILMÓW CZY KSIĄŻEK – PISZE WALDEMAR CZECHOWSKI

3 GŁOS NACZELNEGO
JAN ŻARYN

TRÓJMORZE

9 MIĘDZYMORZE
EMIGRANTÓW
I OPOZYCYJONISTÓW
PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

TEMAT MIESIĄCA

10 CENTRUM
PIENIĄDZA NBP
ANNA KASPRYSZAK

11 W EPOCE
MARKI
POLSKIEJ
WOJCIECH
ROSZKOWSKI

14 REFORMA WALUTOWA
GRABSKIEGO
WOJCIECH KALWAT

18 PRZYPADKI
FAŁSZERSTW PIENIĘDZY
W II RZECZYPOSPOLITEJ
PAWEŁ GAJEWSKI

20 PIENIĄDZ ODRODZONEJ
RZECZYPOSPOLITEJ
MATEUSZ SORA

22 ZŁODZIEJ
PRZYCHODZI NOCĄ
ANDRZEJ ZAWISTOWSKI

24 ZŁOTY NOWEJ ERY
ANNA BRZYSKA

FELIETONY

17 NIEUDANA RUSYFIKACJA
GRZEGORZ GÓRNY

27 CHŁOPCY DO ZABICIA
MAREK JUREK

61 AMERYKAŃSKA
DEMOKRACJA
ANTONI DUDEK

61 RADY DLA POLITYKÓW
RYSZARD CZARNECKI

65 1952 – ROK
ZAKOŃCZENIA
OKUPACJI JAPONII
PAWEŁ SKIBIŃSKI

87 SKĄD TA FORSA?
GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

98 SILVA RERUM
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

WEHIKUŁ CZASU

28 STYCZEŃ, LUTY
MICHAŁ KOMUDA

SKARBY AGAD

32 EUROPA JAGIELLOŃSKA
JACEK KROCHMAL

TAJEMNICE AAN

34 GŁÓWNY URZĄD
LIKWIDACYJNY –
JAK II RP ŚCIĞAŁA
SWOICH DŁUŻNIKÓW
RAFAŁ KIERZKOWSKI

DAWNO TEMU

36 KTO BYŁ ZWYCIĘZCĄ
POD WATERLOO?
MICHAŁ KARPOWICZ

38 „AKCYJA PAMIĘTNA”
JEGO MOŚCI
PANA STAROSTY
BABIMOJSKIEGO...
BARTOSZ STARĘGOWSKI

DUSZA KONTUSZA

41 WACŁAW I WIKTORYN
WIERZBICCY, LITEWSCY
BISKUPI Z POLSKIM
RODOWODEM
HENRYK LITWIN

ZDARZYŁO SIĘ

44 POWSTANIEC
STYCZNIOWY
I PRZEPowiednia
DLA PIASECZNA
MARCIN RÓŻAŃSKI

WŁADCZYNIĘ

47 ŻONA KRÓLA
ZYGmunTA
AUGUSTA
MAREK BARAŃSKI

ZDARZYŁO SIĘ

48 ŻYCIE I ŚMIERĆ
BRONISŁAWA
PIŁSUDSKIEGO
WALDEMAR CZECHOWSKI

51 NAMIESTNIK
HITLERA NA POMORZU
MACIEJ MACIEJOWSKI

54 „SOLIDNY FUNDAMENT
I OBIECujący KROK”?
PIOTR ŁYSAKOWSKI

58 NORMAN BOEHM –
PRZYJACIEL POLAKÓW
ALEKSANDRA ZIÓŁKOWSKA-BOEHM

Stali współpracownicy:

Marek Barański, Ryszard Czarnecki, Antoni Dudek, Kacper Grochowski, Grzegorz Górny, Marek Jurek, Tomasz Karpowicz, Michał Komuda, Jarosław Kossakowski, Jacek Krochmal, Henryk Litwin, Rafał Łatka, Piotr Mazurek, Joanna Puchalska, Gabriela Sierocińska-Dec, Paweł Skibiński, Andrzej Skwarczyński, Piotr Skwieciński, Piotr Zaremba, Krzysztof Żaryn oraz IPN, MPW, AGAD, AAN i NAC

Współpracownicy:

Jarosław Czuby, Jerzy Dąbrowski, Iza Galicka, Grzegorz Grabski, Adam Hlebowski, Zbigniew Hundert, Michał Janik, Piotr Kardela, Janusz Kotański, Artur Kubaj, s. Małgorzata Krupecka, Sebastian Ligarski, Agnieszka Łuczak, Piotr Łysakowski, Grzegorz Majchrzak, Łukasz Michalski, Waldemar Mierzwa, Wojciech Osiński, Tomasz Panfil, Andrzej R. Potocki, Maria Radożycka-Paoletti, Marcin Schirmer, Ewelina Steczkowska, Grzegorz Szymborski, Krzysztof Tarka, Przemysław Waingartner, Jakub Witczak

Dyrektor artystyczny:

Michał Korsun, michal.korsun@fratria.pl

Studio graficzne:

Andrzej Skwarczyński (kierownik)
andrzej.skwarczyński@fratria.pl,
Projekt graficzny: Michał Korsun
Fotodycja: Anna Łabecka, ania.labecka@fratria.pl,
Obróbka zdjęć: Tomasz Kieras

Wydawca:

Fratria sp. z o.o.
prezes: Romuald Orzet
ul. Legionów 126-128,
81-472 Gdynia
redakcja@fratria.pl, www.fratria.pl

Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.

Prenumerata wydania papierowego:

tel. (22) 616 36 00
www.wsieci.pl
prenumerata@fratria.pl
Regulamin oraz warunki prenumeraty
na stronie www.wsieci.pl
Wpłać za prenumeratę prosimy dokonywać
na konto:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128,
81-472 Gdynia,
w tytule wpłaty wpisując pełne dane
adresowe oraz wysyłki oraz rodzaj prenumeraty
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji
papierowej oraz na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie
www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na
adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl
lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem
Obsługi Klienta pod numerem:
801 800 803 lub 22 717 59 59
– czynne w godzinach 7⁰⁰–18⁰⁰.
Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Dyrektor ds. Rozwoju Biznesu:

Katarzyna Marchewka
katarzyna.marchewka@fratria.pl

Biurowie Reklamy:

reklama@fratria.pl
Paulina Kąkol – paulina.kakol@fratria.pl
Agnieszka Woźniak – agnieszka.wozniak@fratria.pl
Marcin Dąbrowski – marcin.dabrowski@fratria.pl

Kolportaż:

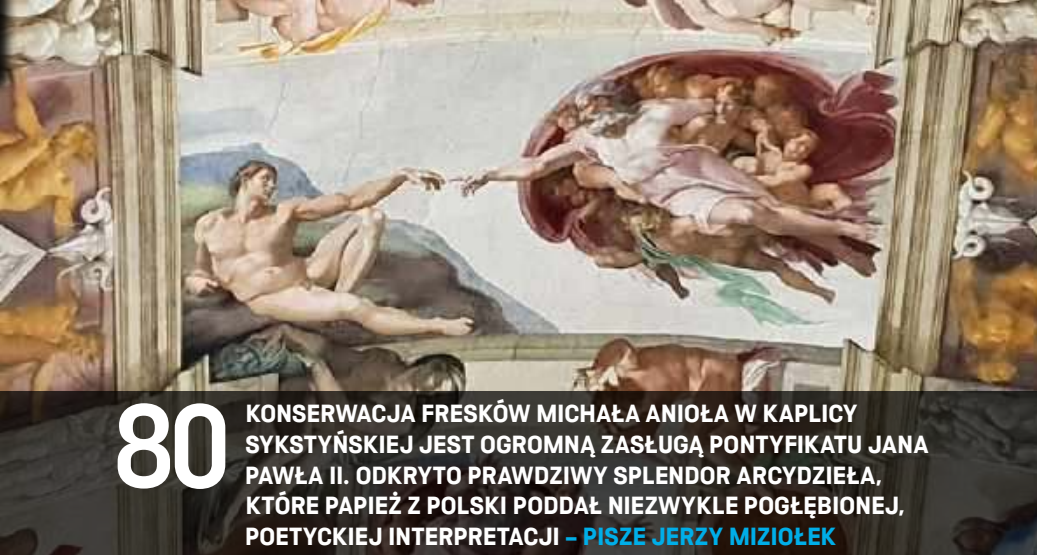
kolportaz@fratria.pl

*Redakcja zastrzega sobie prawo
do redagowania i skracania tekstów.*

*Copyright © Fratria Sp. z o.o.
Wszystkie prawa zastrzeżone
(włącznie z tłumaczeniem na języki obce).
Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Ogłoszenia i reklamy nie stanowią
materiału pochodzącego od Wydawcy.
Bezumowna sprzedaż numerów bieżących
i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej
przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna
i grozi odpowiedzialnością karną.*



OKŁADKA: Projekt: Michał Korsun. Fot.: Andrzej Wiktor, tto
– Artur Bociarski/Shutterstock. Aktoży: Weronika Jaskółka,
Marcin Kwaśny. Charakterystyka: Joanna Wasilewska.
Kostiumy i rekwizyty: Retro-Pasje, Rekwizytoria Prah,
Rekwizytoria. Podziękowania dla pani Joanny Mikiciuk
za Muzeum Motoryzacji i Techniki w Otrębusach za
wypożyczenie samochodu marki Durant.



80

**KONSERWACJA FRESKÓW MICHAŁA ANIOŁA W KAPLICY
SYKSTYŃSKIEJ JEST OGROMNĄ ZASŁUGĄ PONTYFIKATU JANA
PAWŁA II. ODKRYTO PRAWDZIWY SPLENDOR ARCYDZIEŁA,
KTÓRE PAPIEŻ Z POLSKI PODDAŁ NIEZWYKLE POGŁĘBIONEJ,
POETYCKIEJ INTERPRETACJI – PISZE JERZY MIZIOŁEK**

62

**NIE TAKI
ANTYKOMUNISTA...
ROZMOWY SB
Z BP. HENRYKIEM
GULBINOWICZEM CZ. II**

RAFAŁ ŁATKA

IDMN

66

**OPOWIEŚĆ O PROF.
ROMANIE RYBARKIM**

MARTA CYWIŃSKA

68

**WYJĄTKOWE
CZASY WYMAGAJĄ
WYJĄTKOWYCH
POWÓŁAŃ I CNOT...**

MARIUSZ KRZYSZTOFIŃSKI

70

**JAN PAWEŁ II
NIEZAPOMNIANY**

MONIKA JABŁOŃSKA-CHODAKIEWICZ

ZIEMIAŃSTWO

71

**ORŁOWSCY –
OBYWATELE PODOLA
I ARGENTYNY**

JAROSŁAW KOSSAKOWSKI

PRASPORT

74

**TRENER NA
CELOWNIKU SB**

GRZEGORZ MAJCHRZAK

POLONIA

76

**ZAPOMNIANY
EMIGRACYJNY HISTORYK**

KRZYSZTOF TARKA

NARRACJA USPL

78

**FEMINISTYCZNY
GUŁAG CZ. II**

MAREK JAN CHODAKIEWICZ



PEŁNA KULTURA

80

**JANA PAWŁA II DIALOG ZE
SZTUKĄ MICHAŁA ANIOŁA**

JERZY MIZIOŁEK



84

W KRĘGU KLIO

RAFAŁ ŁATKA

86

**RAFAŁ ŁATKA ROZMAWIA
Z DR. DANIEŁEM
GUCEWICZEM**

NAC PREZENTUJE

88

OŁTARZ W MUZEUM

KATARZYNA ZIELIŃSKA

DIABEŁ NIE MÓGŁ

90

**DZIEWCZYNA
Z RYSUNKÓW
GROTTGERA**

JOANNA PUCHALSKA



SZLACHETNE ZDROWIE

92

DUM BIBO...

KRZYSZTOF ŻARYN



Z FOTOARCHIWUM IPN

94

„POJAZD BETLEJEŃSKI”

RADOŚLAW MORAWSKI

CZYM STRZELAĆ

95

**NIEDOSZŁY OBROŃCA
POLSKIEGO NIEBA**

KACPER GROCHOCKI

ZE ZBIORÓW MPW

99

**DZIECIĘCY
NIEŚMIERTELNIK**

KATARZYNA UTRACKA



160. rocznica urodzin Ignacego Jana Paderewskiego

18 listopada przypadła 160. rocznica urodzin Ignacego Jana Paderewskiego, jednego z najbardziej znanych w świecie polskich artystów, a równocześnie wybitnego męża stanu, polityka i dyplomaty. Z tej okazji Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej przygotował serię okolicznościowych inicjatyw upamiętniających jednego ze swoich patronów. Przed siedzibą Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego przy ul. Krakowskie Przedmieście w Warszawie zaprezentowano wystawę plenerową „Ignacy Jan Paderewski. Służyć będę aż do śmierci”, którą IDMN przygotował we współpracy z Narodowym Centrum Kultury oraz Centrum Rozwoju i Edukacji Młodzieży. Instytut zorganizował również filmowo-muzyczną opowieść o jednym z polskich Ojców Niepodległości. Na portalu IDMN odbyła się premiera koncertu online „Paderewski – podróż w czasie”, podczas którego zaprezentowano mało znane epizody z podróży kompozytora oraz jego utwory w wykonaniu Karola Radziwonowicza, Marka Brachy i Barbary Pospieszalskiej – wokalistki wydanej przez Instytut płyty urodzinowej „Paderewski Rock” z aranżacjami Antoniego Wojnara. W dniu urodzin Paderewskiego o rocznicy przypominała także okolicznościowa iluminacja wyświetlana na Pałacu Prezydenckim.



FOT. NAC



FOT. JAKUB KAMIŃSKI/EPAST NEWS

Roman Dmowski patronem warszawskiego Dworca Wschodniego

10 listopada dworzec kolejowy Warszawa Wschodnia otrzymał imię Romana Dmowskiego, jednego z polskich Ojców Niepodległości, przywódcy obozu Narodowej Demokracji. W okolicznościowej uroczystości udział wzięli m.in. wiceminister kultury i dziedzictwa narodowego Jarosław Sellin (w zastępstwie za wicepremiera prof. Piotra Glińskiego), dyrektor IDMN prof. Jan Żaryn, ordynariusz diecezji warszawsko-praskiej bp Romuald Kamiński, marszałek senior Sejmu RP Antoni Macierewicz oraz prezes PKP Krzysztof Mamiński. Inicjatorem upamiętnienia jednego ze swoich patronów był Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej. Wybór Romana Dmowskiego na patrona Dworca Wschodniego wynikał z jego związków z warszawską Pragą, gdzie się urodził (na pobliskim Kamionku), mieszkał przez wiele lat, a także został pochowany (na cmentarzu Bródnowskim).

19. edycja nagrody Kustosz Pamięci Narodowej

25 listopada zostali ogłoszeni laureaci 19. edycji nagrody Kustosz Pamięci Narodowej ustanowionej przez Instytut Pamięci Narodowej. W tym roku nagrodzeni zostali: prezes Towarzystwa Parku im. Henryka Jordana w Krakowie Kazimierz Cholewa, historyk z Tomska zajmujący się pamięcią o Polakach zesłanych na Syberię Wasyl Haniewicz, Komitet Pamięci Gusen oraz – pośmiertnie – rzeźbiarz Andrzej Pityński, a także opozycjonista z czasów PRL i działacz społeczny zaangażowany m.in. w upamiętnianie zbrodni katyńskiej Wojciech Ziemiński. Uroczystości ogłoszenia tegorocznej listy laureatów, w której wziął udział prezes IPN Jarosław Szarek, towarzyszyła prezentacja okolicznościowego albumu, zawierającego biografie wszystkich dotychczasowych oraz tegorocznych laureatów nagrody. Portret zbiorowy „Kustoszy” zawiera sylwetki m.in. prof. Wandy Półtawskiej, gen. Janusza Brochwicz-Lewińskiego „Gryfa”, Juliena Bryana, ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego, Tadeusza Kukiza, Władysława Bartoszewskiego, Kazimierza Piechowskiego, prezydenta RP prof. Lecha Kaczyńskiego, Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej, Związku Polaków na Białorusi oraz Stowarzyszenia „Memoriał”.



FOT. PIOTR GAJEWSKI/IPN



Doroczne Nagrody Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

25 listopada została ogłoszona lista laureatów Dorocznej Nagrody Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, którą prof. Piotr Gliński przyznał w tym roku 21 osobom i dwóm instytucjom. Nagrodę za całokształt twórczości otrzymali aktorzy Katarzyna Łaniewska i Wiesław Gołas oraz dyrygent Kazimierz Kord. W dziedzinie Film nagrodzono reżyser Marię Dłużewską, w kategorii Literatura – poetę i pisarza Wojciecha Wencła, w Muzyce – kompozytora Michała Lorenca, a w zakresie Sztuk Wizualnych – rzeźbiarza Jacka Adamasa. Nagrodę im. Tomasza Merty „Między literaturą a historią” otrzymał historyk prof. Wojciech Roszkowski. W nowej kategorii Ochrona dziedzictwa narodowego wyróżniono akcję pamięci o powstańcach warszawskich BohaterON. „W tym trudnym czasie, w czasie pandemii i kryzysu, który dotknął wielu dziedzin życia społecznego i gospodarczego i odcisnął piętno również na całym sektorze kultury – docenienie ludzi kultury, nagrodzenie ich wieloletniej pracy ma szczególne znaczenie” – podkreślał wicepremier Piotr Gliński, ogłaszając nazwiska tegorocznych laureatów.

Laureaci nagrody Semper Fidelis 2020

3 listopada w Centrum Edukacyjnym Instytutu Pamięci Narodowej im. Janusza Kurtyki „Przystanek Historia” w Warszawie odbyła się uroczystość ogłoszenia laureatów drugiej edycji nagrody Semper Fidelis, ustanowionej przez IPN w celu uhonorowania działalności na rzecz upamiętnienia dziedzictwa Kresów Wschodnich. Spośród 107 zgłoszonych kandydatów do wyróżnienia uhonorowano ostatecznie pięcioro laureatów. Nagrodzeni zostali: duszpasterz z Kamieńca Podolskiego ks. Roman Twaróg (1), biskup senior diecezji kijowsko-żytomierskiej Jan Purwiński (2), nauczyciel historii z Wilna Waldemar Szełkowski (3), małżeństwo dziennikarzy z Grodna (wspólne wyróżnienie)

Iness Todryk-Pisalnik i Andrzej Pisalnik oraz literaturoznawca z Drohobycza prof. Dora Kacnelson (pośmiertnie), która sama o sobie mówiła „Żydówka Wielkiej Polski”. Wyróżnienie prezesa IPN otrzymał poruszający od dawna temat ludobójstwa na Wołyniu pisarz Stanisław Srokowski. Honorowy patronat nad tegoroczną edycją Semper Fidelis objął prezes Rady Ministrów Mateusz Morawiecki.



CO BĘDZIE

102. rocznica wybuchu powstania wielkopolskiego

Z uwagi na sytuację epidemiczną obchody 102. rocznicy rozpoczęcia powstania wielkopolskiego odbędą się głównie w formie zdalnej. W ich ramach na portalu 27grudnia.pl powstaje zbiór życzeń, które można składać Wielkopolsce w formie rysunku, zdjęcia, napisu lub filmu. W życzeniach mile widziane są akcenty patriotyczne, barwy narodowe, kotyliony, emblematy i przypinki oraz wykorzystywanie napisu #POWSTANIEna102. Tegoroczne uroczystości zakładają również zmodyfikowaną wersję powstańczego biegu, wyjątkowo odbywanego indywidualnie, na dystansie 1918 m. Uczestnicy w samotności pokonują trasę, dokumentując ją za pomocą aplikacji biegowej. Na sam dzień rocznicowy planowana jest internetowa premiera wykonania powstańczej pieśni „Marsylianka



Wielkopolska” w nowej aranżacji, która zostanie udostępniona w sieci w wersji karaoke. Więcej informacji o szczegółach

tegorocznych obchodów powstania wielkopolskiego można znaleźć na stronie internetowej: www.27grudnia.pl.

Konferencja naukowa poświęcona Zrzeszeniu WiN

W dniach 15–16 kwietnia 2021 r. w Krośnie odbędzie się Ogólnopolska Konferencja Naukowa „Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość w walce o wolność obywatela i niezawisłość państwa”. Sesja jest organizowana przez Oddziałowe Biuro Badań Historycznych Instytutu Pamięci Narodowej w Rzeszowie w celu upamiętnienia 70. rocznicy mordu sądowego na członkach IV Zarządu Głównego WiN na czele z płk. Łukaszem Cieplińskim. Konferencja będzie okazją do podsumowania stanu badań nad dziejami WiN, spojrzenia na tę organizację w świetle nieznanych dotychczas źródeł oraz zaprezentowania najnowszych ustaleń historycznych. Celem wydarzenia

jest także przypomnienie sylwetek najważniejszych działaczy Zrzeszenia WiN. Wśród poruszanych zagadnień znajdą się m.in.: geneza i okoliczności powstania formacji, stanowisko WiN w sprawie wydarzeń takich jak referendum ludowe z 1946 r. i wybory z 1947 r., działalność delegatury zagranicznej WiN, procesy pokazowe członków formacji czy wpływ Zrzeszenia na postawy i świadomość historyczną Polaków w okresie PRL. Organizatorzy zapraszają do zgłaszania wystąpień na konferencji poprzez e-mail: konferencja-win2021@ipn.gov.pl do 31 grudnia 2020 r. Więcej szczegółowych informacji można znaleźć na stronie: www.ipn.gov.pl.



IX Konkurs Wiedzy Patriotycznej o Romanie Dmowskim

Już po raz dziewiąty odbywa się Konkurs Wiedzy Patriotycznej o Romanie Dmowskim, który w tym roku organizują Fundacja Obowiązek Polski oraz Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej. Inicjatywa jest skierowana do uczniów szkół średnich z całej Polski. Ma promować wśród młodych ludzi postawy patriotyczne, popularyzować historię Polski, a w szczególności przypominać wielki dorobek intelektualny jednego z najwybitniejszych polskich mężów stanu. Udział w konkursie polega na napisaniu eseju na jeden z podanych w regulaminie tematów. Przewidziano atrakcyjne nagrody, m.in. laptopy, tablety i telefony komórkowe. Prace można nadsyłać do 7 stycznia na adres Fundacji Obowiązek Polski, ul. Jurowiecka 56, 15-101 Białystok. Wszelkie szczegóły, w tym regulamin konkursu, są dostępne na stronie internetowej: www.obowiazekpolski.pl. ■



50. rocznica Grudnia '70

W związku z 50. rocznicą pacyfikacji protestów robotniczych na Wybrzeżu przez władze komunistyczne Instytut Pamięi Narodowej zaprasza na okolicznościowe obchody, które w tym roku odbędą się głównie w formule zdalnej. Przygotowane zostaną m.in. smartfonowy spacer historyczny po Trójmieście oraz gra miejska „G-70” z użyciem aplikacji Action Track, quiz na platformie Kahoot, infografiki, debaty on-line. Wśród zaproszonych do zdalnych dyskusji prelegentów znalazł się prof. Padraic Kenney z Indiana University w USA. W sieci oraz w mediach tradycyjnych zostaną wyemitowane filmy edukacyjne dotyczące grudniowych wydarzeń oraz biografii ofiar. Oddział szczeciński IPN przygotowuje z kolei film dokumentalny „Grudzień wasz i nasz” w reżyserii Joanny Pieciukiewicz. Zaplanowano również kampanie outdoorowe na billboardach i citylightach informujące o rocznicy. W Szczecinie na budynku parku Przemysłowego przy ul. Antosiewicza 1 zostanie odsłonięty mural z historycznym hasłem „Stoczniovcy, strajkujemy aż do zwycięstwa”. Oddziały szczecińskiego i gdańskiego IPN przygotowują okolicznościową wystawę „Powstanie grudniowe 1970 r.”. Będzie ona prezentowana m.in. w Elblągu, Gdańsku, Gdyni i Szczecinie. Rys historyczny wydarzeń z 1970 r. można również poznać dzięki portalowi internetowemu www.grudzien70.ipn.gov.pl. ■

Seminaria naukowe IDMN

Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej zaprasza – zwłaszcza studentów, doktorantów, nauczycieli szkolnych – do wzięcia udziału w organizowanych przez siebie seminariach naukowych. Cykliczne wydarzenia odbędą się w miesiącach styczeń–czerwiec 2021 r. Przewidziane są dwa cykle poświęcone ruchowi i myśli katolicko-społecznej wobec wyzwań XIX i XX w. oraz różnorodności obozu i nurtu narodowego w XIX i XX w. W ramach zajęć dla uczestników przewidziane są wykłady oraz konwersatoria przygotowane zarówno przez pracowników Instytutu, jak i osoby z zewnątrz. Wśród wykładowców znajdą się: prof. Jan Żaryn, prof. Paweł Skibiński, prof. Krzysztof Kawalec, prof. Rafał Łatka, ks. prof. Robert Skrzypczak, dr Krzysztof Kawęcki czy Michał Drozdek. Po zakończeniu cyklu spotkań zostanie wystawiony certyfikat ukończenia kursu. Wobec wyzwań pandemicznych i zaleceń rządowych zajęcia prawdopodobnie będą miały jedynie formę online. Do udziału w projekcie można się zgłaszać do 20 grudnia 2020 r. poprzez e-mail: seminaria@idmn.pl. Więcej informacji na stronie: www.idmn.pl ■

„wSieci Historii” w Radiu dla Ciebie...

19 grudnia (sobota) o godz. 13.00 w Radiu dla Ciebie red. Wojciech Marczyk będzie rozmawiał z członkami redakcji miesięcznika. ■



...w Radiu Warszawa...

18 grudnia (piątek) o godz. 9.30 Radio Warszawa oraz magazyn „wSieci Historii” zapraszają na wspólną audycję. Gości Ewy Pietrzak będą członkowie redakcji pisma. ■



...i w radiowej Trójce

Rozmowy, recenzje, felietony, kalendarium historyczne, muzyka, a także co miesiąc prezentacja numeru „wSieci Historii” w programie Marka Stremieckiego „Historie jak z książki”, w radiowej Trójce. W każdy wtorek o godz. 22.05. ■



CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
WSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
pakiet SIECI i WSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania WSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań WSIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

Międzymorze emigrantów i opozycjonistów



**PRZEMYSŁAW
WAINGERTNER**

Po zakończeniu II wojny światowej i upadnięciu „żelaznej kurtyny” sowieckiego zniewolenia nad Polską i Europą Środkowo-Wschodnią, zarówno powrzesniowa emigracja, jak i krajowa opozycja przez dekady poszukiwały odpowiedzi na dwa pytania: o drogę prowadzącą do niepodległości i o przyszły, optymalny dla polskiej racji stanu porządek w regionie.

Odpowiedź na pierwsze z nich w latach 1945–1989 ewoluowała. Początkowo – bezpośrednio po zakończeniu wojny światowej – i na uchodźstwie, i w kraju wierzone w zbrojną interwencję Zachodu, której celem byłoby przywrócenie suwerenności państwu zwasalizowanemu przez Sowietów. Przyszłość szybko zdemaskowała nierealistyczny charakter tego scenariusza. Zastąpiła go wizja stopniowego ideologicznego bankructwa komunizmu, a przede wszystkim katastrofy nieracjonalnego systemu gospodarczego Związku Radzieckiego i bloku wschodniego – w konsekwencji ich upadku i rozpadu, do których miały się przyczynić także presja Wolnego Świata i wzrost społecznego niezadowolenia w państwach komunistycznych.

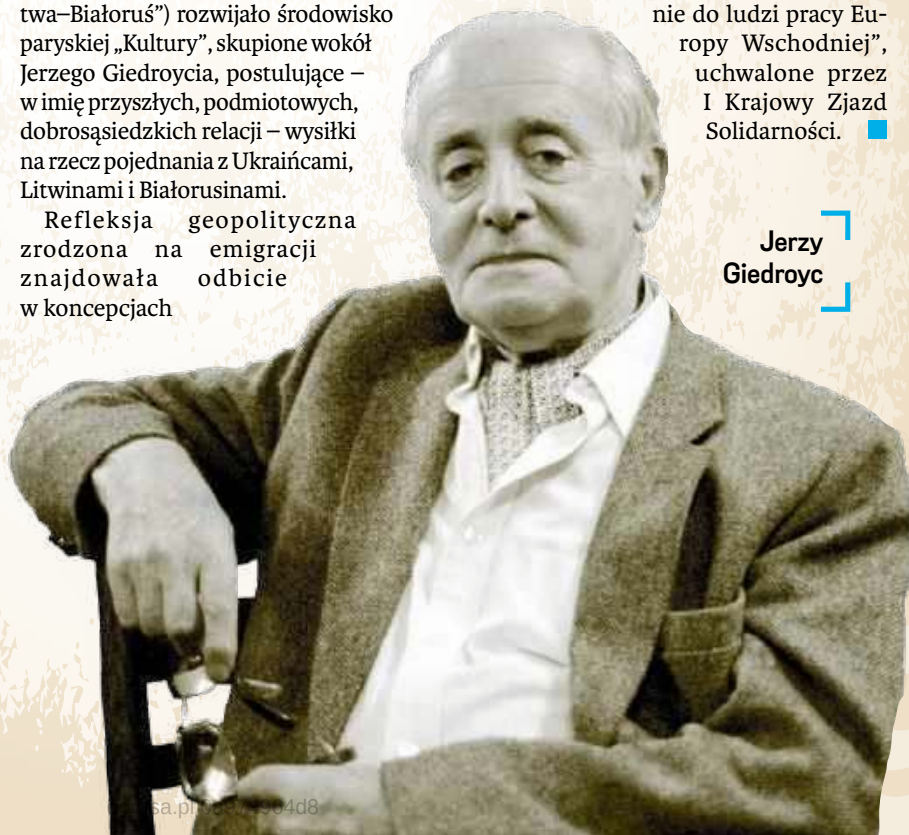
Wobec drugiego zagadnienia stanowisko polskiego uchodźstwa politycznego również ulegało zmianom. W pierwszych dekadach po wojnie emigracja rozwijała koncepcję utworzenia związku państw Europy Środkowo-Wschodniej, postulowaną jeszcze przez dyplomację II Rzeczypospolitej, jak również polskie władze na wygnaniu i środowiska polityczne Polskiego Państwa Podziemnego w latach II wojny światowej. Projektowana federacja – w której widziano także republiki nadbałtyckie, Białoruś i Ukrainę po zrzućeniu przez nie sowieckiego jarzma – miała stanowić receptę zarówno na rozwój gospodarczy i cywilizacyjny regionu,

zwiększenie jego (i państw członkowskich) roli w międzynarodowej polityce, jak i na skuteczne blokowanie prób zdominowania obszaru pomiędzy Bałtykiem, Morzem Czarnym i Adriatykiem przez Rosję i Niemcy. Charakterystyczne, że starając się pozyskać dla tego programu zachodnich polityków i ekspertów, polskie środowiska emigracyjne, skupione zarówno wokół rządu na uchodźstwie w Londynie, jak i działające za oceanem, prezentowały go jako logiczny komponent geopolitycznej rywalizacji Wolnego Świata z blokiem komunistycznym. Później – w miarę postępującej integracji politycznej, wojskowej i gospodarczej Zachodu – polscy politycy i intelektualści na uchodźstwie zaczęli coraz wyraźniej opowiadać się za dołączeniem w przyszłości niepodległych już państw pomiędzy Bałtykiem, Morzem Czarnym i Adriatykiem do NATO i ekonomicznej wspólnoty Europy Zachodniej. Równoległe do refleksji uprawianej przez kręgi polityczne polskiej emigracji nad Tamizą i Potomakiem odrębną koncepcję „ULB” („Ukraina–Litwa–Białoruś”) rozwijało środowisko paryskiej „Kultury”, skupione wokół Jerzego Giedroycia, postulujące – w imię przyszłych, podmiotowych, dobrosąsiedzkich relacji – wysiłki na rzecz pojednania z Ukraińcami, Litwinami i Białorusinami.

Refleksja geopolityczna zrodzona na emigracji znajdowała odbicie w koncepcjach

i działalności organizacji opozycyjnych w PRL. O ile jednak np. Komitet Samoobrony Społecznej KOR poprzestawał na praktycznej współpracy ze środowiskami opozycyjnymi w innych państwach komunistycznego bloku (np. z czechosłowacką Kartą '77), nie snując w zasadzie dalekosiężnych wizji przyszłości regionu, o tyle środowiska skupione w pryncypialnie niepodległościowych i antykomunistycznych strukturach Ruchu, Polskiego Porozumienia Niepodległościowego, Ruchu Młodej Polski, Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, a przede wszystkim Konfederacji Polski Niepodległej, opowiadały się za integracją polityczną i gospodarczą wolnej w przyszłości od sowieckiego zniewolenia Europy Środkowo-Wschodniej, widząc w takim związku miejsce również dla Litwy, Białorusi i Ukrainy. Po strajkach i porozumieniach sierpniowych 1980 r. wyrazem tych dążeń – a zarazem politycznym testamentem w mrocznym okresie stanu wojennego

– stało się głośne „Pismo do ludzi pracy Europy Wschodniej”, uchwalone przez I Krajowy Zjazd Solidarności. ■



**Jerzy
Giedroyc**

16 sal
tematycznych
Centrum
Pieniądza
NBP tworzy
zwartą
opowieść
o losach
świata na
kanwie
historii
finansów

CENTRUM PIENIĄDZA NBP

PIENIĄDZ TO DZIEŁO SZUKI I ŚWIADEK EPOKI ZARAZEM.
W CENTRUM PIENIĄDZA ŚWIECIE TO WIDAĆ



**ANNA
KASPRZYSZAK**

dyrektor Departamentu
Edukacji i Wydawnictw NBP

Banknoty, monety, a dawniej także inne artefakty (np. przedmonetarne płacidła) to nośniki ludzkiej historii. Zarówno ich forma, estetyka, jak i wartość, którą wyrażały, nierozdzielnie związane są z epokami, w których z nich korzystano: oddają ich ducha, niekiedy uwieczniając w pamięci świata określone (czasem radosne, innym razem dramatyczne) wydarzenia. Przeglądając się historii numizmatów, systemów pieniężnych czy samej bankowości, możemy się dowiedzieć cennych rzeczy o naszej przeszłości i doświadczeniach naszych przodków. Takie zjawiska jak kryzysy finansowe, hiperinflacja, hossy i bessy to cykliczne zdarzenia, za którymi zawsze stały człowiek i jego emocje oraz podejmowane za ich podszepem decyzje. Towarzyszące im wydarzenia historyczne nadają pieniądzo charakter swoistych świadków naszych dziejów. Wiek XX, którego dotyczą teksty w tym numerze „wSieci Historii”, obfitował w wiele wydarzeń, z których powinniśmy czerpać zarówno przestrożę, jak i inspirację – także w kontekście gospodarczym.

Pieniądz to również rodzaj dzieła sztuki – specyficznej, wymagającej od twórcy

szczególnej fantazji, ale i dyscypliny. Pieniądze bowiem są nie tylko nośnikiem wartości, lecz również symbolem narodowej tożsamości, a nawet – w epoce pieniądza fiducyjnego – materialnym wyrazem zaufania, co jest szczególnie istotne w świetle wydarzeń XX w. Artyści tworzący projekty monet i banknotów, zwłaszcza tych, które weszły do obiegu, odegrali ogromną (często niesłusznie pomijaną) rolę w budowaniu naszej zbiorowej świadomości. Jako twórcy osiągnęli też to, co chyba każdy artysta uznałby za rodzaj wybitnego spełnienia: chyba żadne inne dzieła sztuki nie są w stanie dotrzeć do takich mas ludzi. Kto z nas nie zna projektów autorstwa znakomitego grafika Andrzeja Heidricha? Można nie kojarzyć nazwiska, ale wystarczy sięgnąć do portfela, aby zobaczyć jego twórczość.

Zachowanie pamięci o historii poprzez gromadzenie i odpowiednie przechowywanie numizmatów, a także pokazywanie ich na tle szerszego kontekstu społeczno-gospodarczego jest jednym z celów Narodowego Banku Polskiego. NBP posiada ogromne zbiory numizmatów z całego świata, w tym przede wszystkim liczące tysiące egzemplarzy zbiory monet i banknotów stosowanych na ziemiach polskich. Zbiory te, będące w gestii Departamentu Emisyjno-Skarbowego, obejrzeć można częściowo m.in. w Centrum Pieniądza NBP im. Sławomira S. Skrzypka (CP NBP).

CP NBP to wyjątkowa placówka edukacyjno-wystawiennicza (można rzecz nowoczesne muzeum), w której zobacz

państwo wiele spośród prezentowanych w kolejnych tekstach przykładów polskiego pieniądza. Warto wybrać się w tę podróż i obejrzeć z bliska to, co dla naszych przodków, a także dla nas samych (dawniej i teraz) stanowiło wartość. 16 sal tematycznych Centrum Pieniądza NBP tworzy zwartą opowieść o losach świata na kanwie historii finansów. Znajdą w nich państwo ponad cztery tysiące niezwykłych eksponatów, najstarszą i największą monetę świata, pierwsze polskie monety i banknoty, dokumenty finansowe z czasu zaborów, liczne zdjęcia, filmy, a nawet muzykę, która w poszczególnych salach wybrzmiewa, by wzmocnić wrażenia z wizyty i podkreślić charakter ekspozycji. Naturalnie zbiory XX-wieczne stanowią gros naszej kolekcji.

Zwiedzanie Centrum jest znakomitą przeżyciem dla wszystkich grup wiekowych. Dla szkół przygotowaliśmy także specjalną, wszechstronną ofertę edukacyjną. Dla bardziej wymagającej widowni regularnie organizujemy wykłady otwarte prowadzone przez znanych ekspertów w dziedzinie historii społeczno-gospodarczej. Organizujemy też wystawy i przygotowujemy publikacje. To właśnie specjaliści z Centrum Pieniądza NBP opisują w zamieszczonych dalej tekstach wybrane wątki z historii pieniądza w naszym kraju.

Zachęcam zarówno do lektury, jak i do odwiedzenia – najlepiej z całą rodziną – Centrum Pieniądza NBP.



W EPOCE MARKI POLSKIEJ

OD PIERWSZEGO DNIA NIEPODLEGŁOŚCI STANĄŁ PROBLEM ZORGANIZOWANIA PAŃSTWOWYCH FINANSÓW I POLSKIEJ WALUTY. PIERWSZE TRUDNE PRÓBY TRWAŁY BEZ MAŁA PIĘĆ LAT, RÓWNOLEGLE Z OBRONĄ NASZYCH GRANIC. SKUTECZNIE



**WOJCIECH
ROSZKOWSKI**

Bank centralny odgrywa w gospodarce narodowej kluczową rolę jako kręgosłup jej finansów. Centralnym bankiem emisyjnym odradzającej się w listopadzie 1918 r. Polska była Polska Krajowa Kasa Pożyczkowa (PKKP). Powstała jeszcze w grudniu 1916 r. na mocy decyzji niemieckich władz okupacyjnych jako instytucja emisyjna dla ziem zaboru rosyjskiego okupowanych przez Niemcy. Działalność rozpoczęła 26 kwietnia 1917 r., emitując marki polskie (mkp) zabezpieczone „równowartością marek niemieckich kredytowaną przez banki niemieckie”.

Już 11 listopada 1918 r. zarząd PKKP został przejęty w imieniu nowych władz polskich przez Stanisława Karpińskiego i Józefa Englicha. Na jego czele stanął Karpiński. Nowe władze banku rozpoczęły działalność od ograniczenia udzielania pożyczek aż do ustabilizowania się sytuacji politycznej oraz wstrzymania wypłat z rachunków niemieckich instytucji okupacyjnych. 7 grudnia Naczelnik Państwa Józef Piłsudski wydał dekret o podstawach działalności banku. Stwierdzono tam, że PKKP jest „jedyną emisyjną instytucją bankową państwa polskiego”. Wartość emisji marki polskiej na dzień 11 listopada ustalono na 880 150 867 marek polskich, za których pokrycie odpowiadać miała Rzesza Niemiecka. Dalsze emisje, za które odpowiadać miało już państwo polskie, nie mogły przekroczyć sumy 500 mln marek, a każdy banknot musiał mieć pokrycie w złocie w relacji 2 784 marki za 1 kg złota w papierach

wartościowych. Ponieważ wydatki państwa stale przekraczały wpływy, prawo do emisji tych pierwszych 500 mln marek wykorzystano już 31 grudnia 1918 r., a pokrycie marki w złocie stało się fikcją.

Polskie pieniądze

Wraz z organizowaniem Dyrekcji Naczelnej PKKP w Warszawie i zastępowaniem personelu niemieckiego przez polski rozbudowywano terenowe oddziały banku. Do wiosny 1919 r. nieuregulowana była sprawa banku emisyjnego w zaborze austriackim. 23 kwietnia 1919 r. Rada Ministrów uchwaliła przejęcie filii Banku Austro-Węgier, a 1 maja tegoż roku PKKP przejęła kilkanaście oddziałów terenowych tego banku w Galicji. Podobnie stało się z filiami Banku Rosji na Kresach. Rozwój terenowej sieci PKKP trwał aż do jesieni 1920 r., gdy zakończono działania wojenne na wschodzie. Oddziały >>

» banku powstały do tego czasu w Białymstoku, Bielsku, Brześciu, Bydgoszczy, Częstochowie, Drohobyczu, Gnieźnie, Grodnie, Grudziądzu, Inowrocławiu, Jarosławiu, Jaśle, Kaliszu, Kielcach, Kołomyi, Krakowie, Krotoszynie, Lesznie, Lublinie, we Lwowie, w Łomży, Łodzi, Nowym Sączu, Piotrkowie, Płocku, Poznaniu, Przemyślu, Radomiu, Rzeszowie, Siedlcach, Sosnowcu, Starogardzie, Suwałkach, Tarnopolu, Tarnowie, Tczewie, Toruniu, Wilnie i we Włocławku, Oddział Główny zaś w Warszawie.

Od momentu przejścia PKKP z rąk okupantów niemieckich zakładano, że instytucja ta będzie prowizorką. Planowano jej zastąpienie przez Bank Polski, który miał emitować jednolitą walutę polską. Mówił o tym wyraźnie minister skarbu English już w lutym 1919 r. Wobec trudności finansowych państwa ta tymczasowa instytucja trwała aż do 1924 r.

Szalejący deficyt

Najlepszym dowodem na to, że gospodarka polska powstawała po 1918 r. jak feniks z popiołów, był budżet państwa. Jesienią 1918 r. niemożliwe było sporządzenie normalnego preliminarza budżetowego, a rząd czerpał środki z zapasu pozostawionego przez okupantów i ze wspomnianej emisji 500 mln mkp. Zapasy te zaczęły się wyczerpywać już na początku 1919 r. Podatki ze zrujnowanej gospodarki wpływały w minimalnym stopniu, natomiast wydatki na budowę aparatu państwowego oraz wojska rosły w zastraszającym tempie. Wobec niechęci banków poznańskich do udzielenia pożyczki socjalistycznemu rządowi Jędrzeja Moraczewskiego sytuacja stała się bez wyjścia. Rząd Ignacego Paderewskiego, w którym ministrem skarbu był najpierw English, a po nim Karpiński, wniósł do Sejmu preliminarz budżetowy na pierwsze półrocze 1919 r. Zakładał on dochody na poziomie 0,6 mld mkp, rozchody – 1,7 mld mkp, a deficyt na poziomie 1,1 mld mkp. Faktyczny deficyt, pokryty przez dług skarbu w PKKP, wyniósł 1,4 mld mkp.

Drugą próbę opracowania budżetu na okres od początku lipca 1919 r. do końca marca 1920 r. podjął minister skarbu Leon Biliński, który miał duże doświadczenie w skarbowości austriackiej. Jego preliminarz obejmował ziemie byłych

zaborów rosyjskiego i austriackiego, a od 1 października 1919 r. – także zaboru pruskiego. Projekt zakładał deficyt na poziomie 5–6 mld mkp. Tymczasem deficyt w rachunkach państwa stale rósł, co było związane ze wzrostem wydatków woj-

Po zakończeniu wojny z bolszewikami i zmniejszeniu ciężarów wojskowych sytuacja budżetowa nie mogła wrócić do normy z kilku powodów. Wzrost cen wywoływał żądania wzrostu płac, a te z kolei podrażały koszty produkcji i powodowały

PODATKI ZE ZRUJNOWANEJ GOSPODARKI WPŁYWAŁY W MINIMALNYM STOPNIU, WYDATKI NA BUDOWĘ APARATU PAŃSTWOWEGO ORAZ WOJSKA ROSŁY W ZASTRASZAJĄCYM TEMPIE

skowych w szczytowym okresie wojny polsko-sowieckiej. O ile w pierwszym półroczu 1919 r. udział wydatków wojskowych w całości rozchodów wyniósł 49 proc., o tyle w okresie prelimitowanym przez Bilińskiego już 62 proc. i na tym poziomie utrzymywał się do końca wojny. Ostatecznie drugi okres budżetowy zamknięto dochodami 3,1 mld mkp, rozchodami 15,2 mld mkp i deficytem 12,1 mld mkp. Deficyt przekraczał więc wpływy budżetowe czterokrotnie. Nowy preliminarz przedłożył Sejmowi minister Władysław Grabski wiosną 1920 r., a jego realizacja do końca tegoż roku przyniosła wyniki jeszcze gorsze: do budżetu wpłynęło 9,8 mld mkp, wydatkowano 56,5 mld mkp, a deficyt wyniósł 46,7 mld mkp, czyli prawie pięć razy więcej niż wpływy.

Jak widać z tych rosnących liczb, w pierwszych dwóch latach niepodległości Polska przeżyła rozkręcanie się spirali inflacyjnej. Inflacja ta wynikała z jednej strony z niskiego poziomu aktywności gospodarczej, związanego z gigantycznymi zniszczeniami wojennymi i reorientacją gospodarki w nowych granicach, z niskich wpływów podatkowych oraz niewielkiej skuteczności aparatu poboru podatków, a z drugiej strony – ogromnych wydatków na budowę instytucji państwowych oraz na wojsko. Rosły ceny, koszty, płace i nominalna wielkość obiegu pieniężnego.

wzrost cen. Kolejne rządy dostrzegały jednak korzyści, jakie przedsiębiorcom prywatnym daje w odbudowie gospodarki i tworzeniu miejsc pracy umiarkowana inflacja, m.in. przez wykorzystywanie premii eksportowej. Dlatego też PKKP udzielała przedsiębiorcom niezwaloryzowanych kredytów na odbudowę gospodarki.

W kolejnych latach sytuacja budżetowa poprawiała się niewiele, o czym świadczą liczby. W 1921 r. do budżetu wpłynęło 104,9 mld mkp, wydatkowano 267,6 mld mkp, a deficyt wyniósł 162,7 mld mkp, czyli przekroczył wpływy o 61 proc. W 1922 r. analogiczne liczby wyniosły: 498,3 mld mkp, 968,4 mld mkp i 470,1 mld mkp, czyli deficyt wyniósł 48 proc. wydatków, a w 1923 r. – odpowiednio 91 432,2 mld mkp, 205 136,8 mld mkp i 113 704,6 mld mkp, czyli deficyt stanowił 45 proc. wydatków. Deficyty budżetowe pokrywane były z długu państwa w PKKP, która z kolei radziła sobie drukiem banknotów o coraz wyższych nominałach.

Oblicza inflacji

Aż do 1923 r. umiarkowane tempo inflacji sprzyjało odbudowie gospodarki, choć wywoływało napięcia. Dla przedsiębiorców zyski z umiarkowanej inflacji były dość oczywiste: korzystali oni z bajecznie tanich kredytów PKKP, premii eksportowej i słabej waloryzacji



Stanisław
Karpiński

podatków. Zapytać można jednak, skąd brały się nadzwyczajne korzyści państwa funkcjonującego dzięki drukowi pieniędzy. Nie chodzi tu tylko o życie na kredyt w PKKP. Chodzi o tzw. podatek inflacyjny, czyli nadzwyczajną korzyść wynikającą ze sposobu wydatkowania wpływów. Przedsiębiorca wydatkował środki, kupując pracę, surowce czy energię po rosnących stale cenach, ale rosły także stopniowo ceny jego produktów. Pracownicy najemni natomiast nie byli w stanie poradzić sobie ze wzrostem cen. Urzędnicy i robotnicy otrzymywali płace co jakiś czas, a wydatkowali je z dnia na dzień, po rosnących cenach, stale na tym tracąc. Nowa wypłata rekompensowała stratę, ale tylko na chwilę, bo ceny rosły nadal, a kosztów utrzymania nie dawało się pokryć od razu. Mimo że w trakcie inflacyjnej odbudowy gospodarki rości zatrudnienie, położenie pracowników najemnych stale się pogarszało. Wprowadzając na rynek kolejne emisje marek polskich PKKP, a za jej pośrednictwem państwo, mogły na początku zgarniać z rynku towary i usługi po starych cenach i korzystać z tej sytuacji, dopóki wzrost cen nie zlikwidował tych korzyści.

Przejście od inflacji do hiperinflacji w drugiej połowie 1923 r. zlikwidowało jakiejkolwiek korzyści. Szybkość obiegu pieniądza przestała rekompensować spadającą realną wartość pieniądza w obiegu, a więc zaczął się kurczyć rynek wewnętrzny i znikła premia eksportowa.

Gwałtownie wzrosło niezadowolenie pracowników najemnych, którzy nie mogli już wiązać końca z końcem, nawet jeśli jeszcze mieli pracę, a i z tym było coraz gorzej. Narastaniu kryzysu hiperinflacyjnego z niepokojem przyglądał się rząd Władysława Sikorskiego. Minister skarbu w tym rządzie Władysław Grabski opracował program radykalnej reformy skarbowo-walutowej, ale wraz z upadkiem tego rządu projekt odłożono na półkę. Rząd Chjeno-Piasta Wincentego Witosa nie tylko nie sięgnął po ten projekt, lecz nie miał żadnego własnego pomysłu. Sytuacja stawała się coraz bardziej dramatyczna. Licząc na zamęt i wzrost fali rewolucyjnej, 13 października 1923 r. komuniści wysadzili składy amunicji w warszawskiej Cytadeli. Zginęło 28 osób. 3 listopada PPS ogłosił strajk powszechny, a fala demonstracji rozlała się na niektóre miasta małopolskie. W starciach z policją w Krakowie, Tarnowie i Borystawiu zginęły dziesiątki osób. Zważywszy na rewizjonizm niemieckiej Republiki Weimarskiej oraz rewolucyjny program ZSRS, Polsce groziła katastrofa.

Wielka reforma

W tej godzinie najwyższej próby większość polskich stronnictw sejmowych wypracowała kompromis polegający na powołaniu ponadpartyjnego rządu Władysława Grabskiego. 11 stycznia 1924 r. Sejm przyjął ustawę o naprawie skarbu i reformie walutowej. Upoważniała ona prezydenta do wydawania na wniosek premiera rozporządzeń z mocą ustawy w sprawie stawek podatkowych i celnych, przyspieszania terminów płatności podatków, oszczędności w administracji, zaciągania pożyczek oraz powołania nowego banku emisyjnego i wprowadzenia nowej waluty. Już 15 stycznia przyspieszono płatności rat nadzwyczajnego podatku majątkowego i skrócono terminy płatności zwaloryzowanych podatków bezpośrednich, wprowadzono podatek od nieruchomości i podniesiono stawki podatków przemysłowego i gruntowego. W celu likwidacji deficytu kolei, obciążającego poważnie budżet, podniesiono taryfy kolejowe. Rząd przeznaczył też 2,5 mln dol. na interwencję giełdową, która zahamowała spadek kursu marki. O ile na początku stycznia wynosił on



Władysław
Grabski

9,8 mln mkp za dolara, o tyle miesiąc później wzrósł do 9,2 mln mkp za dolara.

Jeszcze w styczniu 1924 r. powołano Komitet Organizacyjny Banku Polskiego z Karpińskim na czele. Rozpoczął on działalność 28 kwietnia 1924 r. w formie spółki akcyjnej, która zastąpiła dotychczasową, państwową PKKP. Przewagę w kapitale akcyjnym Banku Polskiego (BP) mieli właściciele prywatni, co miało zapobiec próbom rządowego nacisku na dodatkowe emisje banknotów, w przypadku gdyby deficyt budżetowy powrócił.

Złoty polski miał być oparty na zapasie kruszców i dewiz zgromadzonych w BP w wysokości 70 mln zł w złocie i 207 mln zł w dewizach i walutach wymienialnych. Zasadnicza część tego zapasu pochodziła ze Skarbu Narodowego, gromadzonego od początku niepodległości w PKKP z dobrowolnych ofiar społeczeństwa i zakupów skarbowych. Emitowany przez Bank Polski złoty oparty był na parytecie 1/31 g złota, czyli równowartości franka szwajcarskiego. Wymiany marek na złote dokonywano po kursie 1 zł za 1,8 mln marek. Złoty miał ustawowe pokrycie w 30 proc. zapasów kruszczowo-dewizowych BP.

Pierwsze półrocze reformy zakończyło się pełnym sukcesem. W przeciwieństwie do innych krajów przezwyciężających wówczas hiperinflację reforma Grabskiego oparta została wyłącznie na wewnętrznych źródłach finansowania. Dalsze losy finansów polskich to już jednak inna historia.

Prof. Władysław Grabski (1874–1938), w latach 1923–1924 jako minister skarbu, następnie jako premier, najpierw przedstawił plan sanacji pieniądza i uzdrowienia skarbu, a potem go wdrożył

REFORMA WALUTOWA GRABSKIEGO


**WOJCIECH
KALWAT**

W OBLICZU RUJNUJĄCEJ KRAJ HIPERINFLACJI REFORMA WALUTY STAŁA SIĘ NIEUNIKNIONA. NAPRAWA SKARBU I ZRÓWNOWAŻENIE BUDŻETU BYŁY ZADANIEM PRIORYTETOWYM

Z projektem reformy wystąpił prof. Władysław Grabski, minister skarbu w rządzie Władysława Sikorskiego. Przedstawił plan sanacji pieniądza, ściśle związany z rozłożonym na kilka lat uzdrowieniem skarbu. Słusznie bowiem dowodził, że załamanie waluty jest wywołane poprzez deficyty budżetu, zasypywane masą bezwartościowego pieniądza.

Przygotowania

Grabski planował drastyczne ograniczenia w wydatkach, w tym na wojsko, i zniesienie dotacji dla kolei. Zmienił także zasady liczenia podatków, które zaczęto restrykcyjnie ściągać. Upadek rządu Sikorskiego w połowie 1923 r. zniweczył szansę na reformę, i to w momencie gwałtownego zaostrzania się procesu hiperinflacyjnego. Pod koniec roku prezydent Stanisław Wojciechowski powierzył zadanie utworzenia nowego rządu właśnie Grabskiemu, który jednocześnie objął tekę ministra skarbu. Obiecał on zażegnać kryzys, ale zażądał szerokich pełnomocnictw. Sejm zgodził się częściowo na warunki Grabskiego i na pół roku przyznał rządowi prawo wydawania dekretów z mocą ustawy. Premier wobec fatalnej sytuacji gospodarczej zdecydował, że reformy skarbową i walutową należy przeprowadzić jednocześnie. Radykalnie ograniczono wydatki budżetowe, przystąpiono do rygorystycznego egzekwowania podatków i tworzenia monopolii. Oszczędności uży-

skano także poprzez zwolnienie ok. 29 tys. urzędników państwowych i podniesienie taryf na kolei.

Bank Polski

Jednocześnie podjęto pracę nad reformą waluty. Zdecydowano o zamknięciu Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej i powołaniu nowej instytucji emisyjnej – Banku Polskiego SA. Rozpoczął on działalność 15 kwietnia 1924 r. Jego siedzibą był gmach dawnego Banku Państwa przy ul. Bielańskiej w Warszawie. Głównym zadaniem banku było regulowanie biegu pieniężnego

i ułatwienia kredytu. Posiadał on także wyłączne prawo emisji banknotów do końca 1944 r., w 1939 r. przedłużone na następne dziesięć lat. Zabezpieczeniem niezależności Banku Polskiego była jego konstrukcja w formie spółki akcyjnej o kapitale zakładowym 100 mln zł oraz uregulowanie polityki emisyjnej. Ponieważ bank stał na straży stabilności waluty, przez długi ulegał naciskom, by rozluźnić rygorystykę polityki emisyjnej. Uczynił to dopiero wskutek zagrożenia wybuchem wojny.

Złoty polski

Podstawowym i pierwszym zadaniem reformatorów była stabilizacja kursu marki polskiej. Grabski dokonał tu pewnych posunięć, które doprowadziły do ustabilizowania kursu polskiej waluty względem dolara amerykańskiego i przekonały społeczeństwo do reformy. Następnym etapem miało być wprowadzenie nowej waluty. Złoty polski został wprowadzony na mocy rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 14 kwietnia 1924 r. Marki polskie miały być wymieniane na nowe złote w stosunku 1,8 mln do 1. Wymiana ta trwała od 1 czerwca 1924 do 31 maja roku następnego. Przez ten czas funkcjonowały więc dwie waluty.

Kłopoty z rachunkiem

Nowy polski złoty został zrównany w wartości z frankiem szwajcarskim. Stał się w ten sposób walutą, która była emitowana w systemie Gold Exchange Standard. >>

Wejście do siedziby
Banku Polskiego



» Oznaczało to, że przynajmniej 30 proc. emisji musiało mieć pokrycie w złocie lub dewizach. Stare marki były zastępowane banknotami emitowanymi przez Bank Polski. Jednak do emisji trafiły zapasy banknotów z datą z 1919 r. (1, 2, 5, 10, 20, 50, 100 i 500 zł). Ciekawe, że nie wszystkie one były formalnie banknotami. Te o nominałach 1 i 5 zł były w istocie biletami skarbowymi. Różnica wynikała z tego, że Bank Polski emitował banknoty, Skarb Państwa zachował zaś prawa do emisji bilonu na ogólną kwotę 150 mln zł, przy czym wartość monet, jaka przypadała na jedną osobę, ograniczono do 12 zł. Jednak przeprowadzona w pośpiechu reforma walutowa sprawiła, że nie było czasu na przygotowanie odpowiedniej liczby monet. Powołana do życia Mennica Warszawska produkowała monety o najniższych nominałach, lecz nie była w stanie wypuścić innego typu monet. Skorzystano z dwóch rozwiązań. Pierwszym było zamówienie monet w mennicach zagranicznych (Austrii, Holandii, Francji, USA i Wielkiej Brytanii). Ale i to wymagało czasu, toteż jako bilety zdawkowe, czyli pieniądze papierowe zastępujące chwilowo monety, zakwalifikowane zostały banknoty jedno- i dwuzłotowe. Jednocześnie przystąpiono do produkcji biletów o nominałach 10, 20 i 50 gr. Umieszczono na nich wyobrażenia warszawskich pomników: kolumnę Zygmunta (10 gr), pomnik Mikołaja Kopernika (20 gr) i pomnik Józefa Poniatowskiego (50 gr). Nominały jedno- i pięciogroszowe wydrukowano na połówkach wycofanych z obiegu banknotów 500 tys. i 10 mln marek polskich. Bilety te, z założenia tymczasowe, zniknęły po nasyceniu rynku metalowym bilonem.

Złote nieco mniej srebrne

Podstawowymi typami monet wedle reformy z 1924 r. były wybite w brązie monety o nominałach 1, 2 i 5 gr; wybite w niklu monety 10, 20 i 50 gr; wybite w srebrze monety 1 i 2 zł (obie z portretem „żniwiarki” – o wysokim poziomie artystycznym). Nie wyprodukowano za to srebrnej monety pięciozłotowej, a bite w złocie 10 i 20 zł stanowiły zupełny margines. Układ ten został zmieniony w ramach reformy stabilizacyjnych. Srebrną monetę złotową zastąpiła moneta niklowa. Wprowadzono także nieobecna wcześniej pięciozłotówkę. System ten nie utrzymał się zbyt długo. Wskutek zmiany

sytuacji gospodarczej i spadku cen srebra w 1932 r. skorygowano ustalenia z 1927 r. Przede wszystkim zmieniono ciężar monet dwu- i pięciozłotowych oraz wprowadzono srebrną dziesięciozłotówkę. Przewidywano także bicie monet złotych o nominałach 25, 50 i 100 zł (planów tych nie zrealizowano).

Monety ku czci bohaterów

II Rzeczpospolita prowadziła niezwykle konsekwentne działania w sferze polityki symbolicznej. Umieszczano na banknotach i monetach wyłącznie

ZŁOTY POLSKI STAŁ SIĘ WALUTĄ, KTÓRA BYŁA EMITOWANA W SYSTEMIE GOLD EXCHANGE STANDARD: PRZYNAJMNIEJ 30 PROC. EMISJI MUSIAŁO MIEĆ POKRYCIE W ZŁOCIE LUB DEWIZACH

wizerunki wielkich Polaków, których jednoznacznie można określić jako bohaterów związanych z walką o niepodległość. Bezkonkurencyjny był tu Tadeusz Kościuszko, którego wizerunek zdominował banknoty. W tyle za wodzem insurrekcji znaleźli się: książę Józef Poniatowski, Emilia Plater, Jan Henryk Dąbrowski czy Bartosz Głowacki. Na monecie zaś prym wiódł inny Naczelnik – Józef Piłsudski. Jedną z emisji monet z jego podobizną z 1934 r. była seria pamiątkową, ozdobioną Orłem Strzeleckim zamiast ustawowego. Monety pięcio- i dziesięciozłotowe zostały wybite z okazji 20. rocznicy wymarszu Kompanii Kadrowej. Numizmaty te nie były jednak pierwszymi tego typu emitowanymi przez państwo



polskie. W 1930 r. wybito monety o nominale 10 zł upamiętniające powstanie listopadowe („sztyndar”). Trzy lata później do obrotu trafiły monety dziesięciozłotowe upamiętniające 250-lecie odsieczy wiedeńskiej – („Jan Sobieski”) i 70-lecie powstania styczniowego („Romuald Traugutt”). W 1936 r. wyemitowano monety o nominałach 2 i 5 zł upamiętniające 15. rocznicę budowę portu w Gdyni („żaglowiec”). Co ciekawe, ta ostatnia moneta nie posiadała żadnej inskrypcji informującej o tym wydarzeniu.

* * *

Reforma Grabskiego została przeprowadzona sprawnie i zakończyła się sukcesem. Można by sądzić, że nie była niczym nadzwyczajnym. Podobne reformy przeprowadzono przecież też w innych dotkniętych hiperinflacją krajach. Niemcy wprowadziły rentenmarkę, w Austrii wprowadzono szylinga, a na Węgrzech pengo. Jednak polska reforma różniła się od pozostałych tym, że została oparta wyłącznie na własnych siłach i środkach, bez korzystania z pomocy zagranicznej.



Tekst jest fragmentem pracy W. Kalwat, „Historia kołem się toczy”

Nieudana rusyfikacja



**GRZEGORZ
GÓRNY**

W czasach zaborów carska administracja wypowiedziała walkę zwłaszcza dwóm grupom, które uważała za ostoję polskości: szlachcie i duchowieństwu katolickiemu.

Jeszcze w latach 30. XIX w. car Mikołaj I zapoczątkował program społeczny, którego celem miała być deklasacja polskiej szlachty. Do 1863 r. niemal pół miliona zubożałej i bezziemnej szlachty polskiej „spisano w chłopstwo”, zrównując ją w prawach z chłopami pańszczyźnianymi. Oznaczało to dla całej klasy społecznej odcięcie od oświaty i obowiązkowy pobór mężczyzn do wojska na 25 lat. W planach caru owa drobna szlachta, stanowiąca niegdyś demos Rzeczypospolitej, rozpuścić się miała w morzu rosyjskiego etnosu.

Ten proces deklasacji nabrał przyspieszenia po upadku powstania styczniowego, gdy władze rosyjskie masowo konfiskowały majątki tych, którzy brali udział w walkach przeciw zaborcom. Wydano wówczas zakaz nabywania ziemi przez osoby narodowości polskiej. Z administracji i szkolnictwa usuwano Polaków, a ich miejsca obsadzono Rosjanami. W urzędach i szkołach obowiązywał język rosyjski, a posługiwanie się polską mową zostało zabronione pod groźbą surowych kar.

W 1866 r. Petersburg zerwał konordat ze Stolicą Apostolską i zakazał polskiemu duchowieństwu utrzymywania kontaktów z Watykanem. Skasowano wiele klasztorów i zlikwidowano niektóre diecezje, np. mińską. Władze państwowe, które już wcześniej usunęły język polski z urzędów kościelnych, zastępując go rosyjskim, postanowiły doprowadzić do tego samego w katolickim kazno-

dzieństwie, śpiewach i nabożeństwach. W tym celu w 1869 r. wydano w Wilnie tzw. „Trebnik”, czyli księgę rytuałów katolickich, w których wszystkie teksty polskojęzyczne zastąpiono rosyjskimi. Administracja nałożyła na polskich



Jedną z osób, które przynależały do zdeklasowanej szlachty i stanu kapłańskiego, był bł. ks. Michał Sopoćko, spowiednik i kierownik duchowy św. Faustyny Kowalskiej

księży obowiązek używania „Trebnika”. Petersburscy urzędnicy mieli nadzieję, że dzięki temu katolickie duchowieństwo stanie się narzędziem rusyfikacji własnego narodu.

Ci kapłani, którzy podporządkowali się władzom, byli za to hojnie wynagradzani w złotych rublach. Ci, którzy trwali przy języku polskim, byli natomiast surowo karani, np. biskup łucko-żytomierski Kasper Borowski, który zabronił kapłanom

w swojej diecezji korzystania z „Trebnika”, został za to skazany na zesłanie do Permu, gdzie spędził kilkanaście lat. Głośnym echem w całym kraju odbił się czyn ks. Stanisława Piotrowicza, który podczas nabożeństwa w kościele św. Rafała w Wilnie spalił na ambonie egzemplarz „Trebnika”. Został za to zesłany do Archangielska i nigdy już nie wrócił do domu. Choć działalność Kościoła katolickiego była poddawana przez zaborców różnym szykanom i ograniczeniom, większość duchownych trwała w moralnym oporze przeciw dyktatowi władz.

Jedną z osób, które łączyły w sobie przynależność do obu warstw – zdeklasowanej szlachty i stanu kapłańskiego – był bł. ks. Michał Sopoćko, późniejszy spowiednik i kierownik duchowy św. Faustyny Kowalskiej. Kluczowy okres formacyjny w jego życiu przypadł na lata edukacji w Wilnie, gdzie mieszkał w tajnym internacie zakonspirowanym przed władzami rosyjskimi. Tam po raz pierwszy zetknął się z kolejną grupą społeczną, czyli inteligencją. To właśnie jej zawdzięczał swą pogłębioną formację patriotyczną oraz intelektualną, połączoną z wychowaniem w duchu chrześcijańskim.

Szczególnie ważnym przedstawicielem tej grupy stał się dla niego Józef Zmitrowicz – młody prawnik, który zrezygnował z dobrze zapowiadającej się kariery, by poświęcić się temu, co ówczesni pozytywści nazywali pracą organiczną. Objeżdżał różne miasta, m.in. Wilno, Kowno, Libawę, Dyneburg czy Mińsk, organizując tam tajne koła samokształceniowe, w których prowadził dla młodzieży zajęcia z historii i języka polskiego. Był zarazem człowiekiem niezwykle religijnym, codziennie przystępującym do komunii św. Przekonał wielu ze swych wychowanków, że jeśli chcą zrobić karierę, nie wyrzekając się własnej wiary i narodowości, muszą zdobywać wiedzę i umiejętności, by być najlepszymi w swoich dziedzinach. I to się wielu z nich udało.

**FAŁSZOWANIE
PIENIĘDZY JEST
PROCEDEREM TAK
STARYM JAK SAM
PIENIĄDZ. ZJAWISKO
TO NIE OMINĘŁO TAKŻE
ODRODZONEGO W 1918 r.
PAŃSTWA POLSKIEGO**



**PAWEŁ
GAJEWSKI**

Przyczyną szerzenia się fałszerstw był brak świadomości społecznej w tej kwestii. Ludzka niewiedza o zabezpieczeniach nowych, niedawno wprowadzonych pieniędzy mogła skłaniać nie tylko zawodowych fałszerzy, lecz i zwyczajnych ludzi, w tym biednych, do podjęcia desperackiej próby podrabiania pieniędzy. Już pod koniec stycznia 1919 r. zgłaszano fałszerstwa nominałów 1000 i 5000 mkp. Niedługo później podrabiano wszystkie nominały marek. Niestety wiedzę o prawidłowym wyglądzie pieniądza posiadali głównie ludzie wykształceni. Ofiarami oszustw byli przede wszystkim mieszkańcy wsi, którzy otrzymywali fałszywki za sprzedaż swoich produktów na targach miejskich.

Złoty na celowniku

W 1924 r. w myśl reformy walutowej do obiegu wprowadzono nowe banknoty i całkowicie nowe monety. O ile podrabianie banknotów było procesem dość wymagającym, o tyle w przypadku monet sytuacja wyglądała nieco inaczej. W połowie lat 20. krakowski policjant Franciszek Banaś całkowitym przypadkiem dowiedział się od żydowskiego chłopca, że „jego dziadek robi pieniądze”. Po odnalezieniu staruszka okazało się, że ten za pomocą formy zrobionej z ziemniaka, nitek do wiązania foremek oraz stopionego ołowiu sporządzał niskiej jakości odlewy monet dwuzłotowych.

Poza takimi przypadkami wydaje się, że dla fałszerzy chcących dobrze naśladować wygląd podrabianych monet największym problemem mogło być pozyskanie metali, z których preparowano fałszywki: ołowiu, mosiądzu, cyny, antymonu. Okazuje się jednak, że przestępcy zdobywali kruszec z najmniej oczekiwanych źródeł. Przykładem takich działań było wykryte w 1925 r. w Łodzi fałszerstwo monet 50-groszowych. Trójka fałszerzy – Buzgel, Fisjak i Pruc – dopuściła się kradzieży metalowej figury Chrystusa z krzyża jednego z miejskich kościołów w celu pozyskania metalu.

Porównując fałszerstwa w latach 20. do kolejnego 10-lecia, liczba fałszyfikacji była niższa od tej z lat 1930–1939. Szacuje

się, że w latach 1923–1929 dochodziło corocznie do kilkuset fałszerstw, natomiast w pierwszej połowie lat 30. liczba tego typu przestępstw wzrosła do 5 tys. Zjawisko podrabiania pieniędzy było powszechne do tego stopnia, że stanowiło aż 5,5 proc. wszystkich przestępstw dokonywanych w II Rzeczypospolitej. Jego wykrywalność komplikowało rozprawianie fałszywek w dużych skupiskach ludzkich. Odpowiedzią organów ścigania na ogromną liczbę przestępstw było utworzenie stołecznej brygady do spraw fałszerstw monet i banknotów (tzw. IX brygady, a w późniejszym czasie III sekcji Urzędu Śledczego w Warszawie). Według danych podawanych przez Andrzeja Borowskiego brygada liczyła



37 funkcjonariuszy. Jej działalność walczy nie przyczyniła się do zwiększenia wykrywalności przestępstw do poziomu przekraczającego 50 proc.

Nadzwyczajne skutki kryzysu

Obserwowany w 1930 r. znaczny wzrost fałszerstw spowodowany był światowym kryzysem gospodarczym, który osłabił kurs dolara. Tym samym polski złoty popadł w stan deflacji – podniesienia wartości nabywczej. Dlatego podrabiano każdy nominal monety groszowych i złotówkowych. W latach 20. fałszerze decydowali się na podrabianie drobnych monet, zwłaszcza 50 gr, 1 i 2 zł. Przyczyną tego były ogromne emisje niskich nominałów i ich popularność wśród miejskiej ludności. Przykładem fałszowania takich monet były fałszyfikaty wykryte wśród mieszkańców Białegostoku. Sprawców odnaleziono dzięki interwencji lokalnej policji podczas rozgrywki pokerowej kilku mieszkańców miasta. Okazało się, że w trakcie gry niejaki Jan Zacharko i Zygfryd Osiński wypłacali za przegrane partie podrobionymi monetami. Policyjne śledztwo doprowadziło do rewizji mieszkań podejrzanych. W mieszkaniu Osińskiego odkryto dużą liczbę sfałszowanych monet oraz instrumentarium fałszerza. Ponieważ przedmioty były ukryte w ruchomościach należących także do jego matki – i ją aresztowano.

W 1930 r. odnotowywano pojedyncze przypadki fałszerstw w Poznaniu i Białymstoku. Rok później przed budynkiem Teatru Miejskiego w Łodzi policjanci zatrzymali kobietę, która wypuszczała do obiegu fałszyfikaty banknotów 20-złotowych. Po zrewidowaniu podejrzanej okazało się, że ta ukrywała podrobione pieniądze pod ubraniem, przyczepiając je sznurkami do bielizny.

W 1932 r. policja wykryła dużą grupę fałszerzy. Zarządzana przez niejakiego Dawida Milwe szajka liczyła ponad 30 osób. Jej działalność zakończyły aresztowania członków grupy dokonane w okresie świąt Bożego Narodzenia. W tym samym roku na Kresach Wschodnich, w woj. wołyńskim, wykryto przypadek fałszowania drobnych monet o nominałach 50 gr i 1 zł.

W 1933 r. warszawska policja aresztowała człowieka wprowadzającego w obieg sfałszowane monety 10-złotowe. Wykrycia dokonano dzięki obserwacji warszawskiego Dworca Głównego.

Miejscowi kasjerzy wydawali pasażerom fałszyfikaty, w które zaopatrywał ich pewien bagażowy. Niedługo potem się okazało, że fałszywki pochodzą od człowieka nazwiskiem Tomczyk, a ww. bagażowy był jedynie kolporterem tych monet.

W tym samym roku wykryto także inną domową mennicę prowadzoną przez mężczyznę nazwiskiem Lewandowski. Jego działania były niemal iden-



MIEJSCOWI KASJERZY WYDAWALI PASAŻEROM FAŁSZYFIKATY, W KTÓRE ZAOPATRYWAŁ ICH JEDEN Z BAGAŻOWYCH

tyczne jak w przypadku Tomczyka, toteż śledztwo policji polegające na obserwacji osoby puszczającej monety w obieg doprowadziło do ujawnienia sprawy.

Kolejnym przypadkiem podrabiania monet w stolicy była działalność grupy Lewartowskiego, Kajęckiej i Matusowej. Zamiarem tych osób było wprowadzenie do obiegu sfałszowanych monet pięciozłotowych i dziesięciozłotowych. Oszuści chcieli osobiście dostarczać fałszyfikaty do kasy sejmowej, które miały być przeznaczone „na wypłatę pensji poselskich”.

Innym przykładem z lat 30. może być przypadek kobiety o nazwisku Myślicka, która rozprowadzała fałszyfikaty monet pięciozłotowych. Przed sądem tłumaczyła: „Moje dzieci są głodne”.

Cudny przekręt

W drugiej poł. 1934 r. w Warszawie policja w wyniku obserwacji włamywacza oraz fałszerza Leona Brdulaka wpa-

dała na trop dwóch kolejnych fałszerzy. Pierwszym był niejaki Kazimierz Cudny zamieszkały przy ul. Wolskiej 111. Cudny doprowadził śledczych do braci Szymona i Władysława Zawisłaków z ul. Mokrej 23. Śledztwo wykazało, że podejrzani rozprowadzali sfałszowane monety. Ujawniono fałszyfikaty, których wartość nominalna wynosiła 6 tys. zł. Odkryto także ponad 10 kg materiału stopowego oraz narzędzia do precyzyjnej obróbki bilonu. Policjanci odnaleźli też broń palną. Podobne przedmioty odkryto podczas nalotu na mieszkanie Cudnego. Sprawa zakończyła się skazaniem Brdulaka na cztery i pół roku bezwzględnej pozbawienia wolności. Przestępca kontynuował działalność fałszerza po wyjściu z więzienia.

Przykładem fałszyfikacji pieniędzy na skalę niemal przemysłową był przypadek składającej się z co najmniej 65 osób (głównie kolporterów) zorganizowanej grupy przestępczej kierowanej przez Pawła Grombkę i Paulinę Rupp. Grupa produkowała monety dwu-, pięcio- i dziesięciozłotowe, a także banknoty 20-złotowe. Fałszyfikaty w ogromnych ilościach składowano w mieszkaniu Rupp przy ul. Gęsiej 30. Dopiero kilkumiesięczne śledztwo połączonych oddziałów policji z Warszawy i Łodzi pozwoliło na schwytanie całej szajki pod koniec 1934 r.

Mimo wzrastającej wykrywalności przestępstw oraz stopniowego wzrostu świadomości społecznej fałszerstwa były powszechne. Mimo to do 1934 r. możemy zaobserwować stopniowy spadek liczby odnotowanych fałszerstw – 5142 przypadki. W 1935 r. nastąpił gwałtowny wzrost przestępstw – według danych Referatu Kryminalnego Centrali Służby Śledczej wykryto 26 896 przypadków podrabiania pieniędzy. Niewątpliwą pomocą dla funkcjonariuszy policji było to, że poszkodowani coraz częściej informowali mundurowych, że otrzymali fałszywe pieniądze.

PIENIĄDZ ODRÓDZONEJ RZECZYPOSPOLITEJ

W ODRADZAJĄCEJ SIĘ POLSCE WSZYSTKIE INSTYTUCJE PAŃSTWA
BYŁY NOWE. ZUPEŁNIE NOWE BYŁY TEŻ POLSKIE PIENIĄDZE



**MATEUSZ
SORA**

Zgodnie z dekretem Naczelnika Państwa z 7 grudnia 1918 r. Polska Krajowa Kasa Pożyczkowa do czasu uchwalenia ustawy o Banku Polskim otrzymała wyłączne prawo do emisji polskiego pieniądza. W pierwszych miesiącach niepodległości sukcesywnie wprowadzała do obiegu banknoty, które zostały wydrukowane przed 11 listopada. Pierwsza emisja „nowych” marek polskich weszła do obiegu w marcu. Nie różniły się od banknotów poprzednich emisji szatą graficzną, jednak zawierały znaczącą deklarację: „Państwo polskie przyjmuje odpowiedzialność za wymianę niniejszego biletu na przyszłą polską walutę”. Na tych banknotach figurują podpisy dyrektorów Stanisława Karpińskiego i Zygmunta Chamca oraz głównego skarbnika Mariana Karpusa.

Pierwsze złotówki

W styczniu 1919 r. odbyły się wybory do Sejmu Ustawodawczego. Parlament zebrał się na pierwszym posiedzeniu

10 lutego i jeszcze w lutym komisja budżetowo-skarbowa pod przewodnictwem Antoniego Rzędy, posła najsilniejszego sejmowego ugrupowania: Związku Ludowo-Narodowego, działacza spółdzielczego i prezesa zarządu Głównego Banku Towarzystw Spółdzielczych, zajęła się sprawą polskiej waluty. Z inicjatywy przewodniczącego komisji Sejm na posiedzeniu 28 lutego uchwalił ustawę, zgodnie z którą polską walutą stał się złoty. Projekt ten nie wywołał dyskusji, a przyjęcie ustawy umożliwiło podjęcie kroków w celu przygotowania banknotów złotych. Zadanie to powierzono członkom polskiej misji na rokowania pokojowe w Wersalu, która druk zleciła zakładom we Francji i w Anglii. Na tych banknotach, z datą emisji 28 lutego 1919 r., jako emitent ujawniony był nieistniejący jeszcze Bank Polski.

Operację wymiany marek na złote miał przeprowadzić nowy minister skarbu Stanisław Karpiński, który 4 kwietnia zastąpił Jerzego Englicha. Pochodzący z Kongresówki Karpiński, doświadczony bankowiec, już w styczniu 1918 r. przedstawił projekt utworzenia Banku Polskiego. Karpiński nie wprowadził złotego do obiegu, druk banknotów się opóźniał, ale zasadniczym problemem, z którym musiał się zmierzyć rząd Paderewskiego, było zapewnienie środków na bieżące działania państwa. Skala po-

trzeb wynikających z prowadzonej wojny o granice, konieczność finansowania pilnych i nieplanowanych wydatków, które uchwalał Sejm, zmuszała rząd do zaciągania kolejnych pożyczek w PKKP. Wiosną 1919 r. nie istniał jeszcze ani jednolity aparat skarbowy, ani jednolity system podatkowy. W obiegu nadal funkcjonowały trzy waluty. Trwała sejmowa dyskusja o reformie rolnej, rosły koszty związane zarówno z wojną, jak i odbudową zniszczonego kraju.

Pierwszy Bank Polski

W maju minister Karpiński omawiał w Sejmie projekt ustawy o Banku Polskim, która przewidywała wymianę na złote tylko 30 proc. obiegowych marek. Pozostałe 70 proc. to byłaby pożyczka udzielona Skarbowi Państwa – którą rząd spłacałby w kolejnych latach. Bank byłby bankiem państwowym. Początkowo Karpiński planował oparcie nowej polskiej jednostki monetarnej na franku szwajcarskim. Wobec braku możliwości zaciągnięcia zewnętrznej pożyczki założył, że zabezpieczeniem będą rezerwy kruszcowe sukcesywnie gromadzone w wyniku darowizn obywateli na rzecz Skarbu Narodowego. Te niestety nie przyrastały w stopniu zadowalającym. W połowie lipca minister skonstatował, iż nie udało się związać wartości złotego z frankiem

szwajcarskim. Dlatego omawiając w Sejmie sytuację budżetową, zapowiedział wymianę marek na złote w stosunku 1:1. Uważał, że deficyt budżetu trzeba będzie jeszcze przez jakiś czas pokrywać emisją pieniądza, co będzie prowadzić do obniżki kursu złotego.

Dopiero w czerwcu rząd przekazał Sejmowi projekt budżetu na drugą połowę roku, z wyjaśnieniami, iż może jedynie ogólnie szacować wpływy i wydatki. Na zarzuty posłów, że rząd w niedostatecznym stopniu dba o wpływy budżetowe, minister Karpiński odpowiadał, iż wyższe wpływy zagwarantuje dopiero wzrost gospodarczy. Zarówno ugrupowania opozycyjne, jak i koalicja stanowiąca polityczne zaplecze rządu Ignacego Paderewskiego w toku debaty budżetowej poddały politykę gospodarczą rządu druzgocącej krytyce. Inicjatywy ministra skarbu spadły z porządku obrad. Stanisław Karpiński podał się do dymisji. Jego następcą i ostatnim ministrem skarbu w rządzie Paderewskiego został doświadczony galicyjski polityk Leon Biliński, dla którego priorytetem było ujednolicenie waluty na całym obszarze Polski. W tym celu nowy minister zlecił druk banknotów markowych o wyższych nominałach w Wiedniu, a rząd odstąpił od planów wymiany marek na złote. Zamówione i wydrukowane w Paryżu i Londynie banknoty czekały na wprowadzenie do obiegu do kwietnia 1924 r. Widnie na nich podpis Stanisława Karpińskiego, który jako senator na przełomie 1923 i 1924 r. należał do grona bliskich współpracowników premiera Władysława Grabskiego. W toku prac parlamentarnych wspierał, również wbrew stanowisku swojego ugrupowania, projekt reform. Premier Grabski powołał Karpińskiego na przewodniczącego Komitetu Organizacyjnego Banku Polskiego. 29 marca 1924 r. prezydent RP Stanisław Wojciechowski mianował Stanisława Karpińskiego prezesem Banku Polskiego.

Pierwsze monety

Jedną z konsekwencji zdławienia powstania styczniowego była likwidacja Mennicy Warszawskiej. Zaborca wywiozł z Warszawy do Petersburga urządzenie do produkcji pieniądza. Budynki początkowo przejęła rosyjska administracja wojskowa, a z czasem po ich rozbiórce na działce przy ul. Bielańskiej wznie-

siono okazały gmach Banku Państwa. W odrodzonej Polsce druk banknotów podjęły prywatne drukarnie i Państwowe Zakłady Graficzne (powstały w 1919 r.), nie było jednak w Polsce ani jednego zakładu, który mógłby zrealizować produkcję monet.



ZAMÓWIONE I WYDRUKOWANE W PARYŻU I LONDYNIE BANKNOTY CZEKAŁY NA WPROWADZENIE DO KWIETNIA 1924 r.

Do organizacji mennicy przystąpiono dopiero w 1922 r., wówczas sprowadzono odpowiednie maszyny i wykonano pierwsze próby technologiczne. Dyrektorem Mennicy Państwowej został repatriant z Rosji Jan Aleksandrowicz. Natomiast autorem projektu pierwszej monety próbnej był warszawski rzeźbiarz Władysław Wasiewicz, absolwent krakowskiej ASP. Na awersie monety znalazł się orzeł, pod którym widnieje nominał 100 bez oznaczenia jednostki monetarnej, na rewersie portret Józefa Piłsudskiego, w 1922 r. naczelnika państwa. W kolejnym roku wyprodukowano próbną monetę zaprojektowaną przez nauczyciela Wasiewicza Konstantego Laszczkę, jednego z najwybitniejszych artystów przełomu wieków. Laszczka umieścił na monecie popiersie wiejskiej dziewczyny z warkoczem, która niesie snop zboża przerzucony przez bark.

W 1923 r. Ministerstwo Skarbu wraz z Ministerstwem Wyznań i Oświecenia Publicznego ogłosiło konkursy na projekty monet groszowych i złotych. Nagrodzone w nim projekty monet gro-

szowych Wojciecha Jastrzębowskiego i projekt monety złotej prof. Tadeusza Breyera zostały skierowane do realizacji. W tym samym roku przystąpiono do adaptacji dla potrzeb mennicy budynków na warszawskiej Pradze. Mennica nie osiągnęła jednak mocy produkcyjnych niezbędnych do zaspokojenia potrzeb

wymiany. Dlatego bicie monet

zlecono obcym men-

nicom w Ho-

landii, Szwaj-

carii, Anglii

i Austrii (mo-

nety groszowe)

oraz w Anglii, we

Francji i w Stanach

Zjednoczonych

(monety złote).

W latach 1924–1925

zamówiono ponad 436

mln szt. monet o warto-

ści nominalnej przekra-

czającej 180 mln zł.

Wprowadzone w 1924 r. do obiegu srebrne monety o nominałach 1 i 2 złote przedstawiają dziewczynę z kłosami zboża – popularnie zwaną żniwiarką. To nie przypadek, że wiejska dziewczyna znalazła się na projekcie próbnej monety i na monetach obiegowych. Polska była krajem rolniczym, na wsi mieszkało 75 proc. ludności, chłopci stanowili najliczniejszą grupę społeczną (ponad 55 proc.), a żniwa to dla rolników okres kulminacji prac w polu i najważniejsze wydarzenie w roku.

W 1925 r. Mennica Państwowa była wraz z Ministerstwem Skarbu współorganizatorem konkursu na projekt monety złotej. Jury konkursowe, któremu przewodniczył Wojciech Jastrzębowski, nagrodziło projekty Zofii Trzczińskiej-Kamińskiej, Antoniego Madeyskiego oraz Stanisława Szukalskiego. Zrealizowany został projekt Trzczińskiej-Kamińskiej upamiętniający 900-lecie koronacji Bolesława Chrobrego, jednak monety o nominałach 10 i 20 zł nie weszły do obiegu, gdyż ich wartość w chwili emisji przekraczała wartość nominalną. Natomiast moneta Madeyskiego, przedstawiająca Polonię – głowę młodej kobiety w aureoli z kłosów – wybita w srebrze, to najpopularniejszy wizerunek na monetach dwudziestolecia międzywojennego. Możemy ją spotkać na rewersach obiegowych srebrnych monet dwu-, pięcio- i dziesięciozłotowych, wprowadzanych do obiegu od 1932 r.

ZŁODZIEJ PRZYCHODZI NOCĄ

PÓŹNĄ JESIENIĄ 1950 r. TRWAJĄCA TYDZIEŃ OPERACJA WYMIANY PIENIĘDZY POZBAWIŁA POLAKÓW PRAWIE DWÓCH TRZECICH OSZCZĘDNOŚCI



ANDRZEJ ZAWISTOWSKI

profesor SGH,
pracownik Instytutu
Pileckiego

Byla północ z 28 na 29 października 1950 r. Dom rodziny K. w niewielkiej wsi O. pogrążony był w głębokim śnie. Nawet niespełna miesięczna Tereska spała słodko. Nagle rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi. Gospodarz przezornie wyjrzał przez okno – choć Sowietci opuścili wieś już cztery lata wcześniej, czasy wciąż nie były spokojne. Na szczęście przed drzwiami stał daleki kuzyn Franek, mieszkający kilka domów dalej. W środku nocy postanowił spłacić dług zaciągnięty u rodziny K. Pora była dość dziwna, ale wierzytel z radością przyjął od dawna zagłęą spłatę. Zadowolony wrócił do łóżka i nie nawet się nie zaniepokoił, że spłata długu nastąpiła w tak niezwyklej okolicznościach. Drogo go to kosztowało.

Pieniądz

W zaprojektowanym przez Marksa komunizmie pieniądz miał nie istnieć. Każdy miał pracować według możliwości, a otrzymywać według potrzeb. Idąc za tym wezwaniem, bolszewicy chcieli doprowadzić do likwidacji pieniądza w Rosji. Próba ta zakończyła się klęską i od tej chwili pieniądz stał się niechcianym cieniem tradycyjnej ekonomii w zdrowym cielem gospodarki socjalistycznej.

Oczywiście w połowie XX w. pieniądz był już zupełnie inny niż przez poprzednie tysiące lat. O jego wartości najczęściej nie decydował bowiem kruszec, lecz decyzja administracyjna ustanawiająca oficjalny środek płatniczy. Jedną taką decyzją mogła też sprawić, że banknot zamiast pieniądzem stawał się zadrukowanym kawał-

kiem papieru. O realności tej groźby Polacy przekonali się kilkakrotnie w końcu I poł. XX w. Na przełomie 1939 i 1940 r. okupanci pozbawili Polaków oszczędności, wymieniając przedwojennego złotego na swoje waluty według skrajnie niekorzystnego kursu. Po kilku latach sytuacja się powtórzyła – będące w obiegu tzw. młynarki, ruble i marki były wymieniane na złote emitowane przez właśnie tworzony Narodowy Bank Polski. Najczęściej można było wymienić tylko określoną sumę. O ile w przypadku okupantów był to element represji, o tyle po wojnie stała za tym przesłanka ekonomiczna. Radykalne zmniejszenie obiegu pieniądza miało zadziałać antyinflacyjnie. Choć intencje były szczerze, to i tak najwięcej płacili za to szarzy ludzie.

Brutalne przebudzenie

Kilka lat po wojnie wydawało się, że kolejna operacja wymiany pieniądza nie może się zdarzyć. Wszak władze głosiły, że polska gospodarka właśnie kończyła powojenną odbudowę. Symbolizować miało to ostateczne zniesienie kartek na żywność – będących w obiegu od 1939 r. Ludziom miało być już tylko lepiej.

Tym większym zaskoczeniem było to, co wydarzyło się 28 października 1950 r. Krótko przed północą Polskie Radio poinformowało, że w ciągu kilku kolejnych dni dokonana zostanie wymiana dotychczasowych pieniędzy. Jej zasady były niezwykle niekorzystne. Ceny, płace i zobowiązania przeliczano w stosunku 100 starych złotych na 3 nowe. W tym samym stosunku przeliczano oszczędności, ale tylko te znajdujące się w banku PKO. Suma takiej wymiany była ograniczona do 100 tys. zł. Trzymających oszczędności w banku nie było jednak wielu. Dla większości bezpieczniejszym miejscem były domowe zakamarki. I to oni stracili najwięcej. Pieniądze, które Polacy mieli w rękach, były przeliczane w stosunku 100 starych

złotych na 1 nowy złoty. Oznaczało to, że nagle – w stosunku do nowych cen – tracili oni dwie trzecie swoich oszczędności!

Tajemnica tajemnic

Całą operację przygotowywano przez wiele miesięcy w najgłębszej tajemnicy. Nie było to dziwne – gdyby ludzie wiedzieli o tej akcji, wcześniej pozbyliby się tracącej wartości waluty. Nowe banknoty wydrukowano już w 1948 r. – w większości za granicą. Zaprojektował je prof. Wacław Borowski – autor przedwojennego banknotu 20-złotowego. Monety zaprojektowano w Czechosłowacji i wybito za granicą w 1949 r. Warto zauważyć, że bilon ten był w obiegu aż do końca PRL – chociaż widniała na nim zniesiona w 1952 r. nazwa państwa – Rzeczpospolita Polska.

Nowe pieniądze w październiku trafiły pod opiekę wojewódzkich urzędów bezpieczeństwa publicznego. Oczywiście nikt nie miał prawa wiedzieć, co przywieziono w zaplombowanych skrzyniach. Jednak im bliżej było do 30 października, a więc początku wymiany pieniądza, tym bardziej rosło grono wtajemniczonych.

Na sobotę 28 października dyrektorzy regionalnych oddziałów NBP zostali wezwani do warszawskiej centrali Banku na specjalne szkolenie. Rozpoczęło się ono o 15.00, a jego uczestnicy zostali odcięci od otoczenia. Podobnie było z pracownikami Ministerstwa Handlu Wewnętrznego – ich zwołano na 18.00. Wieczorem wszyscy rozjechali się z instrukcjami po kraju, a każdemu towarzyszył funkcjonariusz UB. Miało to uniemożliwić ujawnienie tajemnicy, a przez to szturm na banki i sklepy.

Dopiero w sobotni wieczór, gdy urzędnicy i funkcjonariusze byli poinstruowani w sprawie operacji planowanej od najbliższego poniedziałku, do pracy ruszył ustawodawca. Pod obrady Sejmu w trybie pilnym wprowadzono projekt ustawy o zmianie systemu pieniężnego. Na wszelki wypadek posłów pilnowały

wzmocnione siły UB, a telefony zostały wyłączone. Projekt zreferował minister finansów, w dyskusji wzięło udział dwóch posłów. Natychmiast ustawę jednogłośnie przyjęto. Uchwalono też kolejną – o zakazie posiadania walut zagranicznych, złota i platyny. Wiedzano bowiem, że Polacy nauczeni złym doświadczeniem z poprzednich lat część oszczędności trzymali w zachodnich walutach oraz w złotych monetach. Pozwolono jedynie zachować tzw. przedmioty użytkowe (np. biżuterię) – reszta trafić miała do bankowego depozytu lub zostać odsprzedana państwu. Za handel walutami lub złotem groziła kara śmierci.

Choć ustawa była dopiero procedowana, to w tym samym czasie z maszyn drukarskich schodziły już gazety z informacją o wymianie pieniędzy. Zbliżała się północ, gdy o przyjęciu ustawy poinformowało radio. Machina ruszyła – cała operacja miała potrwać nieco ponad tydzień.

Nerwowa niedziela

Poinformowanie społeczeństwa o rozpoczęciu wymiany otworzyło kolejny etap operacji. W stan gotowości postawiono wszystkich funkcjonariuszy UB oraz OMO, ORMO i SOK. Działacze partyjni mieli wśród niezadowolonych szerzyć pozytywny przekaz o kolejnym sukcesie socjalistycznego państwa. W tym samym czasie spikerzy radiowi powtarzali komunikaty wzywające ludzi do pracy – mimo że była to niedziela. W trybie nagłym, na 8 rano, wezwano do pracy urzędników bankowych. O 8.30 przy biurkach mieli być członkowie prezydii rad narodowych, kierownicy wydziałów i ich zastępcy oraz podległy im personel. O 10.00 nakazano przeprowadzić odprawy kierownictw przedsiębiorstw handlowych. „Obecność wszystkich pracowników bezwzględnie obowiązkowa” – dodawano śmiertelnie poważnym tonem.

Nie do wszystkich informacje o planowanej wymianie dotarły szybko. Na wieś niedzielne gazety nie dochodziły, radio wciąż było luksusem. Nie dziwne więc, że ci, do których dotarła hiobowa wieść, starali się na różne sposoby ratować się przed nadchodzącą katastrofą. Od nieświadomych sytuacji próbowano kupować zwierzęta, spłacać prywatne długi (jak wspomniany Franek) lub pożyczać pieniądze z nadzieją na spłatę zadłużenia w nowej walucie. Próbowano pozbywać się banknotów, które za kilka dni stracą dwie

trzecie wartości. Prasa donosiła o kontrakcjach. „We wsi Teodorów w woj. łódzkim bogacz wiejski Wojciechowski nabył od średniorolnego chłopą zrebę za 32 tys. starych złotych. Ekipa robotnicza z zakładów im. Dzierżyńskiego w Łodzi zorganizowała we wsi zebranie informacyjne o reformie pieniężnej i pomogła pokrzywdzonemu odzyskać swoją własność”.

Zaobserwowano też wzmocnienie prac w przydomowych ogrodach. W „bankach ziemskich” ukrywano waluty i złoto, których nie chciano oddać władzy. Niektórzy próbowali w trybie ekspresowym przetapiać złote monety na pierścionki i obrączki.

Obłęzenie przeżywały wszelkiego rodzaju knajpy. Zachęcała do tego nie tylko wymiana pieniędzy, ale też zaplanowana na poniedziałek olbrzymia – bo sięgająca 50 proc. – podwyżka cen alkoholu. Paradoksalnie zyskiwał Kościół – tej niedzieli ofiary na tacę były szczególnie hojne.

Poniedziałek przy kasie

W poniedziałek swoje podwoje otworzyły punkty wymiany. W województwie katowickim było ich 1,5 tys., w Łodzi – 100. W Warszawie stworzono ich tylko 50. Część punktów organizowano w zakładach pracy. Także w poniedziałek zaczęto wypłacać pierwsze wynagrodzenia w nowych banknotach.

Prasa donosiła o powszechnym poparciu decyzji władz. „Z radością czekam na nowe pieniądze. Wiem, że jeżeli ustawę opracował Rząd Ludowy, to będzie na pewno z pożytkiem dla nas, ludzi pracy” – mówił warszawski robotnik Świerczyński. Przodownicy pracy prześcigali się w zgłaszaniu zobowiązań ku czci reformy pieniężnej. Załoga Zakładów Przemysłu Skórzanego im. Mariana Buczka w Lublinie postanowiła uczcić wymianę pieniędzy dodatkową produkcją 8 tys. par obuwia. Jednocześnie z niekłamana satysfakcją odnotowywano panikę szerzącą się wśród bogatych chłopów – czyli według ówczesnej nomenklatury „kułaków”. W rzeczywistości ludzie byli wściekli – wielu z nich traciło właśnie dorobek ostatnich lat. Niektórzy gorzko komentowali: głosowaliście trzy razy tak, to macie trzy razy mniej. Odnotowywano także próby samobójcze.

Stare pieniądze obowiązywały jeszcze do 5 listopada – można było płacić nimi, ale w przeliczniku 100:1. Oznaczało to, że towary były 2/3 droższe niż jeszcze 28 października. Nieliczni prywatni przedsiębiorcy, którzy przetrwali „bitwę o handel”,

starali się nie otwierać sklepów, aby nie zostać ze starą walutą. Tu interweniował „czynnik społeczny” – czyli aktyw partyjny i OROM. Za odmowę przyjmowania starych banknotów groziły dwa lata więzienia lub 50 tys. zł grzywny.

Chłopom zezwolono, aby ratę podatku gruntowego zapłacili jeszcze w starym pieniądzu. Jak ogłoszono, było to „podyktowane interesami chłopów małorolnych i średniorolnych”. Co więcej, nakazano, aby długi, jakie chłopci zaciągnęli „u bogaczy wiejskich i lichwiarzy”, zostały spłacone w stosunku 100:1. Oznaczało to, że realnie dłużnikom darowywano w ten sposób dwie trzecie zadłużenia.

Wymianę ostatecznie zakończono 8 listopada 1950 r. Jak podano, na nowe pieniądze wymieniono 98,5 proc. starych banknotów.

Po co to było?

Decyzja o przeprowadzeniu tak olbrzymiej operacji została wymuszona rozpoczynającym się właśnie planem sześcioletnim. Miał on zbudować w Polsce Ludowej system ekonomiczny wzorowany na tym, który w ZSRS stworzył Stalin. Oznaczało to olbrzymie nakłady na rozwój przemysłu rozwijanego kosztem konsumpcji. Wzrost obiegu pieniądza bardzo szybko doprowadziłby do inflacji, a ta do pustych sklepowych półek. Postanowiono więc odebrać pieniądze ludziom, aby ograniczyć im możliwość zakupów.

Wymiana w sposób symboliczny kończyła okres podporządkowywania polskiej gospodarki Sowietom. Parytet nowego złotego określono w złocie – miał być to 0,222168 grama czystego złota. Było to dokładnie tyle, ile wart był rubel. „Nasz złoty zyskał taką samą siłę jak rubel, a wiemy, jak rośnie siła związku Radzieckiego” – oficjalnie cieszyła się mieszkanka Rzeszowa. Dolar kosztował 4 zł – choć była to tylko teoria, złoty nie był bowiem wymienialny.

Antyinflacyjna akcja niewiele dała. Już w sierpniu 1951 r. tłumy ruszyły na sklepy. Propagandowe kontrakcje nic nie dały i trzeba było wprowadzić kartki na żywność. Ostatecznie skończyło się to drakońską podwyżką cen w styczniu 1953 r. Wymiana pieniędzy z 1950 r. pozostała traumą, która wracała do Polaków przez następne dziesięciolecia. Wielokrotnie pojawiające się plotki o kolejnej wymianie pieniędzy prowadziły do pustoszenia sklepów. Złoty już nie odzyskał takiego zaufania, jakim cieszył się przed 1939 r.



Fragment ekspozycji Centrum Pieniądza NBP

DENOMINACJA PIENIĄDZA W 1995 r.

„ZŁOTY NOWEJ ERY”



DENOMINACJA POLSKIEGO PIENIĄDZA, CHOĆ STANOWIŁA W DUŻEJ MIERZE TECHNICZNĄ OPERACJĘ PIENIĘŻNĄ (WYMIANĘ STAREJ JEDNOSTKI PIENIĘŻNEJ NA NOWĄ, WEDŁUG USTALONEJ STOPY), NIE MOĞŁA BYĆ ODERWANA OD REALIÓW GOSPODARCZYCH. TO NIE BYŁA SZYBKA I NIESPODZIEWANA REFORMA WALUTOWA, LECZ ROZŁOŻONY W CZASIE PROCES...



ANNA BRZYSKA

Proces ten polegał na wprowadzeniu nowego stabilnego złotego w miejsce starego złotego, zdevaluowanego przez inflację. W latach

80. polska gospodarka znajdowała się w stanie postępującego rozkładu. Lata 1981–1990 przyniosły zdecydowane zaostrenie inflacji i gwałtowny spadek siły nabywczej złotego.

Zmiana ustroju nie powstrzymała tego zjawiska. Łączny wzrost cen pod koniec 1989 r. wyniósł 251,1 proc., a w 1990 r. – już 585,8 proc. W tych warunkach, na przełomie lat 80. i 90., Narodowy Bank Polski rozpoczął przygotowania do denominacji złotego.

Sposób przeprowadzenia wymiany pieniądza miał zasadnicze znaczenie dla powodzenia tej operacji, gdyż w świadomości społecznej samo określenie „reforma pieniężna” wywoływało obawę przed nagłą utratą oszczędności. Ciągłe żywe było bowiem wspomnienie reformy pieniężnej z 1950 r., w wyniku której Polacy utracili ok. 2/3 swoich zasobów gotówkowych.

Po co nam ta denominacja?

Za przeprowadzeniem denominacji przemawiały co najmniej trzy zasadnicze argumenty. Pierwszy dotyczył wizerunku polskiej gospodarki. Pieniądz był bowiem postrzegany jako jeden z symboli władzy państwowej, a zaufanie do niego tworzyło przekonanie o sile i stabilności państwa. To z kolei przekładało się bezpośrednio na ocenę kraju na arenie międzynarodowej. W tym przypadku dostrzegano się także do reformy Władysława Grabskiego z 1924 r., kiedy uzdrowieniu gospodarki towarzyszyło wprowadzenie nowej jednostki pieniężnej – złotego – w miejsce zdeprecjonowanej marki polskiej.

Poza przesłankami reputacyjnymi pojawiły się również argumenty ustrojowe – stary złoty był walutą poprzedniego systemu politycznego i ekonomicznego. III RP chciała się symbolicznie odciąć od peerelowskiej przeszłości, uosabiającej zwłaszcza przez postaci uwiecznione na banknotach: Ludwika Waryńskiego (100 zł) i gen. Karola Świerczewskiego (50 zł). Nowy złoty miał natomiast reprezentować nową polską rzeczywistość gospodarczą.



Na banknotach wyemitowanych w latach 1990–1992: 500 000 zł (z podobizną Henryka Sienkiewicza), 1 000 000 zł (z portretem Władysława Reymonta) i 2 000 000 zł (z wizerunkiem Ignacego Jana Paderewskiego), widniała już nowa nazwa państwa: „Rzeczpospolita Polska” oraz wizerunek orła w koronie, ale znak wodny nadal prezentował godło PRL

Celowość denominacji potwierdzały ponadto względy praktyczne. Przeliczanie i zapisywanie długich ciągów cyfr stawało się kłopotliwe nawet przy użyciu ówczesnych kalkulatorów i programów komputerowych. Nie bez znaczenia były także rosnące koszty obsługi obrotu gotówkowego oraz koszty produkcji i przechowywania pieniędzy. Tuż przed denominacją posługiwano się aż 16 nominałami! Państwowa Wytwórnia Papierów Wartościowych nie nadążała z produkcją pieniądza papierowego, a monety niemal całkowicie wyszły z użytku, gdyż w zasadzie przestały pełnić funkcję mierników wartości.

Między PRL a III RP, czyli czym były „banknoty przejściowe”

Po 1990 r., pomimo dokonanych formalnie zmian ustrojowych, do obiegu wciąż trafiały nominały tzw. banknotów przejściowych, opatrzone symboliką poprzedniego ustroju. Nazwę państwa, a także godło i herb Polski zmieniono co prawda już w ustawie z 29 grudnia 1989 r., jednak równocześnie przewidziano w niej, że znaki pieniężne ze starymi oznaczeniami mogą być emitowane w ciągu pięciu kolejnych lat. Chodziło zatem o stopniowe, ale bardzo czytelne, pożegnanie ze starym systemem i z jego symboliką.

Z kolei na banknotach wyemitowanych w latach 1990–1992, tj. 500 000 zł (z podobizną Henryka Sienkiewicza), 1 000 000 zł (z portretem Władysława Reymonta) i 2 000 000 zł (z wizerunkiem Ignacego Jana Paderewskiego), widniała już nowa nazwa państwa: „Rzeczpospolita Polska” oraz wizerunek orła w koronie, ale znak wodny nadal prezentował godło PRL.

Dopiero pieniądze wyemitowane z datą 16 listopada 1993 r. pozbawiono oznaczeń minionego okresu. W 1994 r. Narodowy Bank Polski wprowadził do obiegu – częściowo zmienioną kolorystycznie – serię banknotów od 50 000 zł do 2 000 000 zł. Miały one identyczne jak seria z lat 1989–1992 główne elementy graficzne i wizerunki postaci, ale zyskały nowoczesne zabezpieczenia oraz dodatkowe elementy wyróżniające, m.in. znak wodny ze stylizowaną głową orła w koronie i litery „RP”, mikrodruki z oznaczeniem emitenta i nazwą państwa, a w banknocie o najwyższym nominale (2 000 000 zł) po raz pierwszy wprowadzono farbę zmienną optycznie.

„Zasłoń palcem zera cztery – zyskasz złoty nowej ery”

Założenia denominacji były gotowe już w 1989 r., jednak Sejm uchwalił odpowiednią ustawę dopiero 7 lipca 1994 r. Zwłoka wynikała z oczekiwaniami na spodziewane obniżenie poziomu inflacji. >>

» Tymczasem rosnące nominały banknotów sprawiały, że pieniądź stawał się coraz mniej poręczny i wygodny w użyciu. Wszyscy płacili milionami. Dla przedsiębiorców podstawową jednostką rozliczeń były miliardy, a budżet liczono w bilionach złotych. Pod koniec 1994 r. przeciętne miesięczne wynagrodzenie wynosiło 5 328 000 zł, a ceny podstawowych towarów osiągały zawrotne ceny. Przykładowo, jedno jajko kosztowało ok. 2800 zł, chleb – 7400 zł, kilogram cukru – 14 000 zł, litr mleka – 5700 zł, a kilogram schabu – ok. 90 000 zł. Najtańszy samochód, czyli Fiat 126p, wart był 80 mln zł.

Denominację złotego rozpoczęto z dniem 1 stycznia 1995 r. Wymianę pieniędzy ustalono według relacji 10 000:1, co oznaczało, że 10 000 starych złotych odpowiadało jednemu nowemu złotemu, a 100 starych złotych – jednemu groszowi. Z tego też powodu reformę denominacyjną nazywano „obcięciem czterech zer”. Stare i nowe pieniądze funkcjonowały w obiegu równolegle przez dwa lata. Wycofane banknoty można było jednak wymieniać w placówkach bankowych aż do końca 2010 r.

Nowe banknoty (za wyjątkiem nominałów 100 i 200 zł) weszły do obiegu już z początkiem stycznia 1995 r. Serię „Władcy polscy” zaprojektował Andrzej Heidrich – grafik i artysta plastyk, twórca projektów wcześniejszych banknotów obiegowych pn. „Wielcy Polacy” (z lat 1974–1993). W ramach denominacji wprowadzono pięć nominałów banknotów, na których umieszczono wizerunki książąt i królów Polski: Mieszka I (10 zł), Bolesława Chrobrego (20 zł), Kazimierza Wielkiego (50 zł), Władysława Jagiełły (100 zł) i Zygmunta Starego (200 zł). (Ostatnim uzupełnieniem serii banknotów „Władcy polscy” był nominał o wartości 500 zł – z wizerunkiem króla Jana III Sobieskiego – wprowadzony do obiegu w lutym 2017 r.).

Cała seria wyróżniała się wysokim poziomem artystycznym i technicznym. W produkcji po raz pierwszy wykorzystano wypukły druk dla graficznego oznaczenia nominałów. Dzięki temu mogły być one rozpoznane przez osoby niewidome. Wszystkie banknoty wyposażono w nowoczesne zabezpieczenia antyfałszerskie, takie jak: efekt kątowy, druk recto-verso, nitki świecące w ultrafiolecie, mikrodruki, a w przypadku najwyższego nominału 200 zł – także hologram. Przy wymianie pieniędzy



Wszystkie banknoty wprowadzone do obiegu w styczniu 1995 r. wyposażono w nowoczesne zabezpieczenia antyfałszerskie, takie jak: efekt kątowy, druk recto-verso, nitki świecące w ultrafiolecie, mikrodruki, a w przypadku najwyższego nominału 200 zł – także hologram

zdecydowano ponadto o wprowadzeniu dziewięciu nowych nominałów monet: od 1 gr do 5 zł.

Krótkie szkolenie z rachunków, czyli jak przeliczać stare na nowe

W badaniach opinii publicznej, które przeprowadzono przed denominacją, respondenci najczęściej deklarowali, że w związku z planowaną reformą najbardziej obawiają się ryzyka strat gotówkowych i rachunkowych pomyłek przy przeliczaniu starej waluty na nową. W celu rozwiania tych wątpliwości NBP przygotował szeroko zakrojoną kampanię informacyjną i edukacyjną. Jej celem było przekazanie prostych instrukcji ułatwiających ustalanie wartości nowych nominałów. Popularny slogan głosił: „Zasłoń palcem zera cztery – zyskasz złoty nowej ery”. Dla ułatwienia codziennych zakupów wiele gazet publikowało ceny podstawowych produktów spożywczych w przeliczeniu na stare i nowe złote. W sklepach, bankach i urzędach pojawiły się plakaty przedstawiające nowe wzory obiegowych znaków pieniężnych.

„Prawo i Życie” w ostatnim wydaniu z 1994 r. zalecało czytelnikom: „Rozmawiajmy o nowych cenach w rodzinie, wymyślajmy dla nich łatwe do zapamiętania określenia – np. pół litra za dychę, stówka-groszówka itp.”. Ceny towarów w sklepach podawano najczęściej w starych i nowych złotych (zaokrąglając je

do pełnego grosza, gdy końcówka ceny przekraczała 50 starych złotych).

Denominacja oczami polskiego społeczeństwa

Badanie przeprowadzone przez OBOP na początku lutego 1995 r., miesiąc od rozpoczęcia denominacji, pokazało, że nowe pieniądze mieli w rękach już niemal wszyscy Polacy. Aż 87 proc. ankietowanych deklarowało, że nie ma żadnych kłopotów z przeliczaniem i wymiennym posługiwaniem się dwoma rodzajami pieniędzy, a 72 proc. badanych uznało, że przeprowadzenie denominacji było zasadne i potrzebne.

Przez wielu Polaków denominacja została zapamiętana jako swoiste przeżycie pokoleniowe. Jedna z osób zapytanych w ulicznej sondzie, jak po 10 latach pamięta początek denominacji, wyznała szczerze: „To był szok. Pensję – cztery miliony – dostałam w styczniu w czterech stułotowych papierkach. Wartościowo nie było to ani więcej, ani mniej od dotychczasowej wypłaty, którą wtedy dostawałam, ale szok był. Gdyby ceny nie były podawane w dwóch wersjach, to trudno byłoby się zorientować, co ile naprawdę kosztuje”.

Patrząc z perspektywy ćwierćwiecza, które upłynęło od czasu przeprowadzenia denominacji, należy stwierdzić, że reforma z początku 1995 r. ułatwiła rozliczenia finansowe, przyczyniła się do uproszczenia zapisów rachunkowych, a nowe znaki pieniężne zostały bardzo szybko zaakceptowane przez społeczeństwo.

Chłopcy do zabicia



MAREK
JUREK

Młodzi poeci „Sztuki i Narodu” mieli szczęście, że ich towarzysze broni, którzy przeżyli, zadbali po wojnie o ich pamięć. Inaczej pochłonięłaby ich historia. Po wojnie – jak pisze prof. Paweł Rodak – zarzucano im „faszyzm”. Śmierć w walce z Niemcami Hitlera nie immunizowała od takich oskarżeń.

Na czym więc polegała racjonalność tych zarzutów? Po pierwsze – wynikała z klasycznego stalinowskiego antyfaszyzmu: faszyzm to najprostszy zarzut wobec każdego politycznego przeciwnika. Po drugie – z autentycznych lewicowych fobii, dla których krytyka demokracji liberalnej (uprawiana systematycznie przez twórców „Sztuki i Narodu”), a tym bardziej deklarowany imperializm – stanowią jeśli nie proste wyznaczniki, to w każdym razie dostateczne poszlaki faszystowskich paranteli.

W istocie w sugestiiach tych nie chodziło o żaden faszyzm jako taki, a więc badanie politycznych relacji między Konfederacją Narodu a Falangą hiszpańską, albo między Robertem Brasillachem a Wacławem Bojarskim. Nie, nie chodziło o najbardziej nawet brutalną polityczną krytykę, ale o deprecjację etyczną, o imputowanie przeciwnikom i ofiarom nazizmu – pokrewieństw z nazizmem po prostu. Na tym właśnie polegała perwersja tych pośmiertnych oskarżeń. Funkcjonariusz UB przesłuchujący Wiesława Chrzastowskiego wykrzyczał mu: „Zniszczymy was nie tylko fizycznie, zniszczymy was moralnie!”.

Stanisław Beres, biograf Tadeusza Gajcego, mówi w wywiadzie dla „Kultury Liberalnej”, że twórcy „Sztuki i Narodu” próbowali godzić wolność z „wizją kultury stotalizowanej”, że „po to została wymyślona cała koncepcja uniwersalizmu”. Tymczasem uniwersalizm Józefa Warszawskiego SJ nie był żadną utylitarną „koncepcją”, lecz konkretną formą

realizmu tomistycznego. Nie „wymyślał” go polityczny lider, ale opracował filozof będący księdzem.

Zamknięty, liberalny umysł nie jest w stanie pojąć, że katolicki uniwersalizm przeciwny był liberalizmowi właśnie dlatego, że był antytotitalarny. Oba te produkty nowoczesności, progresywny liberalizm i totalizm, mają charakter konstruktywistyczny, uważają, że władza polityczna może dowolnie „przekształcać” porządek natury, może likwidować historyczne państwa narodowe czy „redefiniować” rodzinę, byle tylko posiadała właściwą legitymację polityczną. Koncentrują się na problematyce władzy, co samo w sobie ma posmak totalitarny. Dla liberalizmu władza musi mieć źródło w wyborach, dla wyraźniej manifestowanego totalizmu – w partii jednoczącej społeczeństwo, dającej mu siłę polityczną. Ale dla jednego i drugiego nie ma dosłownie niczego świętego, nieetykalnego. Właściwie wyłonionej władzy, „przez lud” albo „w imię ludu” „dla ludu”, wszystko wolno. Przeciw tym totalistycznym tendencjom nowoczesności myśl katolicka od 200 lat stawiała w obronie rzeczywistości konkretnych, takich jak religia, kultura, naród, rodzina.

Sam imperializm „Sztuki i Narodu”, podobnie jak imperializm przedwojennego „Buntu Młodych”, stanowił przekroczenie nacjonalizmu. Był dążeniem do ładu międzynarodowego bezpiecznego dla niepodległej Polski i – w obu przypadkach – przekonaniem, że można go stworzyć tylko wspólnie z innymi narodami.

Henry Kamen w swej wielkiej pracy o „dziejach i upadku Imperium Hiszpańskiego” trafnie pisze, że choć „przy-

zwyczailiśmy się myśleć, że to Hiszpania stworzyła imperium, tymczasem [...] to imperium stworzyło Hiszpanię. [...] To dopiero zadanie stworzenia imperium stało się dla narodów zamieszkujących Półwysep Iberyjski wspólnym celem, którego realizacja zbliżyła je do siebie i dała im nowe poczucie jedności narodowej”, samo zaś „imperium hiszpańskie było w równej mierze tworem Europejczyków, co rodzimych Amerykanów, Afrykanów i Azjatów”.

Przedwojenna doktryna Bocheńskiego zakładała, że Polska musi systematycznie wspierać opór narodów Europy Środkowej wobec ekspansji Niemiec i ZSSR. Poeci „Sztuki i Narodu” studiowali kulturę czeską i ukraińską w przekonaniu, że razem z tymi narodami utworzymy po wojnie wspólnotę polityczną, zapewniając Polsce pokój, rozwój i bezpieczeństwo. ■

Twórcy „Sztuki i Narodu” próbowali godzić wolność z „wizją kultury stotalizowanej”. Na zdjęciu Tadeusz Gajcy



Styczeń



**MICHAŁ
KOMUDA**

1 I 1916

Podczas I wojny światowej rozpoczęła swoją działalność największa polska organizacja samopomocowa – Rada Główna Opiekuńcza.

5 I 1946

W Warszawie uruchomiono dwie pierwsze linie trolejbusów. Warszawiacy korzystali z tego typu transportu do 1995 r., z dziesięcioletnią przerwą, od 1973 do 1983 r.



6 I 1796

Niespełna dwa i pół miesiąca po podpisaniu umowy przypieczętowującej trzeci rozbiór Rzeczypospolitej w Krakowie powołano do życia Centralizację Lwowską. Była ona pierwszą tajną organizacją zmierzającą do wywołania niepodległościowego powstania.

15 I 1791

W Warszawie odbyło się premierowe wystawienie komedii politycznej Juliana Ursyna Niemcewicza „Powrót posła”.



18 I 1926

Na pokładzie trałowca ORP „Mewa” przybył na półwysep Westerplatte pierwszy polski oddział. Wydarzenie to zapoczątkowało chlubną historię Wojskowej Składnicy Tranzytowej.

22 I 1921

Sto lat temu w Warszawie przyszedł na świat jeden z najwybitniejszych poetów pokolenia Kolumbów, Krzysztof Kamil Baczyński. Poległ jako żołnierz Batalionu „Parasol” czwartego dnia powstania warszawskiego.



27 I 1736

Doszło do abdykacji króla Stanisława Leszczyńskiego. Były monarcha resztę życia spędził w podarowanym mu przez zięcia, króla Francji Ludwika XV, księstwie Lotaryngii i Bar.



> 16 I 1791

W Strzałkowie przyszedł na świat weteran walk niepodległościowych, kawaler Legii Honorowej i Orderu Virtuti Militari, gen. Henryk Dembiński. Jego nazwiskiem zostały nazwane ulice zarówno w Warszawie, jak i w Budapeszcie.

Początkowo rzemiosła wojenne uczył się w wiedeńskiej wojskowej Akademii Inżynieryjnej. W 1809 r. zgłosił się jako szeregowiec do armii Księstwa Warszawskiego. Walcząc w kampaniach napoleońskich, wyróżnił się m.in. w bitwach pod Smoleńskiem oraz Lipskiem, dosłużywszy się stopnia kapitana. Po upadku Napoleona w 1825 r. został posłem na Sejm Królestwa Polskiego. Za broń ponownie chwycił podczas powstania listopadowego. Jego przebieg uwiecznił w swoim pamiętniku, na którego pierwszych kartach pisał: „Młodzież sąsiadka zaczęła do mnie zjeżdżać, wzywając, abym stał na jej czele. [...] Naród cały pałał chęcią zmierzenia się z wrogiem; już wtenczas doszła nas była wiadomość, że generał Chłopicki stanął na czele poruszenia”. Dembiński wyróżnił się w bitwie pod Dębem Wielkim, a pod Kuflewem zdołał powstrzymać ofensywę feldmarszałka Iwana Dybicza. Stał też na czele jednego z oddziałów wysłanych na pomoc powstańcom na Litwie. Jednocześnie był jedynym dowódcą, który latem 1831 r. zdołał ze swoimi żołnierzami powrócić do Królestwa i w spektakularnym rajdzie przebić się do Warszawy, co spotkało się z olbrzymim entuzjazmem ze strony jej mieszkańców. Wyczyn ten trafił na karty podręczników wojskowych, a podkomendni Dembińskiego na pamiątkę tego sukcesu ufundowali mu pięknie zdobiony pałasz. W sierpniu, gdy był już w randze generała, na krótko powierzono mu funkcję warszawskiego gubernatora wojskowego, a następnie naczelnego wodza. Walczył w obronie Warszawy, a po jej upadku był zwolennikiem kontynuowania działań wojennych. Wraz ze swoim oddziałem opuścił granice Królestwa Polskiego dopiero po potyczce pod Księtami, stoczonej 5 października. Nigdy więcej nie było dane mu powrócić do Polski. Jednak na emigracji nie porzucił swoich dążeń do odzyskania niepodległości. Dróg jej wywalczenia poszukiwał w toczonych ówczesnie konfliktach zbrojnych. Związał się z obozem księcia Adama Czartoryskiego i wraz z nim wszedł do władz utworzonego w Paryżu tajnego niepodległościowego Związku Jedności Narodowej. Pisarz i publicysta Zygmunt Miłkowski, który opisał przedstawicieli polskiej emigracji, scharakteryzował gen. Dembińskiego jako osobę porywczą i konfliktową, ale z drugiej strony obdarzoną nieprzeciętnym intelektem oraz kochającą ojczyznę. Był jednym z polskich dowódców, którzy wzięli udział w węgierskim powstaniu

w 1848 r. W lutym 1849 r. został nawet mianowany naczelnym dowódcą powstańczych wojsk. Funkcję tę utracił jednak po porażce w bitwie z siłami cesarskimi 26 lutego 1849 r. pod Kápolną. Mimo to walczył do końca rewolucji, będąc dowódcą jednej z jej armii. Godne podkreślenia jest to, że żyjąc na emigracji, realizował się również jako wynalazca, a jego prace na tym polu dotyczyły wielu zagadnień. Zmarł w Paryżu 13 czerwca 1864 r.

> 24 I 1921

W Warszawie urodził się komendant warszawskich Grup Szturmowych, legenda konspiracyjnego harcerstwa, harcmistrz, ppor. Tadeusz Zawadzki „Zośka”. Był jednym z głównych bohaterów książki „Kamienie na szaniec”, a jego pseudonim jako nazwę nosił najsłynniejszy batalion powstania warszawskiego.

Tadeusz Zawadzki dorastał w rodzinie z patriotycznymi tradycjami, jego dziadek walczył w powstaniu styczniowym. Wraz ze swoimi przyjaciółmi Janem Bytnarem „Rudym” i Maciejem Dawidowskim „Alkiem” ukończył Gimnazjum im. Stefana Batorego i należał do 23. Warszawskiej Drużyny Harcerskiej, słynnej „Pomarańczarni”. Od pierwszych dni okupacji włączyli się w działalność konspiracyjną, na początku w organizacji PLAN, a następnie ZWZ. Jednocześnie jako harcerze weszli w strukturę Szarych Szeregów. W ich ramach „Zośka” został komendantem hufca „Mokotów Górny”. Jednocześnie będąc jednym z najaktywniejszych uczestników Organizacji Małego Sabotażu „Wawer”, namalował na murach okupowanej stolicy największą liczbę znaków Polski Walczącej, za co otrzymał honorowy pseudonim Kotwicki. W listopadzie 1942 r. powierzono mu dowództwo warszawskiego hufca „Centrum” i Grup Szturmowych Chorągwi Warszawskiej, a także został zastępcą dowódcy Oddziału Specjalnego „Jerzy” Kedywu KG AK. Brał udział w wielu akcjach dywersyjnych oraz zbrojnych polskiego podziemia, w tym w tej najsłynniejszej, 26 marca 1943 r. pod Arsenalem, gdy przyszło mu odbijać z rąk okupanta swojego przyjaciela „Rudego”. Dowódca akcji Stanisław Broniewski „Orsza” w następujący sposób opisał jej przełomowe chwile: „Moment kryzysu mija. Przełamuje go »Zośka«, porywając za sobą wszystkich do ataku. [...] Auto zostaje zdobyte”. Poległ w nocy 20 sierpnia 1943 r. podczas akcji w Sieczkach. Spoczął obok swoich przyjaciół na wojkowych Powązkach.



Luty

1 II 1411

W Toruniu podpisano traktat pokojowy kończący wojnę pomiędzy zakonem krzyżackim a Polską i Wielkim Księstwem Litewskim. Zgodnie z jego postanowieniami dwa ostatnie państwa odzyskiwały odpowiednio ziemię dobrzyńską oraz Żmudź.



3 II 2011

Dziesięć lat temu Sejm RP przyjął ustawę o ustanowieniu dnia 1 marca Narodowym Dniem Pamięci „Żołnierzy Wyklętych”. Projekt ustawy został złożony rok wcześniej przez ówczesnego prezydenta Lecha Kaczyńskiego.



8 II 1951

Siedemdziesiąt lat temu funkcjonariusze komunistycznego reżimu zamordowali w mokotowskim więzieniu dowódcę 5 Wileńskiej Brygady AK, mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszkę”. Jego ostatnie chwile wspominał współwięzień kpr. Mieczysław Chojnacki „Młodzik”: „Na wezwanie [...] podszedł spokojnie do drzwi, następnie zatrzymał się przez chwilę, odwracając bokiem do pozostających w celi, i pożegnał słowami »Z Bogiem Panowie«”.



14 II 1831

Pod Stoczkiem rozegrała się pierwsza bitwa powstania listopadowego. Korpus gen. Józefa Dwernickiego nie tylko pokonał przeważające siły rosyjskiego gen. Fiodora Geismara, lecz zdobył również cenne działa wraz z amunicją.

15 II 1951

Podpisano umowę, w myśl której doszło do wymiany terytoriów pomiędzy komunistyczną Polską a Związkiem Sowieckim. Korekta została przeprowadzona zgodnie z planami Moskwy, która zyskiwała w ten sposób część żyznych i bogatych w złoża naturalne terenów województwa lubelskiego, a oddawała ubogi region okolic Ustrzyk Dolnych.



16 II 1981

Dziesięć miesięcy przed wprowadzeniem stanu wojennego w Polsce przeprowadzono grę sztabową, w której oficerowie oraz pracownicy ministerstw testowali różne warianty pacyfikacji kraju. Pięć dni wcześniej premierem PRL został Wojciech Jaruzelski.

18 II 1846

Z inspiracji austriackich zaborczych władz doszło do pierwszych ataków chłopskich na majątki szlacheckie. Zapoczątkowały one tragedię bratobójczej rzezi galicyjskiej.



19 II 1921

Sto lat temu w Paryżu Polska i Francja podpisały umowę sojuszniczą. Podczas II wojny światowej była ona podstawą do formowania Polskich Sił Zbrojnych na francuskim terytorium.



➤ 10 II 1926

Dziewięćdziesiąt pięć lat temu Gdynia otrzymała prawa miejskie. Zawrotny rozwój „białego miasta” i budowanego tam portu był ucieleśnieniem marzeń i talentów społeczeństwa II Rzeczypospolitej.

Dzieje osady rybackiej i letniska nadmorskiego, jakim wówczas była Gdynia, odmieniły się w czerwcu 1920 r. To wtedy inż. Tadeusz Wenda, działając na polecenie wiceadm. Kazimierza Porębskiego, wytypował jej okolice jako najdogodniejsze miejsce na polskim Wybrzeżu do budowy portu, którego wskrzeszona Polska nie posiadała. Dwa lata później Sejm przyjął uchwałę o rozpoczęciu tej gigantycznej inwestycji. Dzięki temu w kwietniu 1923 r. otwarto tymczasowy port wojenny i schronisko dla rybaków, a latem wpłynął do niego pierwszy oceaniczny statek. Wreszcie 10 lutego 1926 r. rząd polski przyznał Gdyni prawa miejskie. Niespełna cztery miesiące później tekę ministra przemysłu i handlu objął inż. Eugeniusz Kwiatkowski, polityk, który nadał rozbudowie nowego portu niespotykany rozmach. To dzięki jego pasji i zabiegom pozyskano olbrzymie, jak na możliwości przedwojennej Polski, fundusze dla gdyńskiego projektu. Ogólnonarodowy wysiłek zaowocował tym, że już w 1934 r. Gdynia stała się najnowocześniejszym i największym, jeśli chodzi o ilość przeładowywanych towarów, portem na Bałtyku. Zabudowę miasta wyróżniała modernistyczna architektura oraz jego planistyczne dostosowanie do potrzeb mieszkańców, których liczba z nieco ponad tysiąca w 1921 r. wzrosła w ostatnich miesiącach dwudziestolecia międzywojennego do 127 tys.

➤ 25 II 1831

W podwarszawskiej Olszynie Grochowskiej rozegrała się jedna z największych bitew od czasów wojen napoleońskich. Młoda polska armia stawiała czoła przeważającym siłom zaprawionych w bojach carskich wojsk.

Wywołana wybuchem powstania listopadowego wojna polsko-rosyjska rozpoczęła się w zimową noc, z 5 na 6 lutego 1931 r., gdy na teren Królestwa Polskiego wkroczyła armia feldmarszałka Iwana Dybicza. Dysproporcja sił obu stron była tak wielka, że większość polskich generałów, z samym dyktatorem Józefem Chłopickim, nie wierzyła w możliwość pokonania kolosa, w starciu z którym poniósł klęskę sam bóg wojny, Napoleon. Mimo że armia Królestwa Polskiego, która była oczkiem w głowie wielkiego księcia

Konstantego, uchodziła za jedną z najnowocześniejszych i najlepiej wyszkolonych w Europie. Dlatego pewni swojej przewagi Rosjanie od stoczonej 14 lutego bitwy pod Stoczkiem ponosili kolejne porażki. Nie zmieniło to jednak faktu, że już 19 lutego walczyli na przedpolach Warszawy pod Wawrem, a dzień później podjęli pierwszą, nieudaną próbę ataku na Olszynkę Grochowską. Drugie natarcie rozpoczęło się rano 25 lutego. Rosyjskie wojska miały znaczną przewagę liczebną i aż blisko dwukrotną, jeśli chodzi o armaty. To właśnie ogień carskiej artylerii, ok. 9, rozpoczął bitwę. Trzy kwadransy później rosyjscy żołnierze runęli na grochowski las, początkowo zmuszając polski pułk do cofnięcia się. Jednak już pierwsze kontryderzenie Polaków doprowadziło do odzyskania pozycji. Feldmarszałek Dybicz bez sukcesu ponowił wzmocnionymi siłami natarcie. Widząc nieugiętą postawę polskich wojsk, wielki książę Konstanty miał, ku zdziwieniu carskich dowódców, z entuzjazmem krzyknąć: „To jest moja armia, moja armia...”. Dopiero trzecie natarcie, siłami 12 tys. ludzi, dało realne efekty. Wówczas dowodzący polską stroną gen. Chłopicki, z wielką brawurą, trzykrotnie uderzał na wroga i za czwartym razem, wsparty żołnierzami gen. Skrzyneckiego, wreszcie odniósł sukces, a wśród Rosjan pojawiły się pierwsze objawy paniki. Teraz feldmarszałek Dybicz zdecydował się osobiście poprowadzić kontrade-



renie. Niestety w tym kluczowym momencie dali o sobie znać niesnaski wśród polskich generałów, z których część nie uznawała gen. Chłopickiego jako głównodowodzącego. On sam został ranny i po skonsultowaniu zaistniałej sytuacji z wodzem naczelnym Michałem Radziwiłłem dowództwo przejął gen. Skrzynecki. Rosjanie, widząc kryzys przeciwnika, wyprowadzili potężne natarcie jazdy. Ku ich zdziwieniu Polacy nie tylko je wytrzymali, lecz dodatkowo do walki wprowadzili oddziały rakietników. Nowy, nieznany rodzaj broni oraz oprowadzanie w polskich szeregach zrobiło wrażenie na carskiej armii. Widząc karnie cofające się wojska gen. Skrzyneckiego oraz ogrom strat, feldmarszałek Dybicz odrzucił propozycję pościgu. Tego dnia wśród pni Olszyny Grochowskiej życie straciło ponad 15 tys. żołnierzy obu stron. Za tak wielką cenę zatrzymano rosyjski marsz na Warszawę, a działania powstańcze weszły w nową ofensywną fazę.

Opracował Michał Komuda

EUROPA JAGIELLOŃSKA

ZAPOCZĄTKOWANY W KREWIE W 1385 r. ZWIĄZEK KRÓLESTWA POLSKIEGO I WIELKIEGO KSIĘSTWA LITEWSKIEGO, KTÓREGO SYMBOLICZNYM NASTĘPSTWEM BYŁ ŚLUB KRÓLOWEJ JADWIGI ANDEGAWEŃSKIEJ Z WIELKIM KSIĘCIEM JAGIEŁŁĄ, PRZEZ NIEMAL DWA STULECIA BYŁ ROZWIJANY I POGŁĘBIANY KOLEJNYMI TRAKTATAMI UNIJNYMI, ZMIENIAJĄC WCZEŚNIEJ WROGIE SOBIE PAŃSTWA W BLISKICH SOJUSZNIKÓW

Rada koronna przyrzeka przestrzegać układu króla Władysława Jagiełły z wielkim księciem litewskim Witoldem w sprawie unii Polski i Litwy (1401 r.)

Jagiełłę w 1434 r. Wielkiego Księstwa Litewskiego w dożywotni zarząd Zygmunta Kiejstutowicza.

Na wzrost potęgi Jagiellonów wpłynęło wspaniałe zwycięstwo Polski i Litwy nad Krzyżakami pod Grunwaldem. Prestiż dynastii umacniał się w połowie XV w., czego wyrazem było zaoferowa-



JACEK KROCHMAL

Obydwa kraje były wzajemnie związane unią personalną, tj. osobą wspólnego władcy pochodzącego z litewskiego rodu Jagiellonów – potomków króla Władysława II Jagiełły (1386–1434). Aktem wienńczącym porozumienia zapoczątkowane w Krewie i przez niemal dwa kolejne stulecia stopniowo scalające oba państwa władane przez Jagiellonów była unia lubelska zawarta w 1569 r. Historycy trafnie nazwali ten długi proces „dojrzwaniem unii”, przez które musiały przejść wszystkie jego strony, poczynając od kolejnych władców, a na ich poddanych

z Korony i Litwy kończąc. Wśród licznych porozumień zbliżających Polskę i Litwę, oprócz najbardziej znanych unii horodelskiej (1413) i mielnickiej (1501), przykładowo wymienić można jeszcze przyrzeczenie złożone 11 marca 1401 r. przez radę koronną zobowiązującą się do honorowania układu zawartego między królem Władysławem Jagiełłą a wielkim księciem litewskim Witoldem w sprawie unii Polski i Litwy, czy też odnowienie unii grodzieńskiej z 1432 r. poprzez nadanie przez króla Władysława

Panowie węgierscy zawiadamiają króla Władysława III o wysłaniu poselstwa oddającego mu koronę i insygnia św. Stefana (1440 r.)



nie w 1440 r. przez panów węgierskich korony św. Stefana królowi polskiemu Władysławowi III (1434–1444), który do posiadanych już tronów w Krakowie i Wilnie dołączył jeszcze trzeci – w Budzie, gdzie panował pod imieniem Ulaszlo I (1440–1444). Tę krótką unię polsko-węgierską wkrótce gwałtownie przerwała tragiczna śmierć króla w bitwie z Turkami pod Warną w 1444 r. Dynastyczne związki polsko-węgierskie nie były niczym nowym, pamiętać przecież trzeba o unii tych państw po śmierci króla Kazimierza Wielkiego, gdy na tronie polskim zasiadł Ludwik Andegaweński (1370–1382). Następstwem tych związków dynastycznych było, wspomniane już, osadzenie na tronie polskim królowej Jadwigi, której ślub z Władysławem Jagiełłą rozpoczął długą historię władztwa Jagiellońskiego w Europie Środkowo-Wschodniej. Do tradycji tych jeszcze raz powrócono w drugiej połowie XV stulecia, gdy w wyniku elekcji Władysława, syna polskiego króla Kazimierza Jagiellończyka, królewicz został wybrany najpierw na tron czeski (1471), a następnie węgierski (1490), na których panował pod imieniem Władysława II Jagiellończyka (†1516). Był to kulminacyjny okres panowania Jagiellonów w środkowej Europie. O znaczeniu tej dynastii świadczy odbyty w Wiedniu w 1515 r. zjazd Jagiellonów i Habsburgów, który był kongresem decydującym o podziale wpływów w Europie Środkowo-Wschodniej pomiędzy przedstawicieli obu tych wielkich domów panujących. Gospodarzem obrad był cesarz Maksymilian, a jego gośćmi król polski i wielki książę litewski Zygmunt I oraz jego starszy brat, król węgierski i czeski Władysław II. Oprócz licznych uzgodnień natury politycznej rezultatem zjazdu było kilka mariaży mających spełnić ważne cele polityczne. Siostra króla Zygmunta Elżbieta Jagiellonka miała zostać żoną śląskiego Piasta – Fryderyka II, księcia legnicko-brzeskiego. Większe znaczenie dynastyczne miały dwa małżeństwa łączące Habsburgów z Jagiellonami. Syn króla Władysława II Jagiellończyka Ludwik poślubił wnuczkę cesarza Marię, a wnuk cesarza Ferdynand Habsburg pojął za żonę Annę Jagiellonkę, córkę króla Czech i Węgier. Sam cesarz Maksymilian przyrzekł, że po jego śmierci korona cesarska przypadnie Ludwikowi Jagiellończykowi. Świetnie rysujące się plany dynastyczne Jagiellonów gwałtownie przerwała śmierć Ludwika Jagielloń-

czyka, króla Czech, Węgier i Chorwacji, poniesiona w 1526 r. podczas bitwy pod Mohaczem, zwycięskiej dla wojsk tureckich sułtana Sulejmana Wspaniałego.

Upadek węgierskiej linii Jagiellonów zakończył wpływy tej dynastii w Czechach i na Węgrzech, gdzie zastąpili ją rosnący w potęgę Habsburgowie. Triumfy nadal odnosiła natomiast „stara” polsko-litewska gałąź dynastii Jagiellonów, rozwijając swe władztwo w Europie Środkowo-Wschodniej. Wieki XVI był okresem spektakularnego poszerzania granic Królestwa Polskiego. Włączano do niego terytoria pozostające poza nim od czasów rozbicia dzielnicowego, np. Mazowsze (1526), a związkami lennymi w orbitę wpływów Polski obejmowano sąsiednie kraje, w tym Prusy Książęce (1525), księstwa oświęcimskie i zatorskie, ziemie łęborsko-bytowską na Pomorzu czy Mołdawię. Za panowania Zygmunta II Augusta nasiliły się tendencje unijne, mające na celu trwałę łączność obu państw będących pod panowaniem króla i wielkiego księcia litewskiego. Będąc świadomy braku następcy tronu i groźby zerwania unii polsko-litewskiej po swej śmierci, król w 1564 r. przekazał Koronie Polskiej prawa dynastyczne Jagiellonów do władania Wielkim Księstwem Litewskim. Prerogatywa ta jeszcze bardziej wzmocniła pozycję Królestwa Polskiego we wzajemnych relacjach obu państw jagiellońskich. Kulminacją tego była decyzja króla o odłączeniu od Wielkiego Księstwa Litewskiego i przyłączeniu do Korony Podlasia, Wołynia, wschodniego Podola i Kijowszczyzny. Inkorporacja tych czterech województw była ciosem dla Litwy, jednak z punktu widzenia władcy nie zmieniała zakresu terytorialnego jego panowania, ziemie te po unii lubelskiej wraz z Koroną weszły bowiem w skład Rzeczypospolitej. Nową jakością było zaś objęcie panowaniem Zygmunta Augusta Inflant, co nastąpiło w 1561 r. w wyniku drugiego układu wileńskiego, czyli tzw. unii wileńskiej.

Ekspansja turecka na Europę Środkową doprowadziła do wymarcia węgierskiej linii Jagiellonów, którzy od tego czasu zaczęli przegrywać z Habsburgami rywalizację o dominację w tej



Sojusz króla czeskiego Władysława II Jagiellończyka z królem polskim Kazimierzem IV Jagiellończykiem (1489 r.)

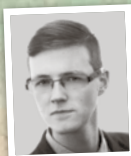
części kontynentu. Zwykle się uważało, że kres polsko-litewskiej linii Jagiellonów przyniosła śmierć króla Zygmunta Augusta, jednak pamiętać trzeba, że po nim na polskim tronie zasiadła jeszcze jego siostra – Anna Jagiellonka, panująca jako król polski i wielka księżna litewska. Jej ślub z księciem siedmiogrodzkim Stefanem Batorym nabiera symbolicznego znaczenia w kontekście omawianych zagadnień tradycji władztwa Jagiellonów w Europie Środkowo-Wschodniej. Jagiellonem po kądzieli był również kolejny król polski i wielki książę litewski. Mowa tu o siostrzeńcu Anny Jagiellonki, którym był Zygmunt III, syn króla szwedzkiego Jana III Wazy i królowny Katarzyny Jagiellonki. Pomimo wygaśnięcia dynastii Jagiellonów znaczenie cywilizacyjne ich panowania nad Europą Środkowo-Wschodnią okazało się trwałe. Już dawno dostrzegli je i opisali wybitni historycy: Oskar Halecki, Jenő Szűcs czy Jerzy Kłoczkowski, który tę część kontynentu nazywał Europą Słowiańską lub Młodszą Europą. W długim trwaniu związki łączące terytoria i narody środkowo-wschodniej Europy najwyraźniej zaznaczyły swój pozytywny wpływ we wspólnym dziedzictwie kulturowym narodów odwołujących się do tradycji polsko-litewskiej Rzeczypospolitej. Na tych rozległych obszarach wpływy kulturowe wielonarodowej i wielowyznaniowej Rzeczypospolitej były odczuwalne długo po upadku wspólnego państwa u schyłku XVIII w., przetrwały trudny czas niewoli narodowej, a są też obecne do dziś w nowych państwach ukształtowanych za wschodnimi granicami Polski.

GŁÓWNY URZĄD LIKWIDACYJNY – JAK II RP ŚCIGAŁA SWOICH DŁUŻNIKÓW



Archiwum
Akt
Nowych

WOJNA ŚWIATOWA I WOJNA POLSKO-BOLSZEWICKA POZOSTAWIŁY PO 1918 r. TYSIĄCE NIEUREGULOWANYCH SPRAW, REKWIZYCJI, RABUNKÓW I NADUŻYĆ WYRZĄDZONYCH PRZEZ ARMIE PAŃSTW ZABORCZYCH I CZERWONYCH NAJEŹDZCÓW. PAŃSTWO POLSKIE MUSIAŁO JAKOŚ TEN PROBLEM ROZWIĄZAĆ



RAFAŁ
KIERZKOWSKI

Kilkukrotnie przetwarzający się przez polskie ziemie front wojny światowej, upadek i rozpad dawnych mocarstw, odrodzenie Polski i nowe granice stworzyły niebywały chaos ekonomiczno-prawny. Już 31 stycznia 1919 r. dekretem Naczelnika Państwa powołano do życia Główny Urząd Likwidacyjny. Zgodnie z wytycznymi Urząd miał się zająć ustaleniem wysokości strat poniesionych przez państwo i obywateli, a następnie prowadzeniem spraw z sąsiednimi państwami w celu uzyskania odszkodowań. Pierwszym prezesem i jednocześnie współtwórcą Urzędu został Władysław Grabski.

Komisja Główna, Komisje Szacunkowe i delegatury zagraniczne

Działalność Urzędu wymagała budowy poważnych struktur. W ciągu kilku miesięcy ciężkiej pracy powołano Centralę podzieloną na cztery wydziały i kancelarię. Niższym terenowym szczeblem Urzędu były Komisje Szacunkowe Miejskowe, funkcjonujące na poziomie powiatowym, m.in. w Augustowie, Białymstoku, Ciechanowie, Częstochowie, Zamościu, Kielcach,

Mławie, Garwolinie, Grójcu i Miechowie. Duże ośrodki, jak Warszawa czy Lublin, posiadały własne komisje miejskie. Nie pominęto szacowania strat na Kresach Wschodnich. Zachowała się dokumentacja strat ze Lwowa, z Czortkowa, Drohobycz, Mościsk i Wilna. Prace komisji polegały na zbieraniu zeznań i dokumentacji zniszczeń, rabunków i rekwizycji, dokonanych przez wojska państw zaborczych i bolszewików, sporządzaniu inwentarzy i wykazów strat, następnie składaniu meldunków do warszawskiej Centrali. Poprzez swoje Komisariaty Zagraniczne Komisji Rewindykacyjnej m.in. w Wiesbaden w Niemczech walczyła ona o odnalezienie i odzyskanie poszczególnych obiektów lub rekompensatę finansową. Oświadczenia i wykazy strat składały zarówno przedsiębiorstwa i majątki ziemskie, jak i zwykli obywatele, którym przechodzące wojska odebrały konie lub żywność. Dokumentację uzupełniały składane pod przysięgą zeznania poszkodowanych i świadków wnikliwie weryfikowane przez pracowników Urzędu. Za fałszywe zeznania groziła odpowiedzialność karna.

W swojej pracy Urząd ściśle współpracował z Ministerstwami Kolei Żelaznych, Poczty i Telegrafów, Przemysłu i Handlu, Skarbu, Spraw Zagranicznych i Sprawiedliwości. Pomocne w wykonywanych pracach okazały się przejmowane akta struktur okupacyjnych, m.in. Generalnego Gubernatorstwa.

Rabunkowe rekwizycje pierwszowojennych niemieckich władz okupacyjnych nie oszczędziły nawet Łazienek Królewskich



FOT. HENRYK PODERSKI

Gdzie jest polskie złoto?

Zaciekły bój toczono o wszelkie rekwizycje pobrane w złocie. Z przykładu wykazów strat Banku Włościańskiego dowiadujemy się, że władze okupacyjne ścigały długi zajętych instytucji, preferując złoto. Kruszcem tym można było się również wykupić od rekwizycji inwentarza żywego lub sprzętu. Wyciągi i dowody takich wątpliwych moralnie rekwizycji w przeliczeniu na marki okazywano stronie niemieckiej, latami procesując się o poszczególne kwoty.

„Konie i reszta inwentarza żywego...”

Najpowszechniejszą i uderzającą w wielką liczbę gospodarstw formą rekwizycji było odbieranie koni i zwierząt hodowlanych. Te pierwsze były potrzebne wojskom niemieckim, austriackim i rosyjskim do transportu. Świnie, krowy, woły, byki i inne zwierzęta z gospodarstw odbierały kwatermistrzostwa w celach żywieniowych. Pośród archiwaliów Urzędu najpowszechniejsze są właśnie zeznania dotyczące powyższych zwierząt. Główny Urząd Likwidacyjny zadośćuczynienie ścigał zarówno w postaci kwot, jak i żywego inwentarza. Miejscami odbioru rewindykowanych z Niemiec koni, zwierząt gospodarskich i innych odzyskiwanych dóbr były graniczne punkty w Zbąszyniu, Grajewie i Sosnowcu.

FOT. SHUTTERSTOCK

Kriegsrohstoffst. Warschau
Kaiserschloss Lasienki - Park im Warschau
Dachkupfer 1860 kg.

12.II.1917
Hamburg - Sud Hermann - Theilnehmer Hannover 13364
Russ. Staatseigentum
Beutegut

Nr. 00050
1. März 1917
Kriegsrohstoffst. Warschau
Kais. Schloss Lasienki - Park im Warschau Russ. Staatseigentum
Dachkupfer 2020 kg.

Hamburg - Sud Hermann - Theilnehmer Münster 10065
Beutegut

Dane ilościowe surowca zrabowanego przez Niemców w Łazienkach Królewskich

Lokomotywy, tokarki, kuźnie, motory...

Potężnym środkiem transportu o znaczeniu militarnym były również koleje. W trakcie prowadzonych działań wojennych niemiecki Ostbahn pozyskał drogą rekwizycji setki wagonów i lokomotyw należących do struktur prywatnych i państwowych. Ze względu na wielokrotne przełączanie składów pociągów i rozłady wagonów podczas wojennych transportów na froncie wschodnim Urząd wzywał strony niemiecką i austriacką do wykazania, jakimi modelami i o jakiej numeracji dysponują. Po zestawieniu z wykazem strat wnioskowano o ich wydanie.

O swoje walczyły również duże przedsiębiorstwa. Maszynierię przemysłową Niemcy i Austriacy zarekwirowali m.in. Towarzystwu Akcyjnemu Warszawskiej Manufaktury Bawełnianej, stołecznej fabryce farb olejnych Indygo-Karmin, firmie J. Panańskiego z Łodzi czy Spółce Akcyjnej Przemysłu Włókienniczego H. Dietla z Sosnowca i Zakładom Hutniczym w Dąbrowie. Na podstawie spisanej zapobiegawczo numeracji tabliczek znamionowych sprzęty poszkodowanych firm odnajdywano w niemieckich i austriackich zakładach jeszcze pięć lat po zakończeniu wojny. W wielu wypadkach udało się je jednak odnaleźć i sprowadzić do kraju, czego świadectwem jest korespondencja z podziękowaniami od licznych przedsiębiorstw.

Miedź z dachów i dzwony kościelne

Mało znanym faktem jest sprawa masowych rekwizycji miedzianych blach dachowych dokonywanych przez wojska niemieckie podczas I wojny światowej. Blachy zdzierano z kościołów, pałaców



o mienie zajęte tych terenów przez wojska niemieckie. Zgodnie z zebranymi od okolicznej ludności relacjami zwierzęta były masowo zabijane zarówno w celach pozyskania mięsa, jak i rozrywkowych polowań niemieckiej kadry oficerskiej. Szczególne zdziwienie budziły informacje o wywiezieniu w 1917 r. grupy żywych białowieskich żubrów. W ich sprawie Urząd prowadził korespondencję aż

i obiektów publicznych. W samej Warszawie zerwano pokrycia dachów budynków w Łazienkach Królewskich i kościołów na Starówce. Na nieszczęście strony niemieckiej Urząd zebrał i wykonał odpisy kwitów rekwizycyjnych włącznie z informacjami o ilości pozyskanej miedzi oraz miejscem ich wywieżenia.

Niemiecka polityka pozyskiwania surowca do produkcji amunicji nie oszczędzała nawet kościelnych dzwonnicy. Główny Urząd Likwidacyjny, współpracując ściśle z kuriami biskupimi, zbierał dokumentację zarekwirowanych w latach 1916–1918 dzwonów i prowadził akcje ich rewindykacji. Zachowały się telegraficzne kwity upominające stronę niemiecką o regularność transportów zwracanych dzwonów. Działalność ta była tym ważniejsza, że znaczna część dzwonów, które okupanci chcieli przetopić na amunicję, była zabytkami z XVI i XVII w.

Zaginione białowieskie żubry

GUL nie omieszkła podjąć się również sprawy wyjaśnienia tego, co stało się ze zwierzętami Puszczy Białowieskiej w mo-

do 1922 r. We wnioskach końcowych uznano, że zwierzęta te również zostały zabite na potrzeby aprowizacji.

Trzeba podkreślić, że pracownicy Głównego Urzędu Likwidacyjnego wykazali się dużą odpowiedzialnością i patriotyzmem. Z każdej wydanej kwoty prowadzono skrupulatne wyliczenia, a z własnych pensji urzędnicy GUL prowadzili zbiórki na cele społeczne Kasy im. Józefa Mianowskiego. Urząd udzielił też w 1919 r. wsparcia finansowego Komitetowi Obrony Lwowa, kiedy Miasto Zawsze Wierne znalazło się w trudnej sytuacji ekonomicznej.

Niezależna działalność GUL trwała aż do 1927 r., kiedy włączono go w strukturę Ministerstwa Skarbu. Pozostała po nim licząca ponad sto metrów dokumentacja znajdująca się dziś w zasobie Archiwum Akt Nowych, będąca świadectwem tysięcy małych tragedii polskich obywateli i przedsiębiorstw z okresu I wojny światowej, z których ogromna część zakończyła się pozytywnym rozstrzygnięciem i uzyskaniem odszkodowania właśnie dzięki pełnej poświęcenia i odwagi pracy kadr Głównego Urzędu Likwidacyjnego.



Bankier Mayer
Amschel Bauer po
odniesieniu sukcesu
zmienił nazwisko na
Rothschild

KTO BYŁ ZWYCIĘZCĄ POD WATERLOO?

**DO PROWADZENIA WOJNY, JAK MAWIAŁ NAPOLEON, POTRZEBNE
SĄ PIENIĄDZE, PIENIĄDZE I PIENIĄDZE. KAŻDA WOJNA TAK
NAPRAWDĘ MA SWOJE PODŁOŻE I SWOJE CELE W FINANSACH**



**MICHAŁ
KARPOWICZ**

Od razu muszę zmartwić czytelników. Niestety. Nic się od 200 lat nie zmieniło i nadal to Anglicy Wellingtona i Prusacy Blüchera pokonali Francuzów cesarza nieopo-

dal wioski Waterloo, na pagórkowatych polach pod Brukselą. A szkoda. Tym razem jednak porzućmy militarną stronę ostatniej kampanii Napoleona i zajmijmy się aspektami daleko odbiegającymi od huku dział i kawalerskich szarż.

W 1815 r. było powszechnie wiadomo, że gra toczy się o to, kto będzie przez najbliższe lata rozdawał karty w Europie, a zatem na świecie. Jeśli uda się Napoleonowi powrót, będzie to Francja, jeśli nie – Wielka Brytania. Z napięciem czekano na wynik zarówno w Paryżu, jak

i w Wiedniu, we Frankfurcie, w Neapolu i Londynie, w miastach, w których działały lokalne centrale sieci bankowej rodu Rothschildów.

Początki kariery rodziny

Nestor rodu, żydowski bankier Mayer Amschel Bauer, w 2 poł. XVIII w. doszedł do znaczenia i majątku jako partner finansowy księcia Wilhelma IX, landgraфа Hesji-Kassel, a także króla Danii Christiana. Jako ciekawostkę warto może

wspomnieć, że do tej naprawdę bliskiej współpracy Żyda i księcia doszło dzięki wspólnym zainteresowaniom numizmatycznym. Obydwaj, król Christian duński także, byli zapalonymi zbieraczami monet, głównie złotych, i prawdziwymi numizmatycznymi ekspertami.

Wraz z sukcesem bankier zmienił nazwisko na Rothschild (Czerwona tarcza), co brzmiało godniej. Z centrali rodzinnego banku we Frankfurcie wysłał swoich synów do najważniejszych stolic Europy – właśnie Londynu, Paryża, Wiednia i Neapolu. Tam, wzorując się na karierze ojca, młodzi Rothschildowie starali się zdobywać wpływy na dworze i oferować finansowe usługi rodzinnego banku możliwym decydom. A że czasy były wielce niespokojne, to i popyt na kredyty stale wzrastał. Od początku bracia z ojcem postawili na ścisłą wzajemną współpracę, tworząc pierwszą ogólnoeuropejską grupę bankową. Zorganizowali całkowicie przez siebie kontrolowany i hermetyczny system zdobywania informacji i – co najważniejsze – błyskawicznego jej przekazywania. Ta sieć podobna do szpiegowskiej objęła wkrótce całą Europę. I była znana ze swej niezwykłej sprawności.

W czasach, o których tu mówimy – początek XIX w. – każdy z młodych Rothschildów miał już swoją pozycję i dorobek, ale daleko było im jeszcze do objęcia na swoim terenie roli lidera. Roli, jaką sprawował ich ojciec we Frankfurcie, monopolizując usługi finansowe dla swego władcy.

System finansowy Anglii od końca XVII w. w uproszczeniu wyglądał tak: król i jego rząd pożyczali pieniądze od Banku Anglii – prywatnej instytucji specjalnie do tego powołanej przez bankierów – a ten miał wyłączne prawo do emisji brytyjskiego pieniądza. Kto zatem kontrolował Bank Anglii, ten rządził brytyjskim pieniądzem. Plus dostawał od rządu 8 proc. od pożyczanych mu pieniędzy. Plus od każdego innego, komu pożyczał. Tyle że rząd miał nigdy nie spłacić kapitału, a stale płacić odsetki.

Wróćmy jednak na pole bitwy.

Bitwa pod Waterloo

Zorganizowana pośpiesznie wiosną 1815 r. armia francuska prowadzona przez Napoleona ruszyła rozprawić się z wojskami Anglików i Prusaków, którzy nadciągali przez tereny belgijskie do Francji. 16 czerwca, w dwu równoległych

bitwach pod Ligny i Quatre Bras, Napoleon zdołał nie dopuścić do połączenia wrogich armii, ale żadnej z nich nie udało mu się rozbić. Pokonany przeciwnik, choć przetrzebiony, wycofał się we względnie porządku. Informacja o wyniku tych starć dotarła do Londynu i na tamtejszej giełdzie zapanowała wyraźna atmosfera niepewności. Jeśli bowiem Napoleon jednak wygra, to papiery dłużne rządu Jego Królewskiej Mości, a szczególnie świeżo zaciągnięte pożyczki wojenne, mocno stracą na wartości i prawdziwie pewną inwestycją staną się papiery francuskie. Jednak jeśli Napoleon przegra, to supremacja brytyjska na kontynencie będzie niezwykle silna. A wtedy to właśnie brytyjskie papiery zapewnią spokój i dobrobyt. W tej gorącej sytuacji giełda londyńska działała właściwie bez przerwy i wszyscy najważniejsi gracze na miejscu z niepokojem wypatrywali wieści zza kanału, by nie spóźnić się z odpowiednią reakcją.

Główna część Wielkiej Armii z cesa-rzem na czele ruszyła w pogoń za Anglikami, wydzielony korpus marszałka Grouchy miał zaś za zadanie deptać po piętach Prusakom i nie dopuścić do ich połączenia z armią brytyjską. Książę Wellington na miejsce nieuniknionej konfrontacji z Francuzami wybrał tereny w okolicy wsi Waterloo. W jego sztabie, co zrozumiałe, roilo się od młodych oficerów, ale wśród nich był też cywil, specjalny agent Rothschildów nazwiskiem Rothworth. Jego jedynym zadaniem było śledzić przebieg wypadków i jak najszybciej, możliwie przed innymi, dostarczyć pewnych wiadomości o wyniku starć mocodawcy w Londynie – Nathanielowi Rothschildowi.

Dzień konfrontacji, 18 czerwca, był dżdżysty i nieprzyjemny. Mimo letniej przecież pory po południu zrobiło się ciemniej i wietrzniej. Powoli stawało się jasne, że Napoleon bitwę przegrał. Rothworth upewniwszy się, że taki wynik jest nieuchronny, wskoczył na konia i pędem ruszył do portu w Ostendzie. Gwałtowna burza z deszczem złapała go już w drodze, a gdy przybył na nabrzeże kanału La Manche, szalał sztorm i wszystkie jednostki pływające schroniły się w porcie. Rothworth dosłownie biegał od tawerny do tawerny, ale żaden z kapitanów nie chciał nawet słyszeć o wypłynięciu w morze. Wreszcie znalazł chciwego ryzykanta, którego skusiła mała fortuna w kwocie aż 2 tys. franków. Stateczek

z agentem Rothschildów wypłynął na wzburzone wody kanału jako jedyny w okolicy. I dopłynął jeszcze tej nocy!

Dруга wielka bitwa

Nathan Rothschild osobiście i niecierpliwie czekał na swego wysłannika w Foxton. Przyjął raport i sam pocwałował do Londynu. Jeszcze przed świtem dotarł na giełdę i jak zwykle zimny i opanowany zasiadł w swoim fotelu, po cichu wydając dyspozycje maklerom. A ci, zrazu dyskretnie, zaczęli wyprzedzać coraz większych pakietów obligacji rządu Wielkiej Brytanii. Czujni gracze przy giełdowych stołach szybko zauważyli ten ruch i po chwili wahania rzucili się do panicznej wyprzedaży z okrzykiem: „Rothschild wie!”. W tym rwetesie ceny spadły do groszy. I gdy panika osiągnęła apogeum, Rothschild wszystkie siły swoich maklerów rzucił do odkupowania zalegających stół giełdowy rządowych papierów dłużnych. Tym razem nie było dyskrekcji, lecz błyskawiczny atak i zanim cena zdążyła ruszyć w górę, Rothschild stał się największym wierzycielem rządu Jego Królewskiej Mości.

Gdy sztorm się uspokoił i 21 czerwca 1815 r. wieczorem oficjalne wieści z pola bitwy dotarły do Londynu, obligacje rządowe wprost wystrzeliły w górę. Szacuje się, że w ten jeden dzień Nathan Rothschild pomnożył swój majątek, i tak już nie mały, 20-krotnie.

Papiery dłużne rządu to nic innego jak weksle wystawione na poczet przyszłych podatków. Pomijając tu całą maszynę finansową, efekt był taki, że ich posiadacz miał zagwarantowane odsetki w złocie w wysokości 8 proc. od sum, na które owe obligacje opiewały. Ze względu na skalę główny wierzyciel rządu Nathan Rothschild zdobył kontrolę nad całą podażą pieniądza w Wielkiej Brytanii, kontrolując w praktyce Bank Anglii i rynek rządowego długu. Sam chełpił się tym, powiadając: „Nie dbam o to, jaka marionetka jest umieszczana na tronie królewskim, by panować nad tym wielkim imperium, nad którym nigdy nie zachodzi słońce. Ten, kto kontroluje podaż pieniądza w Imperium Brytyjskim, ten kontroluje Imperium Brytyjskie. A tym człowiekiem jestem ja!”.

Odtąd świat finansów przestał wyglądać jak niegdyś. A ciekawym, co było dalej, polecam fascynujące książki chińskiego ekonomisty Song Honbinga zatytułowane „Wojna o pieniądź. Prawdziwe źródła kryzysów finansowych”.

Współczesna rekonstrukcja ataku oddziału Krzysztofa Żegockiego na opanowany przez Szwedów Kościan, Piknik Historyczny 3 maja 2015 r. w Kościanie

CHCĄC POZNAĆ MEANDRY HISTORII RUCHU PARTYZANCKIEGO W POLSCE, NIE SPOSÓB POMINAĆ DZIAŁAŃ ZBROJNYCH MAJĄCYCH MIEJSCE W CZASIE POTOPU SZWEDZKIEGO

„AKCYJA PAMIĘTNA” JEGO MOŚCI PANA STAROSTY BABIMOJSKIEGO...

*Historia zdobycia Kościana z rąk
Szwedów przez Krzysztofa Żegockiego*

W momencie ataku wojsk Karola Gustawa na Wielkopolskę stało się jasne, że bezpośrednia walka w polu nie zapewni sukcesu polskiej armii. Szwedzi dysponowali znacznie większym zapleczem artyleryjskim, posiadali doświadzone i zaprawione w boju wojsko, a co najważniejsze, byli wyjątkowo zdeterminowani



**BARTOSZ
STARĘGOWSKI**

w chęci szybkiego wzbogacenia się kosztem podbijanego terytorium. Kapitulacja pod Ujściem 25 lipca 1655 r. otworzyła im drogę do Korony, a układ z Radziwiłłami

w Kiejdanach – do opanowania Wielkiego Księstwa Litewskiego. Z wyjątkową sprawnością najeźdźcy podbijali kolejne terytoria Rzeczypospolitej, zatrzymując się dopiero pod murami częstochowskiego klasztoru.

Na zajętych obszarach, pomimo początkowych zapewnień o bezpieczeństwie szlacheckich majątków, rozpoczęto proceder bezceremonialnej grabieży. Jej ofiarami padały dworki, folwarki, ko-



ZDJĘCIA Z PIKNIKU HISTORYCZNEGO W KOŚCIANIE (3 MAJA 2015 r.) DZIĘKI UPRZEJMOŚCI MUZEUM REGIONALNEGO W KOŚCIANIE

ścioły, klasztory oraz dobytek mieszczan i chłopów. (Szczegółowy opis tego procederu można znaleźć w „wSieci Historii” nr 03–04/2020 na str. 22–24). Okrutne i bezkarne zachowanie wojsk szwedzkich zrodziło w wielu mieszkańcach Rzeczypospolitej chęć odwetu. Z tej chęci narodził się ruch partyzancki, początkowo spontaniczny, zrzeszający chłopów i drobną szlachtę, który następnie przerodził się w ruch oporu o wymiarze ogólnopolskim. Jego zarzewie najwcześniej pojawiło się na terenie Wielkopolski, a właściwie dwóch jej województw: poznańskiego i kaliskiego, zwanych Wielkopolską właściwą.

Pierwsi przywódcy partyzantki i ich plany

Te tereny dostały się najwcześniej pod zarząd szwedzki, w związku z czym odpowiednio długo doświadczały aparatu ucisku nowej władzy. Gdy podpisano haniebną akt kapitulacji ujskiej, wielu przyglądających się temu wydarzeniu patriotycznie nastawionych magnatów od początku wyrażało swoją stanowczą dezaprobatę. Wielu z nich udało się na Śląsk, gdzie rozpoczęło planowanie akcji zaczepnych przeciwko Szwedom na szeroką skalę. Bardzo szybko też wyłoniono lokalnych przywódców. Najważniejszą postacią był niewątpliwie Jan Piotr Opaliński, wojewoda podlaski, który stanął na czele całego wielkopolskiego ruchu oporu. Ale zanim się to stało, Opaliński wraz z towarzyszącym mu Krzysztofem Żegockim przygotowali i zaplanowali operację, która nie tylko zapoczątkowała inne akcje zbrojne wymierzone przeciwko Szwedom, lecz również stała się kamieniem milowym w całej historii polskiej partyzantki, dając jednocześnie Krzysztofowi Żegockiemu tytuł pierwszego partyzanta RP.

Na początku warto wyjaśnić, kim był wspomniany dowódca. To postać zdecy-

dowanie nietuzinkowa. Należał do bogatej i silnie osadzonej szlachty wywodzącej się z Żegocina w powiecie kaliskim. Był synem Marcina Żegockiego, kasztelana przemęckiego i starosty babimojskiego, oraz Anny Hersztopskiej. W młodości słynął z wyjątkowej siły fizycznej, a Kasper Niesiecki w swoim „Herbarzu” opisał go tak: „...był takiej siły, iż szelągi w palcach swoich łamał...”. Gdy tylko pojawił się na dworze Opalińskich, gdzie rozpoczynał swój pierwszy etap edukacyjny, wrócono mu wyjątkową karierę wojskową. Żegocki nie zaniedbał też rozwoju intelektualnego. Po ukończeniu kolegium jezuickiego w Poznaniu rozpoczął i ukończył studia teologiczne na Akademii Krakowskiej. Po powrocie do domu objął w 1646 r. starostwo babimojskie, którym zarządzał przez długie lata. W 1652 r. został mianowany jednym z oficerów wojsk wielkopolskich, które brały udział w kampanii zwanieckiej w 1653 r. Wówczas Krzysztof dowodził dwustukonną chorągwią arkebuzerską.

Starostwo, którym zarządzał, leżało w powiecie kościańskim w województwie poznańskim tuż przy granicy ze Śląskiem. Było więc doskonałym punktem do przeprowadzania wszelkiego rodzaju akcji partyzanckich. Z Janem Piotrem Opalińskim Żegocki znał się od czasów nauki u Opalińskich. Obaj również służyli w armii w okresie powstania Bohdana Chmielnickiego, toteż szybko załapali wspólny kontakt. Zaplanowanie wykonania uderzenia na siły szwedzkie wymagało doskonałej znajomości terenu oraz rozmieszczenia sił przeciwnika, a co najważniejsze możliwości szybkiej ucieczki za granicę. Żegocki zadbał o wszystkie te elementy.

Baza partyzantów w Zaborze

Zaraz po opanowaniu prowincji przez Szwedów lub też chwilę przed tym starosta babimojski wywiózł swoją rodzinę

na Śląsk i umieścił w nadgranicznym Zaborze. Miejscowość była doskonałym miejscem, z jednej strony zapewniającym bezpieczeństwo najbliższemu starosty, a z drugiej pozwalającym na dogodne prowadzenie większych operacji partyzanckich. Rozpościerające się na wiele kilometrów kwadratowych lasy oraz niewielka odległość od granicy (ok. 6 km) umożliwiały szybkie wypadły na terytoria opanowane przez siły Karola Gustawa, a następnie taktyczne wycofanie się na bezpieczne pozycje. Sprawne przerzucanie wojsk przez Odrę było możliwe dzięki promowi w Miłsku. Ponadto Zabór leżał w bezpośrednim sąsiedztwie dóbr Żegockiego w Wielkopolsce, co umożliwiało pozyskiwanie informacji od mieszkańców, którzy chętnie współpracowali ze swoim starostą. Choć miejscowość znajdowała się na terytorium Cesarstwa Niemieckiego, cesarz Ferdynand III nie kwapiał się do likwidowania siedziby partyzantów. Po cichu wspierał on stronę polską, z uwagi choćby na pokrewieństwo z Janem Kazimierzem oraz niechęć do protestanckich Szwedów, którzy tak agresywnie zwalczali bardzo mu bliski Kościół katolicki. Nawet po oficjalnych skargach Karola Gustawa, przekazanych przez barona Franciszka Lisolę, cesarz nie podjął żadnych kroków przeciwko partyzantom.

Miejscem planowanego ataku został Kościan. Za tym kierunkiem uderzenia przemawiały następujące powody: po pierwsze, brat Krzysztofa, Piotr był starostą kościańskim i dokładnie znał całe miasto, co pozwalało poznać liczebność i rozmieszczenie sił szwedzkich, po drugie, droga z Zaboru do Kościana była stosunkowo krótka, co umożliwiało przeprowadzenie błyskawicznego uderzenia, a następnie ucieczkę na Śląsk, po trzecie wreszcie, Opaliński, który był współautorem planu, liczył na wydzwięk propagandowy i sygnał dany mieszkańcom, by >>

» wstępowali do partyzantki i walczyli ze Szwedami.

Szwagier Karola Gustawa komendantem Kościana

Komendantem miasta, który z ramienia Karola Gustawa sprawował w nim władzę, był jego szwagier – landgraf heski Fryderyk Hessen-Eschwege. Wespazjan Kochowski uważał, że tak naprawdę to on, a nie gubernator Klaudiusz Rholamb, sprawował władzę nad Wielkopolską. W garnizonie miejskim stacjonowało 400 dobrze wyekwipowanych i uzbrojonych w broń palną żołnierzy szwedzkich. Takie siły dawały landgrafowi złudne poczucie bezpieczeństwa, toteż często wypuszczał się on na polowania sam lub ze słabą obstawą. W momencie ataku nie było go w mieście z powodu wyjazdu związanego z poborem lokalnych podatków. Żegocki, dowiedziawszy się o tym, postanowił uderzyć. Jego siły były czterokrotnie mniejsze od szwedzkiego garnizonu. Przypuszcza się, że miał on zaledwie od 80 do 100 ludzi, z których tylko garstka dysponowała bronią palną. W większości były to siły chłopskie uzbrojone w kosy, pałki, siekiery i widły. Taka dysproporcja sił wymagała zastosowania podstępów, który pomógłby ją zniwelować.

Zajęcie Kościana i zabicie landgrafa

Przyjmuje się, że akcja miała miejsce 4 października 1655 r. Tak jak już wspomniano, tego dnia landgrafa nie było w mieście, co stwarzało świetną możliwość zastawienia na niego pułapki. Najpierw należało jednak zająć miasto. Aby się tam dostać, Żegocki zwerbował okolicznych chłopów, którzy otrzymali zadanie uszkodzenia w bramie miasta własnego wozu wiozącego drewno. Chłopi zamysł ten zrealizowali i uszkodzili koło, co spowodowało, że sosnowe bale, które spadły z wozu, zablokowały bramę i most zwodzony. Szwedzi pełniący wartę natychmiast podeszli do chłopów i nakazali im uprzątnięcie bagażu. Ci specjalnie robili to bardzo powoli, by dać ludziom Żegockiego dogodny moment do ataku. Gdy tylko nadarzyła się właściwa okazja, błyskawicznie wyskoczyli oni z zarośli i wycieli najpierw wartowników, a następnie wdarli się do miasta i z zaskoczenia wybili całą załogę. Śmierć osiągnęła również dowódcę straży kapitana Forbesa.

Dalsza część planu zakładała wyeliminowanie landgrafa. W tym celu podkomendni starosty babimojskiego wyposażyli się w broń i mundury zabitych Szwedów i zajmując odpowiednie pozycje na murach miejskich, przygotowali „gorące” powitanie landgrafa. Ten, wracając późną porą, nie potrafił odróżnić swoich żołnierzy od przebranych za nich ludzi Żegockiego. Fryderyka przywitał gęsty ogień muszkietów jego własnych żołnierzy, co zapewne poskutkowało wielkim zaskoczeniem z jego strony. Jak podaje Wespazjan Kochowski, landgraf próbował szarżować naprzód, jednak „...sam przez łędźwie postrzelony... zabitym został...”. Przy komendancie Kościana znaleziono pieniądze z podatków, które Krzysztof

300 osób, bez względu na wiek czy płeć. Wyznaczył też nagrodę za głowę sprawcy śmierci landgrafa heskiego i wydał edykty nakazujące ściganie wszystkich, którzy ośmielali się przeciwstawiać władzom szwedzkim.

O akcji dowiedziało się całe naczelné dowództwo szwedzkie, ze stacjonującym pod Częstochową Burhardem Millerem na czele. W siedzibie Jana Kazimierza w Opolu wieści o upokorzeniu szwedzkiego króla i śmierci jednego z ważniejszych przywódców wywołały nieukrywaną radość. Pod wpływem chwili polski król rozesał słynny uniwersał datowany na 20 listopada 1655 r., w którym wzywał wszystkich mieszkańców Rzeczypospolitej do walki w obronie ojczyzny, nie

Z CHĘCI ODWETU NARODZIŁ SIĘ RUCH PARTYZANCKI, POCZĄTKOWO BARDZO SPONTANICZNY, ZRZESZAJĄCY CHŁOPÓW I DROBNĄ SZLACHTĘ, A NASTĘPNIE PRZERODZONY W RUCH OPORU O WYMIARZE OGÓLNOPAŃSTWOWYM

Żegocki zabrał ze sobą na Śląsk. Posłużyły mu one na wyposażenie podległych mu partyzantów oraz zaplanowanie kolejnych ataków. Napisał też list adresowany do szlachty wielkopolskiej, w którym ze szczegółami opisał całe zajście oraz wezwał do walki wszystkich, którym uprzykrzyła się tyrania szwedzka.

Pokłosie „pamiętnej akcji”

Śmierć szwagra wywołała ogromną wściekłość Karola Gustawa, którą spotęgowały dodatkowo informacje o wielu niewyjaśnionych zgonach żołnierzy szwedzkich na terenie powiatu kościańskiego. Rozkazał więc generałowi Wejhardowi Wrzesowiczowi, który pełnił funkcję komendanta Wielunia, pojąć i stracić Żegockiego. Wrzesowicz natychmiast przybył do Kościana, ale nie mogąc pochwycić nikogo, swój gniew skierował w stronę mieszkańców. W akcie odwetu za sprzyjanie staroście babimojskiemu nakazał wymordować

czekając „...wodzów i wojewodów albo takiego porządku, jakie prawo o pospolitym ruszeniu opisało. Ale jeden do drugiego, dwóch do trzeciego, trzech do czwartego i tak par consequens by też każdy i z własnymi poddanymi gromadził się a gdzie by się słuszną do odporu kupa zbierze znosić [nieprzyjaciela]...”.

Założenia planu Jana Piotra Opalińskiego sprawdziły się i w ciągu kilku najbliższych tygodni na obszarze obu województw coraz więcej osób zaczęło wstępować w szeregi ruchu oporu. Powiat kościański stał się najważniejszym punktem na mapie ruchu partyzanckiego i to właśnie z jego terytorium w najbliższym czasie wychodziły inne akcje zaczepne skierowane przeciwko Szwedom. Dla Krzysztofa Żegockiego nie była to ostatnia akcja. Wręcz przeciwnie, po połączeniu swoich sił z wojskim ostrzeszowskim Stanisławem Kuleszą oraz góralami z Małopolski przeprowadził wiele operacji wojskowych ze zdobyciem samego Wielunia na czele.



WACŁAW I WIKTORYN WIERZBICCY, LITEWSCY BISKUPI Z POLSKIM RODOWODEM



**HENRYK
LITWIN**

**ZAGADNIENIE ŚWIADOMOŚCI NARODOWEJ
XVI- I XVII-WIECZNYCH MIESZKAŃCÓW
RZECZYPOSPOLITEJ MA DLA NAS
JESZCZE WIELE NIESPODZIANEK**

W 1650 r. ukazało się w Wilnie dzieło Wojciecha Wijuka Kojalowicza „Miscellanea rerum ad statum ecclesiasticum in Ma-

gno Ducatu pertinentia”. Odnajdujemy w nim syntetyczny obraz historii i stanu ówczesnego stosunków międzywyznaniowych w Wielkim Księstwie Litewskim oraz zarys dziejów Kościoła katolickiego na Litwie. W jednym z krótkich szkiców

biograficznych biskupów litewskich wspomniany został m.in. ordynariusz żmudzki w latach 1534–1555 Wacław Wierzbicki. Kojalowicz w owych biogramach uwzględnił rubrykę „natione” i wypełniał ją najczęściej określeniami >>

» „Lithuanus” lub „nobilis Lithuanus”. W przypadku Wierzbickiego odnotował jednak „natione Lithuanus, gente Polonus”. Znakę litewski patriotyzm Kojałowicza, można się domyślać, że chciał w ten sposób wskazać, iż Wacław Wierzbicki był polskiego pochodzenia, ale czuł się obywatelem państwa litewskiego.

Zakorzenia na Litwie

To, co wiemy o Wacławie Wierzbickim, zdaje się potwierdzać diagnozę Kojałowicza. Wywodził się ze szlacheckiego polskiego rodu, który zamieszkiwał na Litwie. Brak jednak danych, by określić od jak dawna. Dawni heraldycy – np. Niesiecki – wiązali Wierzbickich z Podlasiem (w I poł. XVI w. należącym jeszcze do Litwy). Trudno to potwierdzić na podstawie dostępnych źródeł. Sam Wacław i jego brat, którego w źródłach określano imieniem Jurij, byli bez wątpienia właścicielami dóbr ziemskich w Wielkim Księstwie Litewskim, ale konkretne wzmianki dotyczą województwa mińskiego. Początki kariery kościelnej Wierzbickiego wiążą się z koleją z Grodnem, gdzie był proboszczem od 1524 r. Najwyraźniej Wacław i jego brat używający ruskiej wersji imienia Jerzy byli już pokoleniem mocno związanym z Wielkim Księstwem, co mogłoby wskazywać na wcześniejsze zakorzenienie się Wierzbickich na Litwie.

Polityk czy/i duchowny

Potwierdza to także szybka kariera księdza Wacława. Już w 1533 r. widzimy go na stolicy biskupiej w Kijowie. W hierarchii katolickiej była to co prawda podrzędna i w istocie uboga diecezja, ale nominacja biskupia zapewniała dostęp do Rady Wielkksiążęcej, a zatem gwarantowała obecność w ścisłej elicie władzy Wielkiego Księstwa. W kolejnym roku Wierzbicki został zresztą awansowany na arcybiskupstwo żmudzkie, by pozostać na nim przez kolejne 21 lat. Wydaje się, że angażował się bardziej w działania „Panów Rady” niż w życie swej diecezji. Miał kamienicę w Wilnie i – jak się zdaje – mieszkał głównie w litewskiej stolicy. Będąc biskupem, pozostawał także kanonikiem wileńskim i bardzo często brał udział w posiedzeniach tej kapituły. Uczestniczył w sejmach litewskich, a także w różnorakich komisjach



i deputacjach zajmujących się konkretnymi sprawami z zakresu działalności publicznej. Co najmniej dwukrotnie był też poborcą podatkowym oraz członkiem sądów rozjemczych w sporach przedstawicieli arystokracji litewskiej. W istocie trudno wątpić w zaangażowanie Wacława Wierzbickiego w państwowe sprawy Wielkiego Księstwa.

Kwestią dyskusyjną jest natomiast zaangażowanie Wierzbickiego w życie diecezji. W połowie XIX w. ówczesny biskup żmudzki, propagator litewskiego odrodzenia narodowego, Maciej Wołoncewski w swojej pracy „Żemaičiu vyskupste” (pół wieku później wydanej po polsku) oskarżył Wierzbickiego o skąpstwo i interesowność, które doprowadziły do materialnego upadku diecezji. Wydaje się jednak, że więcej racji miał bliższy czasowo Wierzbickiemu, cytowany już Kojałowicz, który słał gospodarność bp. Wacława i wskazywał na niewątpliwy rozwój diecezji w czasie jego pontyfikatu, co potwierdzają współcześni historycy. Dobrą opinię o Wierzbickim mieć też musiał Zygmunt August, który w 1551 r. obdarzył biskupa żmudzkiego ekspektatywą na tron diecezjalny w Wilnie. Ta obietnica nie została jednak zrealizowana, Wacław Wierzbicki zmarł bowiem w 1555 r., a zatem przed swoim wileńskim kolegą Pawłem Holszańskim.

Bp. Wacława, już po jego śmierci, oskarżano o „nowinkarstwo” (czyli skłonność do sprzyjania reformacji) i „życie nieprzykładne”. Pierwszy zarzut nie może dziwić.

Ówczesna litewska elita polityczna była zdominowana przez protestantów, a biskup żmudzki był aktywnym uczestnikiem jej działań. Działający równocześnie z nim biskup kijowski Mikołaj Pac był zdeklarowanym kalwinistą. Nie mogą więc zaskakiwać zarzuty wobec Wierzbickiego. Nie potwierdzają ich jednak żadne konkretne fakty. A dominacja protestantów w litewskiej elicie w II poł. XVI w. uległa załamaniu. Swego rodzaju aktem przełomowym była konwersja na katolicyzm syna potężnego lidera reformacji litewskiej Mikołaja „Czarnego” Radziwiłła. Mikołaj Krzysztof „Sierotka” Radziwiłł dokonał tego wyboru w 1567 r.

Od prawosławia do katolicyzmu

Ciekawe z tego punktu widzenia są losy następnego pokolenia Wierzbickich związane z życiorysami bratanicy i bratanka bp. Wacława. Bratanica nosiła niewątpliwie ruskie imię Eufemia, wyszła za mąż za prawosławnego kniazia Andrzeja Wiśniowieckiego i uczestniczyła w jego życiu religijnym. Zapewne jej nieznaną z nazwiska rodowego matką, żoną Jurija Wierzbickiego, była prawosławna, a córka zgodnie z obyczajem epoki poszła w jej ślady, co nie przeszkodziło Eufemii zaangażować się wraz z mężem po 1570 r. we wspieranie kalwinizmu, a kiedy książę Andrzej zmarł, złożyć w 1589 r. katolickie wyznanie wiary, zapewne pod wpływem córki Elżbiety i jej męża Mikołaja Krzysztofa „Sierotki” Radziwiłła. Ścieżki wyborów wyznaniowych były w tej epoce – jak widać – bardzo zagmatwane.

Śladami stryja

Droga życiowa brata Eufemii, Wiktoryna, była w kwestii wyznaniowej bardziej jednolita, ale za to stanął on przed istotnymi wyborami w odniesieniu do lojalności wobec wspólnoty państwowej. Za życia Wacława Wierzbickiego najpewniej przyjął na siebie zobowiązanie do podjęcia drogi życiowej stryja. Zadeklarował wierność katolicyzmowi i wyjechał na studia do Włoch. W 1553 r. widzimy go jako adepta prawa na uniwersytecie w Padwie. Wiemy, że nie uwieńczył studiów tytułem naukowym, ale i tak był nieco później nazywany jednym z „najuczestniejszych” ludzi na Litwie. Wrócił tam przed 1558 r., kiedy pojawił

się w źródłach jako pleban w Widuklach na Żmudzi. Kolejne beneficja, a potem prałatury, posypały się nań jak z rogu obfitości. W 1565 r. Wiktoryn poszedł do kładnie śladami stryja, zostając biskupem żmudzki. Jak pamiętamy, wiązało się to z obowiązkami i przywilejami członka Rady Wielkoksiażęcej i generowało określoną aktywność polityczną. W tym czasie tematem wiodącym była kwestia przyszłej polsko-litewskiej unii realnej, i to ona określała polityczne postawy. Wiktoryn, choć z pochodzenia Polak, zajął w tej sprawie stanowisko lojalne wobec litewskiej elity i opierał się integracyjnym ambicjom „panów Polaków”. Sprawdzianem tej lojalności był jego udział w poselstwie litewskim na sejm 1567 r. w Piotrkowie, kiedy kierowana przez niego delegacja Wielkiego Księstwa sprzeciwiła się „do-kończeniu unii”.

Między Litwą a Koroną

Życie postawiło jednak Wiktoryna Wierzbickiego przed jeszcze bardziej skomplikowanymi wyborami, kiedy w 1567 r. został przeniesiony na stolicę biskupią w Łucku. Nowa diecezja obejmowała Wołyń oraz województwa brzeskie i podlaskie. Pojawiały się zatem zupełnie nowe wyzwania. Podlasie było terenem zamieszkanym w znacznym stopniu przez szlachtę polską. Wołyń zaś stanowił domenę prawosławnej szlachty ruskiej, której lojalność wobec Wielkiego Księstwa Litewskiego wkrótce miała zostać poddana wielkiej próbie. Województwo brzeskie, gdzie przewagę miała także szlachta prawosławna, pozostawało nieodłączną częścią Wielkiego Księstwa. Bp Wierzbicki rezydował głównie w Janowie na Podlasiu, ale dominującą problematyką jego pontyfikatu były sprawy wołyńskie.

Tymczasem nadchodził czas sejmiku lubelskiego i rozstrzygnięć dotyczących kształtu unii polsko-litewskiej. Król Zygmunt August był zwolennikiem równoprawnego związku dwóch państw. Szlachta polska niezłomnie wierząca w doskonałość koronnego ustroju wolności dążyła do włączenia Litwy w strukturę systemu gwarantującego uznanie dla odmienności, nazywając to inkorporacją. Litwini nie ufali pomysłom „Koroniarzy” i dążyli do pozostawienia Wielkiemu Księstwu całkowitej odrębności państwowej. W czasie sejmiku lubelskiego (1569 r.) te różne tendencje doprowadziły do wielu spięć, aż utrzymała się wizja monarchy,

którą ostatecznie podtrzymały zarówno stany koronne, jak i litewskie. Zanim do tego doszło, Zygmunt August podjął decyzję o inkorporacji Wołynia do Korony, a tamtejsza szlachta poparła tę koncepcję w zamian za wiele przywilejów ustanawiających lokalną autonomię.

Nobilis Ruthenus

Samodzielna postawa Wołynian spotkała się z krytyką. Przede wszystkim ze strony litewskiej, choć i „Koroniarze” potrzebowali czasu, żeby uznać prawo Wołynian do zajęcia niezależnej pozycji. Wiktoryn Wierzbicki zachował w tej sytuacji lo-

WACŁAW ZOSTAŁ ZAPAMIĘTANY JAKO „NATIONE LITHUANUS”, A WIKTORYN JAKO „NATIONE RUTHENUS”, CHOĆ OBAJ BYLI POLAKAMI Z POCHODZENIA

jalność wobec Litwy, a następnie wobec lokalnej społeczności. W ostatnią noc lutego 1569 r. biskup łucki wraz z całą delegacją litewską opuścił Lublin, protestując w ten sposób przeciw naciskom na zawarcie unii sprowadzającej się do włączenia Litwy w granice koronne. Kiedy Zygmunt August wydał arbitralną decyzję o przyłączeniu Wołynia do Korony, biskup łucki odmówił powrotu do Lublina i uznania tego aktu, a na dodatek swoją odpowiedź królowi sformułował po rusku. Wzbudziło to niemałe oburzenie wśród sejmujących stanów koronnych. Posłowie postulowali, „aby biskupowi łuckiemu imiona (czyli majątki) pobrano [...] gdyż nie chciał przyjechać [do Lublina...], gdyż jest Rusin, bo się to znaczy, iż do Waszej Królewskiej Mości nie pisał

listu ani po łacinie, ni po polsku, jeno po rusku”. Stryj Wacław został zatem zapamiętany jako „natione Lithuanus”, a Wiktoryn jako „natione Ruthenus”, choć obaj byli Polakami z pochodzenia.

Ten opór biskupa łuckiego przeciw inkorporacji Wołynia mógł być jeszcze interpretowany jako lojalność wobec Litwy, ale w późniejszych działaniach Wierzbicki przyłączył się do zwolenników inkorporacji pod warunkiem uznania przez króla i Koronę prawa Wołynian do odrębności i prowincjonalnych przywilejów. Zostało to pryncypialnie skrytykowane przez Litwinów. Jak to wyraził Mikołaj Krzysztof „Sierotka” Radziwiłł (koniec końców bliski powinowaty biskupa – mąż siostrzenicy), Wierzbicki „przysięgał na unię pierwej, niż było potrzeba”. Jak zatem widzimy, choć Kojalowicz w cytowanym wyżej dziele określił go „nobilis Lithuanus”, to jednak postępowanie biskupa w czasie sejmiku lubelskiego dawało podstawy, by nazwać go „nobilis Ruthenus”.

Nulla est nobilitas sine lingua latina

Wybory ówczesnych obywateli Rzeczypospolitej wielu narodów nie były jednak tak klarowne, by układały się nam, patrzącym z oddali wieków, w spójny obrazek. Kilka lat później biskup łucki znowu zabrał głos w pryncypialnym sporze o wartości etniczno-kulturowe, tyle że w nieco odmienny sposób. Kiedy szlachta wołyńska dążyła do ustanowienia odrębnego sądu apelacyjnego dla ziem ruskich, gdzie obowiązywać miał język ruski jako urzędowy, ten sam Wiktoryn Wierzbicki, który królowi potrafił zademonstrować przywiązanie do języka ruskiego, wniósł protestację w obronie języka łacińskiego. Uznał, iż nie mogą funkcjonować sądy, w których „pisma żadne łacińskie miejsca nie mają”, a siebie i swoich zwolenników określił następująco: „Jesteśmy szlachtą i synami koronnymi [...] i nikt o nas bez nas niczego stanowić nie może”. Okazało się, że tożsamość stanowa przejawiała się w tym przypadku w sposób silniejszy niż etniczno-kulturowa, a nawet państwowa.

Wacław i Wiktoryn Wierzbiccy są znakomitymi egzemplifikacjami tezy, iż do kwestii świadomości narodowej w XVI- i XVII-wiecznej Rzeczypospolitej trzeba podchodzić przede wszystkim z pokorą i świadomością nieprzystawalności dzisiejszych wyobrażeń i schematów do sytuacji z czasów staropolskich.

**ARESZTOWANY W 1863 r. PROBOSZCZ
Z PIASECZNA KS. LUDWIK CZAJEWICZ (NA ZDJ.)
PRZEPOWIEDZIAŁ, ŻE PRZEZ 100 LAT ŻADEN
MIESZKANIEC TEGO MIASTA NIE PRZYJMIE
ŚWIĘCEŃ KAPŁAŃSKICH. I RZECZYWIŚCIE,
DWAJ RODOWICI PIASECZNIANIE ZOSTALI
WYŚWIĘCENI DOPIERO W 1965 r.**

POWSTANIEC STYCZNIOWY I PRZEPOWIEDNIA DLA PIASECZNA



**MARCIN
RÓŻAŃSKI**

Oddziały walczące w powstaniu styczniowym 1863 r. miały w swoich szeregach licznych kapłanów, którzy nie tylko brali w nim udział jako kapelani, lecz także należeli do władz powstańczych. Szacuje się, że w sumie było to 550 duchownych z Królestwa i z Litwy, pełniących różne funkcje. Jak napisał ks. Mieczysław Żwyczyński: „Kościoł katolicki w Polsce, miał w latach 60-ych XIX w. oblicze, na ogół biorąc, niewątpliwie narodowe i polskie, zwłaszcza jeśli chodziło o kler niższy”. („Kościoł i duchowieństwo w powstaniu styczniowym. [Stan badań w zarysie]”.

Czas względnego spokoju

Do tej grupy księży należał ks. Ludwik Czajewicz. Urodził się 19 sierpnia 1826 r.

w Raciążu. Tam też uczęszczał do szkoły podstawowej, a po jej ukończeniu kontynuował naukę w szkole średniej w Mławie. Wstąpił do seminarium w Warszawie, w którym przez dwa lata studiował teologię, a następnie jako prymus został wysłany na dalsze studia do Cesarskiej Rzymskokatolickiej Akademii w Petersburgu. Po jej ukończeniu w 1850 r. przyjął święcenia kapłańskie i pracował jako prefekt w szkołach. Najpierw w latach 1850–1855 w Warszawskim Gimnazjum Realnym, a następnie w latach 1855–1860 w Instytucie Agronomicznym na Marymoncie. Będąc prefektem, pełnił również funkcję sekretarza konsystorza w Warszawie (1851–1857), a w latach 1858–1862 był jego regensem, odpowiednikiem dzisiejszego kanclerza kurii biskupiej.

Sprawowanie tego ostatniego urzędu przypadło na czas wystąpień przeciw władzy carskiej i nowych zrywów powstańczych w Królestwie Polskim. Ks. Czajewicz niejednokrotnie udawał swoje jasne i narodowe stanowisko. Jak wspomina w „Polskim Słowniku Biograficznym” ks. Władysław Kwiatkowski: „Wykazywał swój głęboki patriotyzm, ostro potępiając

gwałty żołnierzy rosyjskich popełniane na bezbronnej ludności i na warszawskich kościołach”. W 1860 r. władza duchowna mianowała ks. Ludwika proboszczem parafii św. Anny w Piasecznie.

Przepowiednia Naczelnika

Okres probostwa ks. Czajewicza trwał zaledwie trzy lata. Ani w Warszawie, ani w Piasecznie nie zaprzestał on działalności patriotycznej i narodowej. Po wybuchu powstania styczniowego w 1863 r. organizował pomoc dla powstańców i został mianowany cywilnym naczelnikiem powstania, występując pod ps. Baltazar Zybnych. W ten sposób, jak pisze ks. Grzegorz Kalwarczyk w swoim opracowaniu „Przewodnik po parafiach i kościołach Archidiecezji Warszawskiej”, proboszcz piaseczyński stanął w rzędzie bohaterów narodowych takich jak: abp Zygmunt Szczesny Feliński, Romuald Traugutt czy ks. Stanisław Brzózka.

Wskutek denuncjacji piaseczyński naczelnik powstania 16 czerwca 1863 r. został zatrzymany przez władze carskie. Z aresztowaniem proboszcza z Piaseczna

związane jest opowiadanie. A mianowicie zakuty w kajdany i wsadzony na wóz zwany kibitką ks. Czajewicz przepowiedział, że przez 100 lat żaden mieszkaniec Piaseczna nie przyjmie święceń kapłańskich. Miała być to kara za zdradę i wydanie go w ręce Rosjan. Przepowiednia okazała się prorocza, bo dopiero w 1965 r. święcenia kapłańskie przyjęli dwaj rodowici piasecznianie. Tak o tym pisał Marian Kurczuk, prezes koła przewodników PTTK w Piasecznie w artykule „Ksiądz Ludwik Czajewicz – bohater powstania styczniowego”. Czy widok księdza Czajewicza w kajdanach, pyta z kolei Małgorzata Szturomska w opracowaniu „Wojna partyzancka w 1863 roku w Piasecznie i okolicach”, był dla mieszkańców Piaseczna tak wstrząsający, że trzeba było wymyślić legendę, przypowieść o karze, jaka miała spaść na miasto za cierpienie kapłana? Trudno na to pytanie odpowiedzieć. To nie zmienia faktu, że do dzisiaj opowieść ta krąży wśród mieszkańców miasta. Także faktem jest, że przez 100 lat nie było powołań kapłańskich z Piaseczna.

Próby ratowania skazańca

Po aresztowaniu ks. Czajewicza przewieziono do Cytadeli i tam poddano przesłuchaniu. Według ustaleń Henryka Cederbauma, który analizował dokumenty i wyroki w procesach powstańców, oskarżono go o trzy rzeczy: że był naczelnikiem powstania miasta Piaseczna, dostarczał obuwie, ubrania i żywność powstańcom oraz że brał udział w naradach wojennych.

Oprócz ks. Czajewicza w tym samym procesie władza carska sądziła innych uczestników powstania: radcę tytularnego, obywatela ziemskiego Grzegorza Baranieckiego, lekarza w Górze Kalwarii Antoniego Baranowskiego, radcę tytularnego, obywatela ziemskiego Ludwika Łaszczę oraz poddanego Szwajcarii Adolfa Parwie i leśnika Juliana Jaillarda. 12 września 1863 r. zapadł wyrok w ich sprawie. Ludwika Łaszczę zesłano na Syberię, a pozostałych wraz z ks. Czajewiczem skazano na 10 lat katorżniczej pracy także na Syberii.

Po usłyszaniu wyroku sobie tylko znany ścieżkami przyjaciele ks. Czajewicza zaczęli szukać możliwości dotarcia do Fiodora Berga, ówczesnego namiestnika Królestwa Polskiego, tego samego, który stłumił powstanie. Udało im się



Parafia św. Anny w Piasecznie przechowuje kielich mszalny pochodzący z fundacji ks. Ludwika Czajewicza

FOT. ARCHIWUM AUTORA

przedstawić mu okoliczności łagodzące przemawiające na korzyść skazanego. Udowodnili, że ks. Czajewicz uratował życie rosyjskiemu żołnierzowi Pierewowi, gdy powstańcy chcieli go powiesić. Namiestnik Berg pod datą 30 grudnia 1863/11stycznia 1864 r. zmienił wyrok na łagodniejszy. W ostateczności skazańca pozbawiono wszystkich praw i zesłano na 10 lat na Syberię, z zamieszkaniem w guberni jenijskiej.

Tadeusz Jan Żmudziński w książce „Piaseczno miasto królewskie i narodowe 1429–1933” podaje inną wersję wydarzeń. Według niego Czajewicz za udział w powstaniu został skazany na karę śmierci. „Za męczennikiem sprawy narodowej wstawił się przyjaciel jego, proboszcz z okolic Spały, do cara Aleksandra II, który tam wówczas bawił, i wyjednał zmianę kary śmierci na Sybir”. Jednak informacja ta nie jest poparta żadnymi źródłami.

Wioska duchownych

Po ogłoszeniu wyroku ks. Ludwik Czajewicz na przełomie października i listopada 1865 r. osiedlił się w gminie Bałachta, w okręgu aczyńskim. Eugeniusz Niebielski w książce „Tunka. Syberyjskie losy księży zesłańców 1863 roku” dotarł do dokumentów, w których wyczytać można, że tam właśnie ks. Czajewicz miał otrzymać od swego stryja, pracownika Komisji Finansów Królestwa Polskiego, paczkę z lekarstwami, kalendarzem, mapą Rosji oraz gotówkę. Jednak, jak to często bywało, przesyłka dotarła do adresata pusta.

W 1866 r. ks. Ludwik Czajewicz został przeniesiony do Tunki we wschodniej Syberii w pobliżu granicy mongolsko-chińskiej niedaleko Bajkału. Ta mała wioska, licząca zaledwie 500 osób, stała się miejscem zesłania wielu >>

>> duchownych zarówno diecezjalnych, jak i zakonnych. Wspominany Eugeniusz Niebielski pisze, że w latach 1866–1876 w Tunce przebywało w sumie 156 duchownych. Rozlokowywano ich na przestrzeni kilku kilometrów w domach, które pozostały po innych zesłańcach – dońskich Kozakach. Ich życie nie było łatwe. Surowe warunki klimatyczne, rygor, cenzura korespondencji, kontrola paczek, które często były okradane, sprawiały, że duchowni się załamywali, odchodzili od zmysłów i żeby opuścić katorgę, przechodzili na prawosławie czy się sekularyzowali. Inni organizowali gospodarstwa, uprawiali warzywa, zakładali sklepy i spółki rolnicze. Wielu z nich malowało, rzeźbiło czy zajmowało się opisywaniem przyrody. Wśród duchownych znaleźli się i tacy, którzy popadli w alkoholizm czy zaczęli się trudnić lichwą. Autor opracowania wspomina o jednym z miejscowych Djaków, który był prowokatorem, podjudzając okolicznych mieszkańców przeciw duchownym. Z tego powodu dochodziło do pobić czy nawet morderstw zesłanych księży.

Codziennosc zesłańca

Ks. Ludwik Czajewicz na zesłaniu przyglądał się pracy polskich lekarzy zesłańców i pobierał u nich naukę. Dzięki temu mógł wraz z misjonarzem z Płocka ks. Rafałem Drewnowskim zająć się leczeniem miejscowej ludności. Początkowo obaj księża czynili to potajemnie, a od 1871 r. za zgodą władz mogli oficjalnie pomagać chorym. Ks. Czajewicz pisał w tym czasie również rozprawy z zakresu higieny, grywał na harmonii oraz łowił ryby. Był także przez dwie kadencje starostą wspólnoty. Urząd ten dawał duże pole działalności. Starosta, jak pisze Niebielski, miał kontakt z władzami, ogłaszał ich zarządzenia, zwoływał ogólne zgromadzenia czy wypłacał pieniądze, tzw. karmowe, oraz przekazywał listy i paczki.

W jednym ze wspomnień sybiraka ks. Stanisława Matrasia możemy przeczytać historię o tym, jak ks. Czajewicz wytropił donosiciela. Był nim Teodozy Dymiński, diakon bazylianin z unickiego klasztoru w Supraślu, który zbierał informacje o księżach, zwłaszcza młodych. Jednego razu przygotował pisemną relację na ich temat, „wypisał po rosyjsku na całym arkuszu papieru, wielkimi literami, imiona i nazwiska kilkunastu księży, których



W JEDNYM ZE WSPOMNIEŃ SYBIRAKA KS. STANISŁAWA MATRASIA MOŻEMY PRZECZYTAĆ HISTORIĘ O TYM, JAK KS. CZAJEWICZ WYTROPIŁ DONOSICIELA

podejrzewał o niemoralne życie, zapieczętował ten arkusz papieru, i przerzucił go w nocy na dziedziniec miejscowego popa”. Rano pakunek znalazła jego gospodyni i przekazała prawosławnemu duchownemu. Ten poprosił na spotkanie ks. Czajewicza i pokazał mu ten arkusz. „Po wielkich prośbach i korowodach, ks. Czajewicz, otrzymawszy od popa owe bezimienne pismo, przyniósł je do naszego wspólnego sklepu, dał nam wszystkim do przeczytania i opowiedział szczegóły dotyczące tej denuncjacji. Ponieważ przy odbieraniu miesięcznej pensji każdy ksiądz i kleryk musiał się własnoręcznie podpisać w urzędowej książce, bardzo łatwo doszliśmy i przekonaliśmy się, że sprawą tej zbrodni był nie kto inny, tylko jeden Teodozy Dymiński”. Jak wspomina ks. Matras, klerycy chcieli ukarać denuncjatora,

wymierzając mu kilkanaście kijów. „Jednak rozsądniejsi i doświadczeni księża, obawiając się odpowiedzialności przed rządem, powstrzymali ich od tego porywczego kroku i urządzili, aby mu wymierzyć zasłużoną karę dopiero w drodze, gdy wszyscy księża będą jechali do Rosji i to aż za Irkuckiem”. Dymiński po opuszczeniu Tunki przeszedł na prawosławie i został mnichem.

Z powrotem na polskiej ziemi

W 1872 r. ks. Czajewicz opuścił Tunkę i na własny koszt wraz z ks. Janem Narkiewiczem przez Irkuck dotarł w 1873 r. do Ustiuğu, gdzie zamieszkał. Po otrzymaniu paszportu emigracyjnego przybył w 1875 r. do Warszawy, jednak nie uzyskawszy pozwolenia na pobyt w stolicy Królestwa Polskiego, musiał powrócić do Ustiuğu. W Warszawie mógł zamieszkać dopiero wiosną 1881 r., pozostając jednak pod nadzorem policji. W tym samym roku władza kościelna mianowała go wikariuszem przy katedrze św. Jana w Warszawie, w 1888 r. otrzymał probostwo w Łanietach, a w 1896 r. probostwo (administraturę) w parafii św. Ducha w Łowiczu. W 1908 r. został prałatem.

Ks. Ludwik Czajewicz zmarł 15 maja 1910 r. Na stronach „Kuriera Warszawskiego” z 17 maja 1910 r. zamieszczono nekrolog informujący o śmierci „prałata Kapituły Metropolitalnej Warszawskiej, byłego proboszcza łowickiego, który opatrzony świętymi sakramentami, po dłuższych cierpieniach oddał Bogu ducha d. 15 maja 1910 r., w wieku lat 84”. Msza św. żałobna za zmarłego kapłana, sybiraka została odprawiona w katedrze św. Jana w Warszawie 18 maja 1910 r., a ciało złożono w grobie rodzinnym na warszawskich Powązkach.

Piasieczno nie zapomniało o swoim bohaterze. W 1933 r. jedna z ulic nosiła i do dnia dzisiejszego nosi imię ks. Czajewicza, a w setną rocznicę powstania styczniowego, w kościele pw. św. Anny wmurowano tablicę upamiętniającą piaseczyńskiego proboszcza oraz 12 powstańców styczniowych, którzy polegli 19 maja 1863 r. w bitwie pod Chojnowem i spoczęli we wspólnej mogile na parafialnym cmentarzu. Parafia św. Anny w Piasiecznie przechowuje również kielich mszalny pochodzący z fundacji ks. Ludwika Czajewicza.

ŻONY KRÓLA ZYGMUNTA AUGUSTA



**MAREK
BARAŃSKI**

**SPOŚRÓD TRZECH MAŁŻEŃSTW KRÓLA JEDNO
ZOSTAŁO ZAWARTE Z PRAWDZIWEJ MIŁOŚCI,
WBREW WSZELKIM UWARUNKOWANIOM POLITYCZNYM**

Pierwszą żoną Zygmunta Augusta była urodzona w 1526 r. Elżbieta, córka Ferdynanda Habsburga i Anny Jagiellonki. Już rok później rodzice zaczęli starania o wydanie jej za Zygmunta, polskiego następcę tronu. Habsburgom zależało na tym mariażu, mógł on im zapewnić w przyszłości co najmniej wpływy, a może także sukcesę w Polsce. Choć królowa Bona była niechętna temu małżeństwu, w 1536 r. nastąpiły zaręczyny, a w 1543 r. Zygmunt w katedrze wawelskiej pojął Elżbietę za żonę.

Trapiąca atakami padaczki Elżbieta nie znalazła szczęścia w małżeństwie. Mąż czuł do niej niechęć, nie lubił jej Bona. Jedyną życzliwą jej osobą był teść, król Zygmunt Stary. W 1544 r. młoda para wyjechała do Wilna, jednak i tam Elżbieta nie była szczęśliwa. Niekochający jej mąż znalazł sobie inną kobietę. W Wilnie nastąpiło pogorszenie zdrowia Elżbiety, w końcu w 1545 r. młoda królowa zmarła. Została pochowana w katedrze wileńskiej.

W 1543 r. Zygmunt poznał Barbarę, córkę Jerzego Radziwiłła, hetmana wielkiego litewskiego, wdowę po Stanisławie Gasztołdzie. Młody król częściej niż przy swojej żonie przebywał u boku ukochanej. W 1547 r. wziął z nią tajny ślub. Jednak ta wiadomość szybko stała się wszystkim znana i wywołała powszechne oburzenie. Przeciwny temu małżeństwu był ojciec Zygmunta, król Zygmunt Stary. Jego matka królowa Bona, senatorowie i izba

poselska żądali unieważnienia związku. Pojawiło się mnóstwo obrzydliwych pomówień, Barbara była fałszywie oskarżana o pychę, arogancję, nierząd. Mimo tak silnych nacisków Zygmunt nie ustąpił, nie oddalił swej żony. Gdy w 1548 r. wstąpił na tron, rozpoczął starania o jej koronację. Znowu spotkał się z ogromnym oporem, był jednak zdecydowany postawić na swoim, nawet groził abdykacją. W końcu zwyciężył i w grudniu 1550 r. w katedrze wawelskiej Barbara została koronowana. Była już jednak bardzo chora. Ostatnie miesiące życia spędziła tylko w obecności swego męża, Zygmunt sam osobiście pielęgnował ukochaną żonę. Po jej śmierci w maju 1551 r. długo nie mógł ukoić żalu. Legenda mówi, że nawet sprowadził do siebie mistrza Twardowskiego, gdyż ten obiecał wywołać ducha Barbary. Twardowski miał wykorzystać magiczną latarnię do rzutowania portretu Barbary na chmurę dymu. Widok zmarłej żony zrobił podobno na królu wielkie wrażenie. Również ostatnia kochanka Zygmunta, Barbara Giżanka, została przez niego zauważona, gdyż była podobna do Barbary Radziwiłłówny.

Trzecią żoną Zygmunta Augusta została Katarzyna Habsburżanka, siostra jego pierwszej małżonki. Urodziła się ona w 1533 r. Gdy skończyła 16 lat, została wydana za Franciszka II Gonzagę, księcia Mantui. Małżeństwo to trwało zaledwie cztery miesiące, gdyż w 1550 r. Franciszek zmarł, a Katarzyna wróciła do Austrii.

Po śmierci Barbary król Zygmunt zaczął szukać nowej żony. Zależało mu na

małżeństwie, bo wiedział, że musi mieć potomka. Pod uwagę brana była Matylda, bawarska księżniczka z rodu Wittelsbachów, a także jedna z córek księcia Ferrary. Tymczasem cesarz Ferdynand wystąpił z kandydaturą swej córki Katarzyny. Zależało mu na stworzeniu prohabsburskiego stronnictwa w Polsce, a także pragnął wzmocnienia pozycji Austrii na Węgrzech, gdzie rywalizował z Izabelą Jagiellonką i jej synem Janem Zygmuntem Zapolą. Jednak Zygmunt nie chciał tego małżeństwa, nie pragnęła go też Katarzyna. Aby do niego doprowadzić, cesarz Ferdynand zaczął szantażować króla polskiego możliwością zawarcia antyjagiellońskiego sojuszu z Moskwą. To zadecydowało i w 1553 r. w Krakowie odbył się ślub.

Początkowo wydawało się, że małżeństwo to jakoś się ułoży, jednak bardzo szybko małżonkowie zaczęli czuć do siebie niechęć. Katarzyna często chorowała, Zygmunt podejrzewał, że to jest znowu padaczka. Wprawdzie w 1554 r. królowa stwierdziła, że spodziewa się dziecka, jednak potomek się nie narodził.

Małżeństwo się nie układało, małżonkowie widzieli się coraz rzadziej. W końcu w 1566 r. Katarzyna wyjechała z Polski, ostatecznie osiadła w Linzu. Zygmunt nie dążył do ponownego spotkania z żoną, choć do końca utrzymywał ją i jej dwór.

Katarzyna zmarła w 1572 r., kilka miesięcy przed Zygmuntem. Testamentem przekazała mu swe klejnoty, resztę majątku oddała na cele dobroczynne.

PO SZEŚCIU LATACH PRACY NAD BIOGRAFIĄ
BRONISŁAWA PIŁSUDSKIEGO NIE POTRAFIĘ
ODPOWIEDZIEĆ NA PYTANIA DOTYCZĄCE
OSTATNIEGO ETAPU JEGO ŻYCIA

ŻYCIE I ŚMIERĆ BRONISŁAWA PIŁSUDSKIEGO



**WALDEMAR
CZECHOWSKI**

Jestem filmowcem dokumentalistą. Ten tekst jest szkicem dopełniającym końcowy fragment życia bohatera mojego filmu, wyemitowanego w TVP w 2018 r. O Bronisławie Piłsudskim prof. Antoni Kuczyński mówi: „Opracowuję i piszę już od 40 lat jego biografię i nie mogę skończyć”. Co jakiś czas bowiem pojawiają się nowe fakty i dokumenty. Prof. Koichi Inoue z Uniwersytetu w Sapporo w swoim wydawnictwie „Piłsudskiana de Sapporo” publikuje nowe odkrycia na jego temat. On także zajmuje się Piłsudskim od lat 70. XX w. Podobnie prof. Alfred F. Majewicz w monumentalnym dziele „The Collected Works of Bronisław Piłsudski” publikuje wszystkie prace polskiego naukowca.

Pytania bez odpowiedzi

Jak sobie radził nasz bohater z poczuciem winy opuszczenia ajnuskiej rodziny i dwójki swoich dzieci? Co tak naprawdę

myślał, gdy niecały rok przed śmiercią pisał z Paryża do przyjaciela: „Jestem zmęczony życiem, chcę powrócić do swoich Ajnów, na Sachalin”. Czy miał dość swarów i konfliktów braci Polaków i Litwinów na obczyźnie? Jaka tragiczna myśl kazała mu skoczyć do Sekwany 17 maja 1918 r.? Biografia Bronisława to istna kopalnia „sensacji”, ale i wielu niejasności. To życiorys na kilka filmów czy książek. I one, co ciekawe, powstają. Cztery ostatnie lata Bronisława Piłsudskiego, od wyjazdu z Krakowa w lipcu 1914 r. do Wiednia aż po Paryż 1918 r., mogłyby wypełnić 20 lat życia innego człowieka.

Drogowskaz w świecie wartości

Początek życia był dla Bronisława fatalny. Jako student pierwszego roku prawa został wpłątany w zamach na cara. Wyrok śmierci zamieniono na 15 lat katorgi podczas zesłania. Potem wyspa Sachalin – i 20 lat życia na Dalekim Wschodzie. Wreszcie tułaczka: Japonia, USA i europejskie peregrynacje. Cały czas przewijał się w jego myślach motyw tęsknoty za ojczyzną i marzenie powrotu nad Wilię. Piłsudski mimo przeciwności losu przekuł swoją niedolę i los zesłańca w wyjątkowe osiągnięcia w humanistyce. Jest dziś znanym na ca-

łym świecie etnologiem. Na czym polegał fenomen tej przemiany? Gdzie była natura jego siły – i kiedy się wypaliła?

Katorżnik zesłaniec na Sachalinie

Sam nie mając praw cywilnych w carskiej Rosji, przekazywał autochtonicznemu ludowi Ajnów wiedzę o ich prawach w wielkim imperium. Uczył ich myślenia w kategorii „obywateli” i wyzbycia się statusu niewolników, często traktowanych jako podludzi. Gdy los ostatnich wojennych lat rzucił Bronisława na Zachód, do Szwajcarii i Francji, próbował „łączyć ogień z wodą”. Przykład? Rozmowy i mediacje wśród skłóconych środowisk Polaków z trzech zaborów. Pisał listy, odezwy, licząc na ich skuteczność. Próbował doprowadzić do konstruktywnego dialogu Polaków z Litwinami, rok przed konferencją wersalską. Wszystko na nic. Starał się wypracowywać pole dialogu między obozem piłsudczykowski a narodową demokracją albo patronować porozumieniu dla wspólnej sprawy czterech różnych środowisk naukowców, politykujących wokół hasła do „Małej Polskiej Encyklopedii”. I znów porażka. Frustracja narastała. Skończyło się to desperackim skokiem do Sekwany, pół roku przed

odzyskaniem przez Polskę niepodległości.

Bronisław Piłsudski i jego biografia inspirują wielu badaczy. Z jego dzienników – z Zułowa czy Sachalinu, z jego listów, np. do „kochanego wujaszka”, czyli Stanisława Witkiewicza, wyłania się obraz czułego i wrażliwego człowieka, młodego zesłańca piszącego błagalną epistołę do ojca z prośbą o przebaczenie. Później obraz ten zmienia się w wizerunek „starca” zmęczonego życiem i zesłaniem. Widzimy z opisów, jak w Zakopanem przy witkiewiczowskim kominku opowiadała młodemu Ignacemu (późniejszemu Witkacemu) o swych ukochanych Niwchach i Ajnach. Witkacy zapisał na rewersie obrazu z 1912 r.: „Wujaszek, siedzący wyczerpany 8-godzinna dysputą z ciocią Anielą, opowiadający o zabijaniu w jego obecności fok”. Niestety obraz Piłsudskiego namalowany przez Witkacego zaginął. Ostała się tylko fotografia obrazu przedstawiającego starszego pana w surducie z ręką pod brodą, zapatrzonego w dal. Bronisław, niczym Jezus frasośliwy, a za nim w tle krążące anioły, tańczący górale i trzymany na rękach Jezus w aureoli.

Bronisław Sachalińczyk w pamięci jemu współczesnych

Z życia w Galicji – w willach Zakopanego, Krakowa i Lwowa pozostał obraz Bronisława jako melancholijnego gawędziarza z brodą, który wzruszał swoimi opowieściami z Sachalinu. Zapalał się żywo w dyskusjach, bronił swoich spraw, ale coraz szybciej gasł. Wiemy teraz, że zostało mu wtedy kilkanaście zaledwie lat życia. Zapamiętano go w salonach Paryża, Zurichu i Lozanny i w domach wybitnych Polaków (u Gabriela Narutowicza, Henryka Sienkiewicza) jako pośłańca, mediatora spraw trudnych i beznadziejnych. Mówiono o nim „człowiek gołębiego serca, który bardziej dbał o interesy innych niż swoje” (Jan W. Rozwadowski). Był także człowiekiem podróży. Wiecznie pchany



Członkowie tajnego samokształceniowego kółka „Spójnia” w pierwszym gimnazjum wileńskim.
Od lewej: Szwengruber, Bronisław Piłsudski, Józef Piłsudski, Busz

niepokojem duszy, coraz bardziej targanej rozterkami. On, urodzony na Litwie „litewski Polak” (jak siebie określał w dzienniku z roku 1882) z poczuciem głębokiej przynależności do kultury polskiej był jednak człowiekiem świata. Tak o nim mówią dzisiejsi wybitni badacze: Alfred F. Majewicz, Antoni Kuczyński czy w Japonii Koichi Inoue. To właśnie za ich zgodą korzystać w tym tekście z wymienionych opracowań. Bronisław Piłsudski miał dwa paszporty: rosyjski i austriacki – polskiego się nie doczekał. Zabrakło mu sześciu miesięcy do ogłoszenia niepodległej Polski.

Antymilitarysta i człowiek nauki

Był pacyfistą z natury, co go tak bardzo odróżniało od młodszego brata Józefa – późniejszego Naczelnika Państwa. Uciekał od wojny – najpierw w 1905 r. z Sachalinu do Japonii, aby przedostać się po niecałym roku podróży do Europy i Zakopanego. Gdy wybuchła wojna, w 1914 r. w pośpiechu wyjechał z Galicji do Austrii, Szwajcarii, wreszcie do ostatecznej swej

przystani – Paryża. Nie był politykiem, unikał „gry sił i walki” na scenach „wielkich tego świata” – ale jego życiorys pełen był aktywności politycznych. Na Sachalinie pomagał Ajnom, w Japonii angażował się w ruch emancypacyjny kobiet. W Polsce i Szwajcarii, z Gabrielem Narutowiczem i Henrykiem Sienkiewiczem, aktywnie działał w towarzystwie pomocy sierotom i ofiarom wojny (trwała przecież I wojna światowa). W Paryżu pisał memoriały-odezwy do „braci Litwinów i Polaków” o porozumienie w sprawie przyszłości politycznej wspólnej ojczyzny.

Bronisław, starszy brat marszałka Piłsudskiego, jest dobrze znany w świecie nauki, przede wszystkim z badań nad ludami Dalekiego Wschodu. Był ambitnym badaczem – antropologiem, etnografem – samoukiem, zawsze głodnym wiedzy. Jak obrazowo nazwał to historyk Krzysztof Jabłonka, „Józef jest znany do granicy z Wołgą czy Urału, ale od Urału po Sachalin, Japonię i USA nazwisko Piłsudski głównie kojarzone jest z osobą etnografa, badacza Ajnów”. Rosjanie nazywają go „wielkim rosyjskim uczonym”. A przecież Bronisław został skazany najpierw na karę śmierci zamienioną na 15 lat zsyłki na Sachalin, „wyspę śmierci” – jak nazywał ją Antoni Czechow.

Braterskie relacje

Podczas pokazów mojego dokumentu „Bronisław Piłsudski – zesłaniec, etnograf, bohater” wielokrotnie spotykałem się z pytaniem o relacje z Józefem. W młodości bracia utrzymywali bardzo serdeczne i bliskie stosunki. W gimnazjum byli ideowo związani z ruchem socjalistycznym i radykalnymi ideami patriotycznymi. Stworzyli grupę Spójnia i redagowali wspólnie pismo. Byli sobie bliscy. Wiemy, że Komendant (tworzący Legiony) prowadził wielostronną działalność dyplomatyczno-polityczną jeszcze przed wybuchem I wojny. Wiemy, że Józef udostępniał bratu w Krakowie swoje mieszkanie, gdy ten powracał ze zsyłki. Spędzili bodajże w 1907 r. wspólne >>

>> święta w Zakopanem. Ich relacje w dalszych latach to temat na obszerny artykuł. Wiadomo, że Komendant zlecał bratu delikatne misje, gdy ten wyjeżdżał w naukowych podróżach – do Wiednia, Szwajcarii i Paryża. Bronisław później dystansował się od nich, bo zmieniała się jego orientacja polityczna i myślenie o świecie. Drogi dwóch braci rozchodziły się. Józef po wybuchu I wojny światowej został na ziemiach polskich i tworzył przyszłe kadry polskiego wojska. Bronisław wyjechał na Zachód, oddając się pracom społecznym i naukowym. Uciekał od problemów wojny, a myśl o niej i złej sytuacji materialnej pogłębiała jego depresję. Dwukrotnie próbował ukończyć studia – w Neuchâtel i Brukseli. Angażował się w badania nad muzealnictwem i etnografią, które intensywnie rozwijały się jako nowe dziedziny nauki. W Muzeum Narodowym Polskim w Rapperswilu prowadził kwerendy, opracowywał materiały historyczne do tworzącej się pierwszej edycji „Małej Polskiej Encyklopedii” („Le Petit Encyclopedie”). Został poproszony o napisanie i redakcję kilku haseł z dziedzin mu najbliższych – etnologii, językoznawstwa. Na tym polu czuł się sobą. Tu spełniały się jego ambicje.

W kręgu Romana Dmowskiego

Jak doszło do nawiązania bliskich relacji z Romanem Dmowskim? Przecież ruch, jaki on zainicjował, był w opozycji do kierunku i drogi Józefa Piłsudskiego. Musimy pamiętać o rozlicznych inicjatywach tworzenia po wybuchu Wielkiej Wojny niezależnych od siebie komitetów polskich. Liczne środowiska polityczne w trzech zaborach miały inne koncepcje, priorytety i w związku z tym różniące się od siebie strategie. I tak mamy „krakowski” Naczelny Komitet Narodowy (W. Leopolda Jaworskiego). Z inicjatywy Lwowskiej Rady Narodowej zostaje założone i finansowane w Rapperswilu Biuro Informacyjno-Prasowe. I to środowisko (za poręczeniem Władysława Sikorskiego) oddelegowało Bronisława z Wiednia do Szwajcarii. Załatwiło mu austriacki paszport, dzięki czemu mógł on w celach naukowych podróżować po Europie. Czy była to misja? Dotychczas ta sprawa nie jest wyjaśniona. I wreszcie Komitet Narodowy Polski (założony przez Dmowskiego) mający najsilniejszą pozycję w Paryżu. Rozpoznawalny przez państwa Ententy jako prawowity rząd Polski, do końca roku 1918, zatrudnił Bronisława jako sekretarza biura. Pisał on w jednym z li-



Bronisław Piłsudski wśród Ajnów

FOT. JPN

stów: „Żyję w Paryżu z pisania, zarabiam z wierszy” (czyli z pisania). To było wielce satysfakcjonujące zajęcie dla naukowca z Polski. Miał bowiem wreszcie perspektywę ukończenia najważniejszej pracy naukowej o Ajnach z Sachalinu i Hokkaido.

Spotkanie Bronisława Piłsudskiego i Romana Dmowskiego nastąpiło prawdopodobnie pierwszy raz w Szwajcarii i wtedy się okazało, że obaj mają podobną wizję walki o polskość. Dmowski, pod koniec wojny w Paryżu, miał swoje środowisko i „teatr działań” w dziedzinie dyplomacji oraz lobbingu na rzecz wolnej Polski. Później spotykali się w Paryżu, odwiecznej mekke polskiej emigracji, obaj pracowali w założonym w 1917 r. KNP. Dmowski był aktywnym działaczem i nad Tamizą – a przecież i tam bywał Bronisław Piłsudski w ramach zleconych prac nad organizacją muzeów etnograficznych. Bronisław – naukowiec „pracujący dla sprawy polskiej”, mediator łagodzący spory środowisk emigracyjnych. Dmowski, aktywny wytrawny polityk i dyplomata, widział siebie w roli kierującego polską polityką zagraniczną w odrodzonej Polsce. Obaj, choć innymi metodami, walczyli o przyszłą pozycję Polski na mapie Europy. Zapewne nie mogli się zgadzać we wszystkim. Dmowski był posłem do trzech Dum (rosyjskiego parlamentu). Bronisław, mając za sobą zsyłkę, „uciekał od Rosji”. Zostawił przecież po wojnie rosyjsko-japońskiej w 1905 r. swoją rodzinę i wyjechał do Japonii. Marzył o powrocie do kraju młodości, na Litwę, do Żułowa, Wilna. Bronisław całą duszą i społecznym zaangażowaniem manifestował wolę wielu polskich środowisk reaktywowania ojczyzny w kształcie Rzeczypospolitej Obojga Narodów (w ścisłym związku z Litwą, na ziemiach, na których się urodził). Wiemy, że już w 1917 r. jako pracownik sekretariatu KNP wielokrotnie rozmawiał z urodzonym na Litwie Tadeuszem Romerem (późniejszym ambasadorem w Japonii i ministrem spraw zagranicznych rządu RP w Londynie).

Był orędownikiem porozumienia Polaków w dialogu z Litwinami o kształcie terytorialnym państw. Poprzez bliską znajomość z Eugeniuszem Romerem, późniejszym rzecznikiem wolnej Litwy, czy w polemice z Ludwikiem Janowskim, późniejszym profesorem Uniwersytetu w Wilnie, próbował tworzyć polsko-litewski konsensus. Bronisław niewiele mógł zdziałać – podziały były zbyt głębokie. Litwini szli własną drogą niezależności od Polski. Rozgoryczenie tymi niepowodzeniami przyplącał coraz większą depresją psychiczną (która po kolejnym załamaniu doprowadziła do tragicznej śmierci). Ostatnie jego zapiski, w jakimś sensie list pożegnalny, zastał na stole w jego mieszkaniu bliski współpracownik Romana Dmowskiego, Jan W. Rozwadowski, a zarazem przyjaciel Piłsudskiego. Mieszkali w jednym domu Maurycego Zamoyskiego – współtwórcy KNP. Zamoyski opiekował się schorowanym Bronisławem. Załatwiał i opłacał mu lekarza, wysyłał do kurortów na leczenie. Piłsudski był już poważnie chory. Dawne lata katorgi, zesłania i tułaczka także dawały o sobie znać.

* * *

Rok przed zakończeniem wojny, od jesieni 1916 do tragicznego 17 maja 1918 r., Bronisław w Paryżu prowadził bardzo intensywne życie. Pracował społecznie wśród wielu środowisk emigracyjnych. Pisał wiele i redagował swoją ostatnią pracę „Krzyże litewskie” (wydanie pierwsze po francusku, a w 1922 r. po polsku). Było to unikatowe dzieło z pogranicza etnologii, opracowań kolekcjonerstwa etnograficznego i popularyzacji wiedzy. Gdy 10 kwietnia pracował nad memoriałem o stworzeniu polsko-francuskiej spółki wydawniczej pod egidą KNP, pewnie nie wiedział jeszcze, że został mu miesiąc życia. Przerwane życie tak ambitnego człowieka, z własnej woli? – trudno w to uwierzyć i jeszcze trudniej z tym się pogodzić.

A close-up, black and white portrait of a man in profile, facing left. He is wearing a dark military cap with a braided band and a small circular emblem. He has a mustache and a goatee. The background is dark and out of focus.

NAMIESTNIK HITLERA NA POMORZU

51

MACIEJ
MACIEJOWSKI

W okresie III Rzeszy Franz Schwede-Coburg zyskał dominujący wpływ na życie nie tylko niemieckich mieszkańców Pomorza Zachodniego, lecz także tysiący ludzi osadzonych w charakterze niewolników na podległym mu obszarze. Schwede-Coburga zaliczyć wypada do grona tzw. zbrodniarzy zza biurka – kategorii polityków charakterystycznej dla historii XX w.

Droga powrotna

Urodzony w jednej z wsi (Drawönnen) pod obecnie litewską Kłajpedą Franz Schwede wywodził się z rodziny kultuwującej tradycje wojskowe. Jego ojcem był pruski leśnik. Edukację zakończył na szkole podstawowej, co przekreślało karierę oficerską. Przygotowywał się do zawodu ślusarza. W latach 1907–1920 służył w niemieckiej marynarce wojennej. W ramach obowiązków w latach 1911–1913 pływał na okrętach wojennych na Dalekim Wschodzie. Podczas I wojny światowej jako starszy mat-maszynista na pancerniku „Prinzregent Luitpold” wziął udział w tzw. bitwie jutlandzkiej z flotą brytyjską (31 maja 1916 r.). Odznaczony został Krzyżem Żelaznym I i II klasy. Na skutek przegranej przez Niemcy I wojny światowej wraz z całą cesarską flotą został internowany w brytyjskich bazach marynarki wojennej w Firth of Forth, a następnie Scapa Flow. Redukcja armii niemieckiej będąca wynikiem postanowień wersalskich objęła również Franza Schwede po powrocie z brytyjskiej niewoli na początku 1920 r. W 1922 r. został zatrudniony przez miasto Coburg jako mistrz maszynowy w miejskiej elektrowni.

Powyższe doświadczenia umocniły w nim poczucie rewanżyzmu, pogłębiane przez okazywany antysemityzm. Nie dziwi zatem to, że od 1922 r. stał się gorliwym wyznawcą ideologii narodowo-socjalistycznej oraz aktywnym działaczem nazistowskim. Swoją przydatność udowodnił w 1929 r., zdobywając jako pierwszy w Republice Weimarskiej większość dla NSDAP w radzie bawarskiego

FRANZ SCHWEDE-COBURG NALEŻY DO GRONA OSÓB RZADKO EKSPONOWANYCH W LOKALNEJ HISTORII POMORZA ZACHODNIEGO. NIE MA W TYM NIC DZIWNEGO, ZWAŻYWSZY NA KONTEKST, W JAKIM POJAWIA SIĘ I FUNKCJONUJE. NIE NALEŻY JEDNAK ZAPOMINAĆ, ŻE W III RZESZY SCHWEDE-COBURG SKUPIŁ W SWOICH RĘKACH OGROMNĄ WŁADZĘ

miasta Coburg. Sukces ten przyniósł mu nadany przez Adolfa Hitlera przydomek. Oficjalne uprawnienie do jego używania otrzymał 15 maja 1935 r. 12 marca 1933 r. został burmistrzem w Coburgu. 3 czerwca 1934 r. otrzymał urząd prezydenta rejenacji Dolnej Bawarii i Górnego Palatynatu. Jednak już 22 czerwca tego roku został przeniesiony na analogiczne stanowisko na Pomorzu Zachodnim. Nominacja Franza Schwede była następstwem rozprawy Hitlera z kierownictwem SA (tzw. noc długich noży). W jej wyniku odsunięto dotychczasowego gauleitera Wilhelma Karpensteina (1903–1968).

Niemieckie Pomorze

Od 1934 r. Schwede-Coburg był głównym wykonawcą polityki III Rzeszy na Pomorzu Zachodnim. Łączył on kilka funkcji, które prowadziły do niemal pełnej centralizacji władzy w jego rękach. Pełnił stanowisko naczelnego prezydenta prowincji pomorskiej (Oberpräsident), posiadał uprawnienia namiestnika Rzeszy (Reichsstatthalter), był także stałym przedstawicielem rządu krajowego Prus (Landeshauptmann). Równocześnie sprawował obowiązki kierownika zarządu okręgowego władz partyjnych NSDAP (Gauleiter der NSDAP in Pommern). Otrzymał również tytuł pruskiego radcy stanu i stopień Obergruppenführera SA (polski odpowiednik: generał dywizji). W latach 1939–1942 był ponadto komisarzem obrony Rzeszy na obszarze II Okręgu Wojskowego.

W środowisku lokalnych elit pomorskich wywodzący się z Kłajpedy Schwede-Coburg odbierany był często niechętnie. Uważano go za bezwzględne kariero-

wicza, nuworysza i miernotę. Namiestnik Hitlera na Pomorzu rewanżował się z kolei nienawiścią do wszystkiego, co „miało posmak szlachty, kasty oficerskiej, pruskiego ducha i chrześcijaństwa”. Wyraźne braki w wykształceniu i kompetencji nadrabiał służalczością wobec nazistowskich zwierzchników.

Przykładem obskurantyzmu i nadgorliwości gauleitera Pomorza może być jego stosunek do życia osobistego podległych mu urzędników. W III Rzeszy urzędnicy państwowi byli ściśle kontrolowani, badano m.in. ich znajomości, przeszłość polityczną, a także nadzorowano sprawy matrymonialne, a nawet rozrodczość. W 1937 r. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nakazało wyszczególnionym urzędnikom wyjaśnić, dlaczego jeszcze nie są żonaci, oraz podać przyczyny bezdzietności. Schwede-Coburg w charakterystyczny dla siebie sposób rozwinął problem, wydając dekret wyznaczający ściśle datę, „od której poczynawszy, w moim Gau każdy urzędnik i pracownik państwowy, kończąc 25 lat, musi być żonaty”.

Schwede-Coburg był nie tylko gorliwym realizatorem instrukcji płynących z Berlina, lecz także inicjatorem licznych akcji wymierzonych w Żydów, chorych umysłowo, jeńców wojennych czy robotników przymusowych. Jest on m.in. odpowiedzialny za zorganizowanie wywózki ok. 1,4 tys. pacjentów zakładów psychiatrycznych z Pomorza Zachodniego do miejsca egzekucji w Piaśnicy pod Wejherowem. Był doskonale poinformowany o wszelkich działaniach gestapo na podległym mu obszarze.

W czasie pamiętnych wyborów w 1933 r. NSDAP na Pomorzu zdobyła najwyższą liczbę głosów w skali całych

Niemiec. Już pierwszy rok rządów nazistowskich w Szczecinie przyniósł falę terroru wobec członków delegalizowanych partii lewicowych oraz miejscowych Żydów. Symbolem tego okresu może być funkcjonowanie prowizorycznego obozu koncentracyjnego założonego na terenie zamkniętej w 1927 r. stoczni Vulcan. Ostatni rok przed wybuchem wojny przyniósł z kolei drastyczne pogorszenie położenia szczecińskich Żydów. Jesienią 1938 r. władze wydały z miasta Żydów niebędących obywatelami Niemiec. Wielu z nich trafiło do Polski. Efektem tzw. kryształowej nocy (9–10 listopada 1938 r.) było spalenie lokalnej synagogi. Z pogromu uratowano jedynie część Tory, inne wartościowe przedmioty zostały rozgrabione przez szczecińskie gestapo. Los szczecińskich Żydów dopełnił się w nocy z 12 na 13 lutego 1940 r., kiedy zostali deportowani na Lubelszczyznę. 230 z 1,2 tys. Żydów pomorskich nie przeżyło transportu w ponad 30 stopniach mrozu oraz pierwszych dni zakwaterowania w złych warunkach. W maju 1942 r. pozostali przy życiu zostali skierowani do obozów koncentracyjnych: mężczyźni do Sobiboru i Majdanka, kobiety oraz dzieci do Bełżca, gdzie zostali zamordowani.

W schyłkowym okresie wojny Schwede-Coburg został ponownie mianowany wraz z innymi gauleiterami komisarzem obrony Rzeszy z zadaniem kierowania całością cywilnej administracji na terenie II Okręgu Wojskowego. Z obszaru jego kompetencji jako komisarza obrony Rzeszy wydzielono: koleje, pocztę, służby skarbowe oraz wzmocnioną służbę nadzoru granic. Schwede-Coburg był odpowiedzialny za przyczyn ideologicznych i ambicjonalnych za opóźnienie ewakuacji z Pomorza, co przyczyniło się do znacznego zwiększenia strat niemieckiej ludności cywilnej oraz osób z okupowanych krajów Europy.

Koniec panowania

12 grudnia 1944 r. wydał co prawda rozkaz omawiający szczegóły akcji opróżniania terenu i wywożenia majątku państwowego oraz prywatnego w bezpieczne miejsce, lecz już 25 stycznia 1945 r. zapewniał w Trzciance, że wojska niemieckie zatrzymają Rosjan na linii Noteci, a „mówiących o ewakuacji należy aresztować”. Tymczasem nazajutrz w miasteczku byli już Rosjanie. 26 stycznia na łamach „Pommersche Zeitung” Schwede-Coburg wydał odezwę,

w której m.in. czytamy: „Na Pomorzu nie będzie ewakuacji. [...] Nastawiliśmy się na walkę. Bronimy naszej ojczystej ziemi do ostatniej kropli krwi. [...] Pragniemy uratować najcenniejsze dobra, konieczne do życia, i przede wszystkim to, co jest dla nas najcenniejsze – nasze dzieci i matki. Nie ma jednak powodu do ucieczki. Dlatego wszystkie tego rodzaju usiłowania będą bezwzględnie udaremniane. Niech przyjmą to do wiadomości ci, którzy sądzą, że dzięki zajmowanemu stanowisku

SWOJĄ PRZYDATNOŚĆ UDOWODNIŁ W 1929 r., ZDOBYWAJĄC JAKO PIERWSZY W REPUBLICE WEIMARSKIEJ WIĘKSZOŚĆ DLA NSDAP W RADZIE BAWARSKIEGO MIASTA COBURG. SUKCES TEN PRZYNIÓSŁ MU NADANY PRZEZ ADOLFA HITLERA PRZYDOMEK

ujdą najszybciej. Właśnie w obecnym momencie pragniemy zrealizować narodowo-socjalistyczną sprawiedliwość. Ten sam los ma być udziałem wszystkich. Wszyscy wspólnie będziemy walczyć. Tego, kto tchórzliwie się uchyli – spotka kara wyeliminowania ze społeczności”.

1 lutego 1945 r. na łamach „Pommersche Zeitung” ukazała się kolejna odezwa, w której gauleiter Pomorza głosił m.in.: „[...] Mieszkańcy Pomorza byli naj-

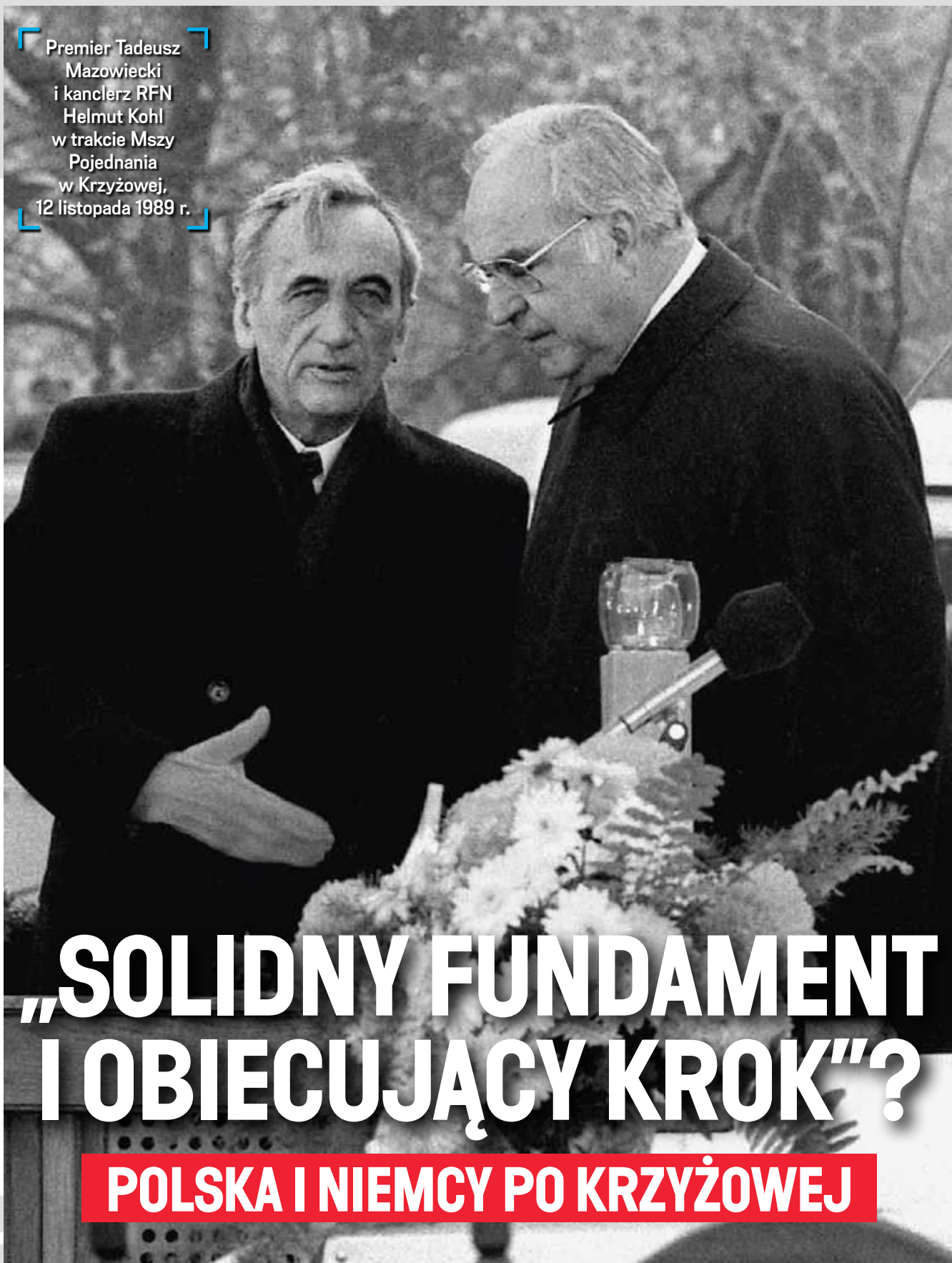
lepszymi grenadierami »Starego Fritza« (chodzi o króla Prus Fryderyka II). Spośród nas wywodził się Nettelbeck [chodzi o Joachima Christian Nettelbecka (1738–1824), burmistrza Kołobrzegu, jednego z pruskich obrońców miasta przed wojskami napoleońskimi w 1807 r.]. Dzisiaj i zawsze jesteśmy oddanymi wojownikami Führera [...]. Serca pełne wiary, silna wola i karabin w rękę złamią napór czerwonej powodzi”. Jeszcze 14 kwietnia, gdy praktycznie całe Pomorze znajdowało się w rękach sowieckich, Schwede-Coburg zapowiadał: „Führer rozkazał bronić każdego miasta, każdej wsi i każdej ziemi. Tam, gdzie jednostki Wehrmachtu nie wystarczają do obrony lub gdzie ich zabrakło, obronę ma przejąć niemiecki Volkssturm”, czyli formacja o charakterze pospolitego ruszenia powołana przez Hitlera 25 września 1944 r.

Tchórzostwo i więzienie

Gauleiter Pomorza, żądając od Pomorzan najcięższych ofiar, rozkazując bronić do końca każdej wsi i zamierzając zgolić „wczepić się pazurami w pomorską ziemię”, sam w obliczu wroga zbliżającego się do Odry i Szczecina szybko przeniósł swą kwaterę do Pasewalku, następnie do zamku Schwerinsburg, potem do Greifswaldu, Stralsundu, a wreszcie na wyspę Rugię, którą opuścił 4 maja 1945 r. Niektóre relacje utrzymują, że Schwede-Coburg odbył podróż do Kilonii w przebraniu maszynisty.

Po ucieczce drogą morską z Pomorza do Szlezwiku-Holsztynu Schwede-Coburg został 13 maja 1945 r. aresztowany przez żołnierzy brytyjskich. W niewoli przebywał do 1947 r. W początkach 1948 r. został skazany przez sąd Bielefeld na 10 lat więzienia i utratę majątku. W postępowaniu odwoławczym w listopadzie 1948 r. wyrok został obniżony do dziewięciu lat, uchylono również przepadek majątku, ponieważ uznano, że Schwede-Coburg w trakcie rządów nazistów „nie wzbogacił się szczególnie”. Wiosną 1951 r. stanął przed izbą karną sądu krajowego w Coburgu oskarżony o uszkodzenie ciała w 52 wypadkach i usiłowanie wymuszenia, za co został skazany na 10 lat więzienia. W lipcu 1953 r. odbyło się kolejne postępowanie przed sądem w Monachium, w którego wyniku Schwede-Coburg został skazany na dwa lata obozu pracy. W 1956 r. został warunkowo zwolniony. Resztę życia spędził jako emeryt w Coburgu.

Premier Tadeusz
Mazowiecki
i kanclerz RFN
Helmut Kohl
w trakcie Mszy
Pojednania
w Krzyżowej,
12 listopada 1989 r.



„SOLIDNY FUNDAMENT I OBIECUJĄCY KROK”?

POLSKA I NIEMCY PO KRZYŻOWEJ

FOT. TOMASZ KOSIŃSKI/FOTONOWA


**PIOTR
ŁYSAKOWSKI**

HISTORIA WYCIĘŁA TĘGIEGO PSIKUSA, GRAJĄC NA NOSIE WSZYSTKIM MĘDRKOM I FACHOWCOM TWIERDZĄCYM, ŻE SIĘ SKOŃCZYŁA

W listopadzie 1989 r. zaczęła swoją agonię, powstała 40 lat wcześniej, Niemiecka Republika Demokratyczna. 1 września 1989 r. na Westerplatte prezydent PRL wspominał o „hitlerowcach”, których pierwszą ofiarą stali się Polacy „prześladowani tylko za to, że ośmielili się być narodem” („Życie Warszawy” 2/3.09.1989). W tym samym czasie w Palmirach spotkała się młodzież polska i niemiecka. „Pamięć musi służyć przyszłości”, „Niemcy wiele wycierpieli, ale nie wszyscy jeszcze zrozumieli, że dniem, w którym stracili dawną ojczyznę, był nie 8 maja 1945 r., ale 1 września 1939 r.”. „Polska przeżywająca zmiany nie potrzebuje dobrych rad, Europa zaś potrzebuje współpracy Niemców i Polaków” – mówił tam Johannes Rau („Życie Warszawy” 2/3.1989). W rozmowie z „Polityką” Erich Honecker usprawiedliwiał pakt z 23 sierpnia 1939 r., wspominając o solidarnej pomocy niemieckich demokratów dla polskich jeńców wojennych: „Przykładamy wagę do tego, aby ukazać owe polityczne okoliczności w latach 30., które nie zostawiły Związkowi Radzieckiemu innej drogi niż zawarcie takiego układu” („Polityka”, 9.09.1989). W tonie demitologizującym niemieckie winy wypowiadali się też niektórzy polscy publicyści oczekujący od Polaków wsparcia idei jednolitych Niemiec: „Święta i straszna dla Polaków data widziana z nieco innej perspektywy najoczywistej maleje”, „To, co zrobił wtedy Hitler ze Stalinem, nie jest najważniejsze, jest tylko fragmentem zbrodni dokonanej na Europie. Z tej perspektywy fakt, że wojnę wywołali Niemcy, traci na znaczeniu. Jeśli Polacy domagają się od świata, by uznał ich narodowe marzenie, nie wolno im odmawiać tego marzenia Niemcom” („Tygodnik Powszechny”, 1.10.1989).

Przygotowywanie gruntu

We wrześniu 1989 r. wizytę w RFN odbył Lech Wałęsa, co miało prowadzić do

rozładowania niepokoїв związanych z kwestiami delimitacji granicznej. Chłodne przyjęcie wynikało z protekcyjnego traktowania naszego kraju przez Niemców z zachodu, różnicy między Polską a ZSRS, słabości gospodarczej i naszych postkolonialnych kompleksów. Solidarność chciała zdjąć z Polski zarzut hamulcowego, uznając, że ponowne zjednoczenie to sprawa samych Niemców. „Musi jednak być rzeczą pewną, że zjednoczone Niemcy nie

ków. Problem musiał być spory, skoro obietnice ministra Skubiszewskiego złożone szefowi niemieckiego MSZ Genscherowi nie zostały spełnione od razu, bo „sprawa jest delikatna”. „Polska nie będzie nikogo deportować. Naszym obowiązkiem jest załatwianie spraw uchodźców w sposób humanitarny, pragmatyzm to utrzymanie dobrych stosunków z NRD i RFN. Sprawa uchodźców może te stosunki skomplikować” – mówił Skubiszewski („Gazeta Wyborcza”, 12.10.1989.). Wyrażna obawa przed zadrażnieniami zdaje się dowodem na to, że solidarnościowy rząd nie panował nad resortami siłowymi.

OSWAJANO KRAJOWĄ OPINIĘ PUBLICZNĄ ZE ZBLIŻAJĄCĄ SIĘ WIZYTĄ KANCLERZA HELMUTA KOHLA. MIAŁA BYĆ ONA PRZEŁOMOWA, STABILIZUJĄCA STOSUNKI I POZYTYWNA DLA EUROPY

będą zagrożeniem dla żadnego innego kraju” („Polityka”, 30.09.1989). Tym samym oswajano krajową opinię publiczną ze zbliżającą się wizytą kanclerza Helmuta Kohla. Miała być ona przełomowa, stabilizująca stosunki i pozytywna dla Europy. W tym czasie rosła desperacja Niemców z NRD. Nasilał się problem uchodźców, którzy znaleźli się w Polsce. Powstawały też istotne i falsyfikowane dzisiaj pytania o zachowanie się rządu Mazowieckiego wobec nieszczęśni-

Batalia o miejsce

W trakcie przygotowań do wizyty Helmuta Kohla w Polsce przyleciał nad Wisłę (listopad 1989) nowy sekretarz generalny KC NSPJ Egon Krenz. Pojawił się pomysł, by Kohl spotkał się z przedstawicielami mniejszości niemieckiej na Górze Świętej Anny. Pomysł ten „wprawił gospodarzy w zakłopotanie. Życzenie, aby spacer do kościoła odbyć akurat na Górze św. Anny, trafiło na małe zrozumienie tolerancyjnych polityków katolickich w Polsce” („Życie Warszawy”, 2.11.1989). Dziwiono się też odwołaniu, tuż przed wizytą, ambasadora RFN w Polsce Joachima Schoelera. Oskarżano go w RFN o powiązania z międzynarodowym handlem bronią. Z wiadomości „dobrych” przebijała się ta, że „81 proc. obywateli RFN uznaje granicę na Odrze i Nysie” („Trybuna Ludu”, 31/1.10/11.1989, „Życie Warszawy”, 6.11.1989). Nad zbliżającą się wizytą ciążyły również, wspomniane wyżej, obawy przed możliwym zjednoczeniem Niemiec. Podnoszono też polskie roszczenia odszkodowawcze, jednak nie w tym wymiarze, w jakim mówi się o nich dzisiaj. Fatalne było to, że obie kwestie sygnalizowały osoby i organizacje skompromitowane, co zresztą okazało się dopiero później w związku z aferą „Żelazo”. Kanclerz >>

» po rozmowach telefonicznych z Mazowieckim (2.11.1989) zdecydował o zmianie planów i ze stroną polską poszukiwał miejsca o „ładunku symbolicznym”, gdzie obaj będą mogli wnieść swój wkład w pojednanie polsko-niemieckie. W końcu rzecznik rządu federalnego Hans Klein powiedział, że w czasie podróży do Polski kanclerz i premier wezmą udział w mszy odprawianej przez bp. Nossola w Krzyżowej w „majątku hrabiego Moltke, duchowego przywódcy »Kreisauer Kreis«, czyli ośrodka opozycji antynazistowskiej. Na pytanie: czyja to myśl, rzecznik odparł, iż »rozwinęła się ona w trójkącie Nossol – Kohl – Mazowiecki«...” („Życie Warszawy”, 4/5.11.1989, „Trybuna Ludu”, 3.11.1989). Na agendzie stawały teraz kwestie takie jak: opieka nad znajdującymi się w Polsce grobami niemieckich żołnierzy, używanie przez RFN nazewnictwa niemieckiego w odniesieniu do miejscowości położonych na terytorium Polski, upamiętnienia antyhitlerowskiego ruchu oporu w Niemczech i praw dla obywateli polskich niemieckiego pochodzenia.

Dwie wizje porozumienia

Polska gotowość do kompromisu kończyła się „na Odrze i Nysie. Wszystko, co mogłoby w jakiejś mierze rzucić cień wątpliwości co do ostatecznego charakteru naszych granic zachodnich, nie znajdzie naszego przyzwolenia. „Polityka porozumienia, pojednania czy wręcz przyjaźni z Republiką Federalną nie zakłada rezygnowania z naszych podstawowych pryncypiów politycznych i prawnych” („Życie Warszawy”, 4/5.11.1989). Dla potwierdzenia tego stanowiska „użyto” wspomnianej już wizyty Krenza w Polsce: „wschodnie Niemcy szybko zaakceptowały tę granicę. Podczas gdy w Niemczech Zachodnich jest ona wciąż przedmiotem dysputy” („Trybuna Ludu”, 4/5.11.1989). Twierdzono, że Polska i RFN mają szansę pełnić w procesie europejskiego pojednania funkcję wiodącą. „Europa będzie mogła także dać rozwiązanie otwartej kwestii niemieckiej, ponieważ zjednoczona Europa, w której odmawiano by samostanowienia części narodu niemieckiego, byłaby dziwolągiem”. Polska zaś przyczyniała się w sposób wyraźny do odprężenia i tworzenia nowych europejskich możliwości („Trybuna

Ludu”, 6.11.1989 i 7.11.1989). W Warszawie zauważano, że „wszyscy współodpowiedzialni za losy kraju spod znaku »Solidarności« czy PZPR nie odmawiają dzisiaj Niemcom prawa do samostanowienia, nie może to nastąpić kosztem praw innych narodów. Demokratyzacja życia w NRD nie musi oznaczać automatycznie osłabienia odrębności” („Życie Warszawy”, 6.11.1989). Wyrażano też nadzieję, że wizyta kanclerza przysłuży się pojednaniu, a uroczyste nabożeństwo w Krzyżowej będzie symbolem pokoju między Polakami i Niemcami.

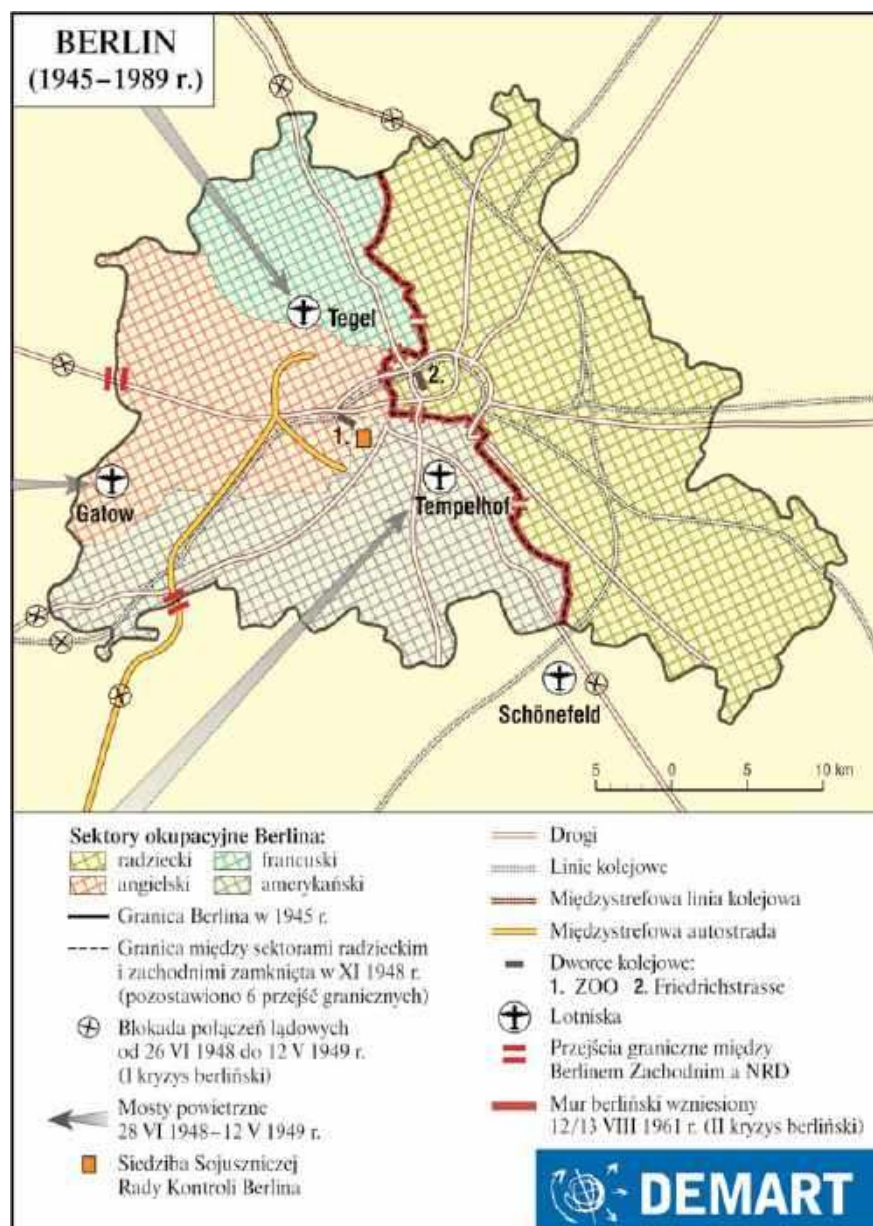
POWTARZANO TEŻ, ŻE POLSKA GRANICA ZACHODNIA JEST OSTATECZNA, A KWESTIA MNIEJSZOŚCI NIEMIECKIEJ WYOLBRZYMIANA

Powtarzano również, że polska granica zachodnia jest ostateczna, a kwestia mniejszości niemieckiej wyolbrzymiana. Wspomniano o możliwej podczas wizyty pikiecie pod hasłem „Nie ma pojednania bez odszkodowania” i proteście przeciw niskim odszkodowaniom za pracę przymusową Polaków w Niemczech („Gazeta Wyborcza”, 6.11.1989). W tym czasie w NRD pod naciskiem ulicy 7 listopada 1989 r. wymieniono rząd (Willi Stoph został zastąpiony przez Hansa Modrowa). Wybrano nowe kierownictwo SED. W Polsce zaś nadal zastanawiano się nad tym, co może przynieść nadchodząca wizyta kanclerza. Widziano konieczność wykazania się przez stronę niemiecką „szczególną wrażliwością moralną”. Wobec niejednoznacznej postawy niemieckich polityków dalej emocje budziła kwestia uznania przez RFN polskiej granicy zachodniej. „Zdaniem Jochena Vogla dyskusja na temat polskiej granicy rzuca cień na rozpoczynającą się wizytę. Vogel wezwał ponownie

kanclerza, aby w Warszawie wypowiedział się na temat granicy” („Rzeczpospolita”, 8.11.1989). Nie odnosząc się bezpośrednio do powyższego problemu, w wywiadzie udzielonym „Gazecie Wyborczej” kanclerz przedstawił swoją wizję polsko-niemieckiego pojednania, porównując ten proces z analogicznymi, jakie miały miejsce między RFN a Francją i Izraelem: „Bez przyjaźni niemiecko-polskiej nie ma szans na Europę, w której nie ma murów i drutów kolczastych, nienawiści i wrogości. Przyszłej Europie będzie chodziło przede wszystkim o samostanowienie i prawa człowieka, o suwerenność narodów, a nie o granice i terytoria państwowe, to nie suwerenne państwa, lecz suwerenne narody dokonującą budowę Europy” – mówił. W kolejnej rozmowie przeprowadzonej przez TVP kanclerz precyzyjnie wyłożył swoje stanowisko: „O granicach trzeba uczciwie powiedzieć – a dyskusje te mają w ogóle sens tylko wtedy, kiedy prowadzone są szczerze – że my, Niemcy, nie mamy układu pokojowego. Pragnę również podkreślić, że jako kanclerz nie jestem upoważniony do składania oświadczeń w imieniu Niemiec”. Kohl zwracał też uwagę na zapoznany fakt, że stosunki polsko-niemieckie długo były przyjaźne. Odnosił się również pozytywnie do planowanej w Krzyżowej mszy i spotkania z Mazowieckim. Wagę Krzyżowej, jako miejsca spotkania, podkreślali też działacze Klubów Inteligencji Katolickiej: „Można więc mieć nadzieję, że zostanie spełniony niemiecki postulat roztoczenia opieki nad Krzyżową (Kreisau) na Dolnym Śląsku – majątkiem Helmutha Jamesa von Moltke, duchowego przywódcy Kreisauer Kreis. Istnieją zresztą na ten temat propozycje, w tym inicjatywa wrocławskiego Klubu Inteligencji Katolickiej, by Krzyżową przekształcić w międzynarodowe i stale działające centrum spotkań” („Tygodnik Powszechny”, 29.10.1989).

Gesty i realia

9 listopada 1989 r. polska prasa doniosła o uznaniu przez Bundestag polskiej granicy zachodniej. Wizyta rozpoczęła się optymistycznie i symbolicznie. Nim się jednak rozpoczęła, mogła się skończyć. W Berlinie bowiem: „Podjęliśmy dzisiaj decyzję. Każdy z obywateli może wyjechać przez dowolne przejście graniczne. Decyzja wchodzi



w życie natychmiast” („Gazeta Wyborcza”, 10/12.11.1989) przeczytał z kartki (jak twierdzą niektórzy, przez pomyłkę albo z inspiracji Sowietów) Günther Schabowski, członek Biura Politycznego SED. Ci, którzy to usłyszeli, ruszyli masowo w kierunku „muru”. Po przepychankach o 23.30 ostatecznie otworzono przejście graniczne Bornholmer Strasse w Berlinie. Lawina ruszyła. Przebywający w Warszawie Kohl oświadczył: „Z powodu dramatycznej sytuacji na granicy wewnątrzniemieckiej czuję się zmuszony do przeanalizowania możliwości przerwania wizyty w Polsce” („Gazeta Wyborcza”, 10/12.11.1989, „Trybuna Ludu”, 10/12.11.1989, „Życie

Warszawy”, 10/11/12.1989, „Rzeczpospolita”, 10/12.11.1989). Tak też się stało. Wyjazd z Polski oraz pojawienie się w Bonn i przed Bramą Brandenburską 10 listopada były dla niego traumatycznym antraktem. „Przeżył chyba największe rozczarowanie swego życia. Gdy zjawił się na trybunie przed ratuszem obok Willy Brandta, Waltera Mompera, Hansa Dietricha Genschera, został wygwizdany” („Polityka”, 18.11.1989). Po 27 godzinach był znów w Polsce. „Symboliczne znaczenie dla Niemców miała niedzielna msza polowa w Krzyżowej, Kohl i Mazowiecki przekazali sobie znak pokoju obejmując się i podając sobie ręce, przyjęli także komunię. Wierni ze

sztandarami niemieckich kół przyjaźni z Pomorza, Śląska, a także transparentami, głównie po niemiecku »Chcemy niemieckich szkół i niemieckich mszy«, »Danzig i Elbing pozdrawiają Helmuta Kohla«, głośnie grupy skandowały: »Helmut nie zapomnij o nas«” („Gazeta Wyborcza”, 13.11.1989, „Trybuna Ludu”, 13.11.1989). Tego samego dnia co msza i wizyta w Częstochowie odbyły się spotkania z prezydentem PRL Wojciechem Jaruzelskim i wcześniej z Lechem Wałęsą. Podczas Polenreise Kohl apelował o odrzucenie obciążającej przeszłości, „Narodowi polskiemu wyrządzono ogromne krzywdy w imieniu Niemiec i z rąk Niemców. Prawdą jest także, że po wojnie ponad dwa miliony Niemców straciło życie podczas ucieczki i wypędzenia”. Zaznaczał też to, że tylko wolne narody będą mogły tworzyć wolną i wspólną Europę („Gazeta Wyborcza”, 14.11.1989, „Rzeczpospolita”, 14.11.1989). Na trasie podróży niemieckiej delegacji znalazł się także obóz w Auschwitz. Tam demonstrowali robotnicy przymusowi oczekujący od Niemiec odszkodowań. Kanclerz nie reagował na wykrzykiwane przez nich hasła.

Po stronie polskiej wizytę oceniano pozytywnie, unikając słowa „przełom”. Twierdzono przy tym, że jest ona solidnym fundamentem na przyszłość i „obietującym krokiem naprzód. Kanclerz wyraził przekonanie, że dokonało się coś wielkiego” („Życie Warszawy”, 17.11.1989). Zastanawiano się też, co nastąpi po wizycie. Nie było jednak mądrych, którzy potrafiliby celnie przewidzieć rozwój wypadków zarówno we wzajemnych stosunkach Warszawy z Bonn, jak i wewnątrzniemieckich. „Przyjaciele z demokratycznej opozycji w NRD mówią, że interesuje ich ewentualna przyszła federacja obu państw niemieckich. Nie chcieliby jednak »anschluszu«” („Rzeczpospolita”, 13.11.1989). Jednym z nielicznych, którzy zdobyli się wtedy na głębszą analizę wydarzeń, był Adam Krzemiński. „Perspektywy polsko-niemieckie wyglądają tak, jak ta wizyta – nie są ciągłe i nie są jednoznaczne. Z jednej strony jest dobra wola wielu ludzi, z drugiej strony stosunki z Polską dla wielu nie mają wartości autonomicznej, są tylko funkcją pewnych konieczności” („Polityka”, 18.11.1989). Trudno się dziś z tą opinią nie zgodzić.

KAŻDY SŁYSZAŁ O AKCESIE POLSKI DO NATO, ALE MAŁO KTO WIE, ŻE DOSZŁO DO TEGO ZA SPRAWĄ DETERMINACJI I DZIAŁAŃ WÓWCZAS TAKICH LUDZI JAK NORMAN BOEHM



**ALEKSANDRA
ZIÓŁKOWSKA-
BOEHM**

NORMAN BOEHM – PRZYJACIEL POLAKÓW

Dostał w prezencie „Rozmówki polskie”. Któregoś dnia zadzwonił z pracy w czasie lunchu i powiedział: – Nauczyłem się nowego zwrotu. Spytałem „Jak się pani miewa”, i dostałem odpowiedź: „Doskonale”.

– Nie ucz się tego zwrotu, to nie jest w zwyczaju pytać, jak się kto miewa, a także nikt ci nie odpowie, że doskonale.

– Czy nikt nie miewa się doskonale? – spytał zdziwiony.

– Polacy powiedzą o swoich problemach, ponarzekać, na pewno nikt ci nie odpowie, że miewa się wspaniale.

Pamiętam wiele językowych zabawnych sytuacji. Lecieliśmy do Polski, przed nami niemal dziewięć godzin lotu. Zsunęłam buty i patrząc na jego obute stopy, powiedziałam: – Free your feet... Norman zaczął się chichotać... – Uwolnić stopy... Jak zabawnie i ładnie to brzmi, powtarzał. Potem

w różnych sytuacjach mówił: – Muszę odpocząć, uwolnię swoje stopy, założę pantofle...

Polubił wiele miejsc w Polsce. Góry – jako narciarz – kochał „od zawsze”. Zachwycił go styl górskich domów w Zakopanem, nawet ogrodzenia fotografował. Pamiętam, pojechaliśmy kolejką na Gubałówkę, był z nami Michał Radgowski, który w tym samym czasie także mieszkał w domu ZAIKS-u „Halama”. Z Gubałówki Norman patrzył zachwycony na Tatry. – Powiedz mu, że to są słowackie góry, powiedział Michał. – A po co mu będę mówić?... Niech podziwia – odpowiedziałam. Michał żartował o tym w jednym ze swoich felietonów w „Polityce”.

Kuzyn Ingrid Bergman

Będąc żoną Normana, wiedziałam, że jest blisko spokrewniony ze szwedzką aktorką, znaną m.in. z „Casablanki”, trzy razy nagrodzoną Oscarem Ingrid Berg-

man. Ojciec Ingrid i babcia Normana byli rodzeństwem. Norman pokazywał fotografie, listy do niego, do jego ojca i babci, także dedykacje, np. na autobiografii Ingrid Bergman „My Story”.

Rozmawialiśmy wiele, czytałam książki na jej temat. Po 20 latach małżeństwa powiedziałam: – Spróbuję napisać o Ingrid Bergman. Ucieszył się. Kiedy skończyłam, pokazałam mu. Czytał powoli i uważnie. Skończył, siedział zamyślony. Gdy podeszłam, wzruszony powiedział: – Jak ładnie napisałaś, jak pięknie wszystko opisałaś. Była to dla mnie ważna recenzja.

Mówiłam znajomym, że Norman jest jak szlachetni bohaterowie filmów, których grał Jimmy Stewart. Wydawał mi się z całkiem innego świata. Był pilotem w Navy, kilka lat miał swój nieduży samolot Aeronka Chief 1958. Po ukończeniu chemii i kolejnych kursów prawniczych spędził 23 lata poza Stanami Zjednoczonymi – pracując 16 lat w Arabii

Saudijskiej, cztery lata w Londynie i trzy lata w Stavanger w Norwegii. W Londynie prowadził kontrakty w ramach projektu Shell / Esso North Cormorant, wówczas najbardziej udanego przedsięwzięcia w zakresie budowy platform wiertniczych na Morzu Północnym. W podobnej roli pracował dla Esso's Odin Project w Stavanger w Norwegii.

Indianie

Ucieszył się, gdy zaczęłam pisać na temat amerykańskich Indian. Bezpośrednią inspiracją do tej książki stał się mój stryj, rzeźbiarz Korczak-Ziółkowski. Gdy jako stypendystka Fulbrighta pojechałam w 1985 r. do Rapid City w Dakocie Południowej, Korczak od trzech lat nie żył. Zajęła się mną serdecznie jego żona Ruth. Norman sekundował mi w pisaniu. Studiując nauki ścisłe i chemię na uniwersytecie w Dakocie Północnej, jako tzw. elective, dodatkowy przedmiot, wybrał kurs poświęcony Indianom. Wykładał go profesor Elwyn B. Robinson. Sympatia i zainteresowanie tematem zostały mu na zawsze, z radością jeździł ze mną kilkakrotnie do Pine Ridge. Odbiliśmy trwającą dwa i pół miesiąca wyprawę do Wisconsin, Montany, Utah i obu Dakot. Zaprzyjaźniliśmy się z Indianami, odwiedziliśmy rezerwy (a jest ich w Stanach ponad 500). W miarę możliwości wspieraliśmy szkoły indiańskie, jak Red Cloud Indian School, St. Joseph, St. Labre. Regularnie odwiedzaliśmy Crazy Horse Memorial w Dakocie Południowej.

W książce „Otwarta rana Ameryki” mam rozdział „Nazywano ich szyfrantami, czyli Indian Code talkers”. Piszę w nim m.in., jak Norman zareagował, kiedy tygodnik „Time” (z 6 września 2004 r., str. 18) podał wiadomość, że w Tama w stanie Arizona zmarł Frank Sanache, 86-letni Indianin z plemienia Meskwaki, ostatni z ośmiu Indian Meskwaki – żołnierzy, którzy w czasie II wojny światowej używali kodu swojego narzecza do szyfrowania tajnych komunikatów wojennych. Przy okazji podano krótki życiorys bohatera, pisząc, że po pięciu miesiącach Frank Sanache jako żołnierz Marines (piechoty morskiej) został wysłany do Tunezji, został tamże schwytany przez Niemców i kolejne 29 miesięcy spędził, jak określił miesięcznik „Time”, w „polskim obozie pracy”.

Nie pierwszy raz prasa amerykańska używała takiego określenia, ale pierw-



szy raz w takim szczególnym kontekście. Norman napisał list do redakcji, prostując, że Polacy nie mieli obozów pracy, że były niemieckie obozy na terenie Polski.

Niebawem dostał z „Time’a” odpowiedź, w której m.in. napisano: „Przepraszamy za ten błąd, właściwie podwójny. Pisząc »polski«, myśleliśmy o geograficznej lokalizacji, nie o tym, kto prowadził obóz. Przepraszamy także, bo powstały dwa błędy, oprócz dwuznaczności, lokalizacja także była błędna. Obóz pracy w Hammerstein, gdzie przetrzymywany był Sanache, był prowadzony przez Niemców i także ulokowany w Niemczech, w Pomeranii [Pomorze], która była terenem niemieckim aż do 1945 r., kiedy została częścią Polski. [...] Dziękujemy za napisanie listu, nie wydrukowaliśmy go w piśmie, wydrukujemy inny”. Zapowiadany list był reakcją Przemysława Grudzińskiego, ambasadora Polski w Waszyngtonie.

Polskie sprawy

Żartowałam, że jednym z powodów, że Norman tak pięknie reagował na sprawy polskie, było to, że nie znał języka polskiego... że tłumaczę mu to, co chcę, by wiedział.

Czytał w maszynopisie angielskie tłumaczenia moich książek, znajdował fragmenty, które sugerował, by poszerzyć: – Piszesz, że w Polsce były powstania, napisz więcej, bo czytelnik nie będzie rozumiał. Gdy pisałam „Untold Stories of

Polish Heroes From World War II”, powiedział: – Napisz, bo w Ameryce ludzie o tym nie wiedzą, że tylko w Polsce pod okupacją niemiecką Niemcy wprowadzili karę śmierci dla całej rodziny lub grupy, która pomagała Żydom. A także, że kiedy zabito Niemca, w odpowiedzi rozstrzelano 100 Polaków.

Uczestniczył w wielu spotkaniach autorskich, zawsze siedział w pierwszym rzędzie i serdecznie patrzył. Cieszył się, że piszę książki dotyczące polskiej historii, pokazując losy ludzkie tragicznie okaleczone, dotknięte nieszczęściami z powodu wojny. Bardzo się przejmował fotografiami, filmami dokumentalnymi na temat powstania warszawskiego. Jego przyjaciele i znajomi – dzięki niemu – też wiedzieli niemało o polskiej historii, szczególnie ostatnich kilkudziesięciu lat.

Poznał bohaterów moich książek: Cezarię Ilijn Szymańską (czyli Kaję od Radosława), Romana Rodziewicza (Hubalczyka, więźnia Auschwitz i Buchenwaldu), Ewę Bąkowską, Danutę i Janusza Krasickich, Tomka Wartanowicza (piszę o losach ich rodzin w „Dwór w Kraśnicy i Hubalowy Demon”, „Lepszy dzień nie przyszedł już”).

W Warszawie spotykaliśmy się z „Gryfem” – Januszem Brochwicz-Lewińskim, w Waszyngtonie odwiedzaliśmy Zofię Korbońską. Poznał Zbigniewa Brzezińskiego, Jana Nowaka-Jeziorańskiego. W Warszawie spotykaliśmy się z lotnikiem legendą Stanisławem Skalskim. W Stanach mieliśmy kontakt z czterogwiazdkowym generałem, amerykańskim lotnikiem polskiego pochodzenia, Donaldem Kutyną. Norman prowadził z nim długie rozmowy. Rozmawiał także z lotnikiem mieszkającym w Barrys’ Bay w Kanadzie – Januszem Żurakowskim, m.in. na temat słynnego manewru „Zurabic”. (Na ten temat Żurakowski przysłał specjalny materiał technicznie objaśniający jego manewr). O Kutynie i Żurakowskim piszę w „Korzenie są polskie” i „Amerykanie z wyboru”.

O akces do NATO

Świadomie, z własnej woli włączył się w starania, aby Polska weszła do NATO. Wszystkie 50 stanow musiało wyrazić zgodę. Przeciwni byli m.in. senator Joe Biden ze stanu Delaware i senator Kay Bailey Hutchinson z Teksasu.

Norman zaczął wysyłać listy do obu senatorów, a także do redakcji pism. >>

» Jak pięknie się rozwijała ta akcja, cytuję fragmenty z książki Jana Nowaka-Jeziorańskiego „Polska droga do NATO”: „Przykładem organizowania nacisku na nieprzekonanych senatorów jest korespondencja Jana Nowaka-Jeziorańskiego z Aleksandrą Ziółkowską-Boehm i jej mężem Normanem Boehmem. To oni także, pośród innych osób, organizując listy z podpisami nie tylko Polaków, ale również Amerykanów w stanie Delaware, zmusili senatora Joe Bidena do złagodzenia stanowiska, które później zmieniło się pod wpływem m.in. ambasadora Koźmińskiego tak, że jeden z najbardziej zaciętych przeciwników stał się jednym z ważnych zwolenników rozszerzenia. To samo dotyczy senatora Kay Hutchison, która ostatecznie głosowała za rozszerzeniem ze względu na opinie swoich wyborców”.

W książce cytowane są listy Normana do/od senatora Bidena. Pokazane są także listy do/od Jana Nowaka-Jeziorańskiego. Tu przytoczę kilka fragmentów naszej korespondencji.

21.02.1997

Droga Pani Aleksandro,
[...]

pragnę Pani najserdeczniej podziękować za wręcz nieprawdopodobną skuteczność Pani działań mobilizujących dla rozszerzenia NATO w stanie Delaware. Czegoś podobnego jeszcze nie widziałem. Nie dość, że senator Biden został zasypany listami, ale Rada Miejska w Wilmington i w kilku innych miastach, jak również izba ustawodawcza Stanu Delaware wyznaczyły radnego popierającego nasze postulaty. Gdybyśmy mieli Aleksandrę Ziółkowską we wszystkich 50 stanach, byłbym spokojny o ratyfikację przyjęcia Polski do NATO.

Raz jeszcze serdeczne dzięki dla Obojga Państwa za skuteczną pomoc i najlepsze pozdrowienia.

Jan Nowak-Jeziorański

4 lutego 1997

Szanowni Państwo Boehm,

dziękuję za list w sprawie przystąpienia Polski do NATO. Cenię sobie, że znaleźli Państwo czas na kontakt ze mną.
[...]

Niech mi jeszcze wolno będzie powiedzieć, że nie jestem przeciwny przyjęciu Polski do NATO. W zeszłym roku poparłem NATO Enlargement Facilitation Act (Ustawa o ułatwieniu rozszerzenia

NATO), która uznaje Polskę za głównego kandydata do członkostwa. Proszę mi wierzyć, że będę uważnie obserwował rozwój sytuacji.

Jeszcze raz dziękuję za list i przesyłam pozdrowienia,

Z poważaniem,

Joseph R. Biden, Jr.

Senator Stanów Zjednoczonych

ŻARTOWAŁAM, ŻE NORMAN TAK PIĘKNIE REAGOWAŁ NA SPRAWY POLSKIE, BO NIE ZNAŁ JĘZYKA POLSKIEGO... ŻE TŁUMACZĘ MU TO, CO CHCĘ, BY WIEDZIAŁ

Norman Boehm chciał sprawę wejścia Polski do NATO rozpowszechnić, nagłośnić, nie tylko pozostawić w bezpośredniej korespondencji. Wydrukowano jego list w „News Journal”. Senator Joe Biden zareagował na jego list do redakcji:

14 lutego 1997

Szanowny Panie Boehm,

byłem zdziwiony i nieco rozczarowany, czytając Pana list do redakcji we środe w „News Journal” na temat mojego poparcia wejścia Polski do Sojuszu Północnoatlantyckiego (NATO). [...]

Pod przywództwem administracji Clintona dokładnie opracowany plan powiększenia NATO realizowany jest według terminarza. W lipcu bieżącego roku w Madrycie, Hiszpania, NATO wymieni pierwszą grupę krajów, które będą zaproszone do członkostwa. I jest prawdopodobne, że kraje tej pierwszej grupy wejdą do NATO w ciągu roku 1999.

Wypowiadałem konsekwentnie moje poparcie dla zasady rozszerzenia NATO

jako wyraz dotrzymania amerykańskiej solidarności z krajami, które przecierpiały cztery dekady komunistycznego ucisku – i Polska jest na pierwszym miejscu wśród tych krajów.

Ale jednocześnie podkreślałem, że potencjalni członkowie muszą wypełnić szczegółowe warunki ustalone przez NATO w ubiegłym roku. Sądzę, że Polska jest bez wątpienia wśród małej grupy krajów, które zrobiły największy postęp w sprawie spełnienia tych warunków, i mam nadzieję, że wnet wypełni pozostałe wymagania NATO. [...]

Serdecznie pozdrawiam,

Joseph R. Biden, Jr.

Senator Stanów Zjednoczonych

Innym znowu razem Nowak-Jeziorański napisał:

07.03.1998 r.

Droga Pani Aleksandro,

zgodnie z naszą rozmową telefoniczną załączam projekt mojego listu otwartego do Senatora Hutchison. Mam nadzieję, że Pani z mężem będzie w stanie zebrać pod nim podpisy (nie Polaków). Sprawa jest niezmiernie pilna, ponieważ debata jest prowizorycznie zaplanowana na 16 marca, a głosowanie na 18 lub 19 marca.

Kopie tego listu powinny być wysłane do wszystkich senatorów. Jego celem jest nie tyle Hutchison, ile niezdecydowani senatorzy. Powiedziano mi, że ona obsejnie wierzy, że ocala życie młodych Amerykanów i nie zmieni zdania. Krytyka jej poglądów jest taktiką, która ukazuje jej słabe argumenty.

Norman poprosił znajomych w firmie Exxon – i zdobył wiele podpisów.

Pamiętam, poleciałam do Polski na pogrzeb Taty; zmarł na zawał serca. Zostałam z Mamą kilka tygodni. Z Normanem codziennie rozmawialiśmy przez telefon, był smutny i był „ze mną”. Zanim wyjechałam – mieliśmy wcześniej zaproszenie na spotkanie u pary znajomych, miało być wiele osób. Zadzwoniono do Normana... by przyszedł, bo „Aleksandry nie ma, więc nie będzie sam. Będzie przyjemnie i wesoło”.

– Zmarł Aleksandry ojciec. Żałoba dotyczy i mnie, żałoba jest w całej rodzinie, odpowiedział.

...Jak można go było nie kochać? ■

GÓRNA PÓŁKA

Amerykańska demokracja



ANTONI
DUDEK

Czy komuś obserwującemu ostatnie wybory prezydenckie w USA przyszłoby do głowy takie ich rozwiązanie, w którym u boku prezydenta Joeego Bidena funkcję wiceprezydenta pełniłby... Donald Trump?

To absurdalne na pierwszy rzut oka pytanie staje się mniej oczywiste, gdy sięgnie się do dziejów pierwszych elekcji amerykańskiej głowy państwa. Początkowo – w 1788 i 1792r. – nie było problemu walki o ten urząd, gdyż George Washington nie miał w ogóle kontrkandydata. Gdy jednak odmówił ubiegania się o prezydenturę po raz trzeci (dwukadencyjność wprowadzono dopiero w połowie XX w.), w szranki stanęli dwaj inni ojcowie założyciele USA, czyli wspierany przez federalistów (zwolenników silnej władzy centralnej) John Adams oraz kandydat republikańców Thomas Jefferson.

Tak jak obecnie prezydenta wybierało Kolegium Elektorów, choć prawa wyborcze miało wówczas jedynie 600 tys. z nieco ponad 5 mln osób zamieszkujących wówczas, znacznie mniejsze niż obecnie, terytorium USA. Co jednak ważniejsze, w tamtych czasach elektorzy nie działali jeszcze jak maszyny do głosowania. Dlatego mający przewagę liczebną elektorzy z frakcji federalistów wybrali wprawdzie w 1796 r. na prezydenta Adamsa, ale część z nich nie chciała poprzeć jako kandydata na wiceprezydenta wskazanego przez niego Thomasa Pinckneya i wybrała na ten urząd Jeffersona. Nietrudno się domyślić, że relacje między obu panami od początku były złe, a pod koniec kadencji już ze sobą w ogóle nie rozmawiali. Jednak młode państwo przetrwało, bo obaj, różniąc się w bardzo wielu sprawach, co do jednego byli zgodni: nie wolno im odrzucić konstytucji jako zbioru reguł gry o władzę.

W 1800 r. Jefferson wziął odwet na Adamsie, zostając trzecim prezydentem USA. Ale i jemu zwycięstwo nie przyszło

łatwo. Tym razem jego stronnicy w Kolegium Elektorów zapomnieli, że powinni oddać co najmniej jeden głos mniej na wybieranego wówczas w tym samym głosowaniu wiceprezydenta. W rezultacie Jefferson dostał taką samą liczbę głosów co wytypowany przez niego na zastępcę Aaron Burr. Sprawę przekazano do rozstrzygnięcia Izbie Reprezentantów, w której trzeba było aż 36 głosowań, aby ostatecznie głową państwa został Jefferson. Dlatego w 1804 r. wprowadzono dwunastą poprawkę do konstytucji, rozdzielającą wybór prezydenta i wiceprezydenta.

Powyższa historia to jedno z wielu wydarzeń z dziejów USA opisanych w imponującej książce prof. Jill Lepore z Uniwersytetu Harvarda, a prowadzących do prostej konkluzji: demokracja może przetrwać tylko wtedy, gdy politycy potrafią się samoograniczyć i wyciągać wnioski z ustrojowych niedoskonałości.



Jill Lepore, „My, naród. Nowa historia Stanów Zjednoczonych”, Poznań 2020

POLSKIM OKIEM

Rady dla polityków



RYSZARD
CZARNECKI

Coraz częściej – mój Boże, nie wiem czemu? – przychodzi mi na myśl rozmowa, którą wiódł grecki poeta Simonides ze słynnym ateńskim wodzem, ale też, uwaga, politykiem – Temistoklesem.

Obaj przeszli do historii. Jeden, rodem z wyspy Keos, w wielkiej mierze dlatego, że był pierwszym poetą, który utrzymywał się z własnej twórczości. Drugi – bo stworzył potęgę morską Aten.

Otóż obrotny poeta zaproponował Ateńczykowi, że nauczy go metod – waż-

nego w jego fachu – usprawniania pamięci. Na co Temistokles: „Naucz mnie raczej sztuki zapominania, bo często pamiętam to, czego nie chciałem pamiętać, a nie mogę wyrzucić z pamięci tego, co chciałbym zapomnieć”.

Cóż, jest to ponadczasowe marzenie polityków. Dodajmy jeszcze jedno, niezależne od epok i szerokości geograficznej: sztuka zaciskania zębów. Na tym kończę, aby nie powiedzieć za dużo. Oczywiście w ramach wspomnianej sztuki zaciskania zębów...

Pozostając w greckich klimatach, prawdę mówiąc, jako smakoszowi, żeby nie powiedzieć: obżartuchowi, bliska jest mi obserwacja filozofa Diogenesa, który gdy ujrzał zegar słoneczny, powiedział: „Jakżeż pożyteczny jest ten przedmiot, aby się nie spóźnić na obiad”.

Skądinąd był on reprezentantem szkoły cyników, która zresztą nazwę wzięła od jego przydomka „Pies” – co po grecku wymawia się w sposób jakże zbliżony do naszego słowa „cynik”. Nie wiem, czy pewien znany polski polityk wie, że jego pseudonim z młodości lat był kiedyś udziałem właśnie Diogenesa? Diogenes, wbrew opowiastce o zegarze i obiedzie,

był abnegatem, co sprzyjało tworzeniu o nim anegdot. Na przykład tej z udziałem Aleksandra Wielkiego, który odwiedzając akurat opalającego się filozofa, powiedział, że spełni jego każde życzenie. Na co cynik z Keos odrzekł, że ma tylko jedno – żeby wódz przesunął się nieco, bo przesłania mu słońce...

Gdyby mnie kiedyś odwiedził minister spraw wewnętrznych (ale nie jego ludzie!) i powiedział, że spełni każde moje życzenie, odpowiedziałbym, że chciałbym, aby policja ścigała bandytów, którzy niszczą kościoły, pomniki polskiego papieża i tablice upamiętniające ludzi poległych za Ojczyznę, a nie ścigała tych, którzy tym bandytom się przeciwstawiają. Ale pewnie mnie nie odwiedzi...

Na koniec wróć do ważnej sztuki zaciskania zębów. Kiedyś ucznia Sokratesa, polityka, a jakże, Ajschinesa krytykowano, że mimo iż studiował u wielkiego mówcy, to nic nie mówi. Na co Grek odrzekł: „Nie tylko uczyłem się u Sokratesa mówić, ale także milczeć”...

Tak, coraz częściej przychodzi mi milczeć, choć nie byłem uczniem Sokratesa. Milczenie to wszak forma pokojowej demonstracji. Czyż nie?

NIE TAKI ANTYKOMUNISTA...

ROZMOWY SB Z BP. HENRYKIEM GULBINOWICZEM, cz. II: 1975–1977



RAFAŁ ŁATKA

Biuro Badań
Historycznych IPN

Uroczystość w Mońkach diecezjalnego przyjęcia kopii obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej do archidiecezji wileńskiej z diecezji łomżyńskiej. Pośrodku stoi arcybiskup metropolita wrocławski, kard. Henryk Gulbinowicz, 16 sierpnia 1987 r.

Geneza pierwszego spotkania

Jednym z głównych celów założonych przez Służbę Bezpieczeństwa w czasie pierwszych rozmów ppłk. Wiejaka z bp. Gulbinowiczem było doprowadzenie do spotkania hierarchy (pierwszego, a potem kolejnych) z dyrektorem antykościelnego pionu bezpieczeństwa gen. Konradem Straszewskim. Wspomniany temat po raz pierwszy pojawił się w czasie rozmowy z 15 października 1975 r. Funkcjonariusz SB opisał to tak: „Następnie wyjaśniłem główny cel przyjazdu. Oświadczyłem, że chciałby z nim rozmawiać członek kierownictwa MSW. Rozmowa dotyczyć będzie spraw związanych z jego osobą i będzie się odbywała za wiedzą czynników politycznych. Chciałem go w związku z tym w imieniu rozmówcy uprzejmie zaprosić do Warszawy. Biskup zapytał, co będzie konkretnie tematem rozmowy. Odpowiedziałem, że odniosłem wrażenie, że rozmówca chce przedstawić problem osobiście. Z tego, co ja się orientuję, nie będzie tematów przykrych ani stawiających go w kłopotliwej sytuacji. Jest więc prośba, by zechciał skorzystać z zaproszenia. Biskup zażartował, że jeśli tyle wiem, to wiem z pewnością wszystko. Wyjaśniłem, że jest to szczebel rozmowy, że nie chciałbym niczego uprzedzać. Mógłbym bowiem poinformować go nieścisłe”.

W odpowiedzi na uwagi funkcjonariusza bp Gulbinowicz stwierdził, że nie może zdecydować się na wyjazd, nie znając tematu rozmowy, oraz że nie będzie ponosił ryzyka ujawnienia tajemnicy kontaktów bez takiej wiedzy. Dodał także, że w cza-

sie wyjazdów poza diecezję zawsze towarzyszy mu ktoś z księży, a samodzielna podróż mogłaby wywoływać różnego rodzaju domysły: „Wie pan, jacy księża są dociekliwi i jak lubią plotkować” (widać tu po raz kolejny wyraźną troskę hierarchy o konspirację rozmów z SB). Dalsze przekonywanie bp. Gulbinowicza do wizyty w Warszawie okazało się nieskuteczne. Wobec tego ppłk Wiejak zapytał, czy jeśli jego szef zdecydowałby się przyjechać

Nominacja na metropolitę wrocławskiego jako temat rozmów?

Silny nacisk na realizację spotkania z gen. Straszewskim, zaznaczenie, że miałyby się odbyć „za wiedzą czynników politycznych”, oraz tajemniczość ppłk. Wiejaka prowadzą do przypuszczenia, że za rozmową z szefem antykościelnej struktury aparatu bezpieczeństwa stało coś

łańność abp. Casarolego w zakresie polityki wschodniej Watykanu; zainteresowanie sytuacją religijną w Związku Sowieckim; wykonywanie poleceń wypracowanych w czasie posiedzeń episkopatu w zakresie reformy szkolnictwa; negatywne akcenty w wypowiedziach dotyczących budownictwa sakralnego.

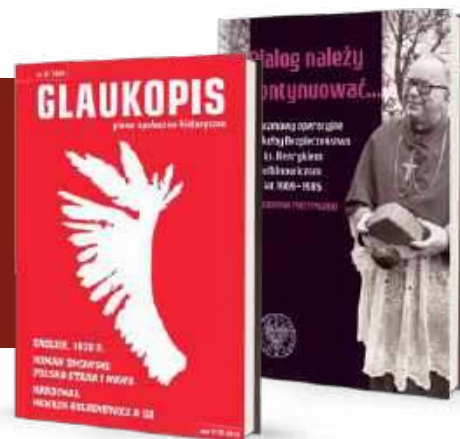
CZY BEZPIEKA WPŁYNĘŁA NA WYBÓR METROPOLITY WROCŁAWSKIEGO W 1975 r.? WSKAZUJĄ NA TO ROZMOWY HENRYKA GULBINOWICZA Z GENERAŁEM MSW KONRADEM STRASZEWSKIM

do niego, biskup zgodzi się na spotkanie. Uzyskał potwierdzenie, że hierarcha chętnie go będzie u siebie widział. Duchowny podkreślił także, że „[...] jeśli tematem rozmowy byłaby kwestia, żeby musiał powiedzieć zdecydowane nie, lepiej żeby do niej nie doszło. Nie chciałby bowiem, aby pozostawiła jakieś nieprzyjemne wrażenie. Dodałem, że nie sądzę, by musiała dojść do takiej sytuacji”. Ostatecznie uzgodniono, że gen. Straszewski przyjedzie w odwiedziny do bp. Gulbinowicza do Białegostoku dwa dni później w piątek (17 października).

Przebieg tego pierwszego spotkania nie jest znany, ale z dokumentacji dotyczącej kolejnych spotkań można wnioskować, że do niego doszło. Wynika tak także pośrednio z donosu agenturalnego uzyskanego przez SB 13 listopada od TW ps. Krzysztof. Informował on, że ks. Kazimierz Wilczewski i przyjaciel bp. Gulbinowicza Jerzy Bida, powołując się na swoje rozmowy z administratorem apostolskim w Białymstoku, wskazywali, iż w czasie pobytu w Rzymie na pielgrzymce Roku Świętego „kard. Wyszyński wezwał bpa Gulbinowicza i poinformował go, że Episkopat postanowił wysunąć jego kandydaturę na ordynariusza archidiecezji wrocławskiej. Po powrocie do kraju władze państwowe przeprowadziły rozmowę w kontekście jego kandydatury. Oświadczył Gulbinowicz – władze chciały mnie kupić, szantażowano mnie. Bliższych szczegółów bp nie podał, lecz zastanawiał się, skąd władze dowiedziały się o rozmowie z Wyszyńskim, gdyż rozmowa była bez świadków”.

znacznie więcej niż dalsza „lojalizacja” administratora apostolskiego w Białymstoku. Można przypuszczać, że względu na koincydencję czasową i późniejsze wydarzenia, że tematem spotkania była zgoda władz na ewentualną nominację bp. Gulbinowicza na metropolitę wrocławskiego. Dla władz był on osobą do zaakceptowania, ze względu na trwające od ponad sześciu lat rozmowy z SB, które hierarcha ukrywał przed kard. Wyszyńskim i episkopatem, oraz umiarkowane stanowisko w zakresie relacji państwa z Kościołem. W przeciwieństwie do kandydatów wysuwanych wcześniej przez stronę kościelną nie był oceniany przez władze jako człowiek bezwzględnie lojalny wobec kard. Wyszyńskiego.

15 października aparat bezpieczeństwa przygotował charakterystykę bp. Gulbinowicza, w której zdecydowanie przeważały pozytywne dla władz elementy działalności hierarchy. Wśród nich wymieniono: prowadzenie przez administratora apostolskiego w Białymstoku polityki niezadrażniania relacji z władzami, a nawet realizowania ich sugestii i postulatów; deklarowanie, że podległe mu duchowieństwo nie będzie podważać autorytetu władz państwowych; sprzeciwianie się polityce nielegalnego budownictwa sakralnego; prezentowanie kwestii normalizacji stosunków państwa z Kościołem w korzystnym dla rządu świetle w czasie narad dekanalnych czy też powstrzymanie organizacji 50-lecia archidiecezji wileńskiej. Wśród elementów negatywnych wymieniono: krytyczne spojrzenie na dzia-



Okoliczności nominacji

Ostatecznie władze wyraziły zgodę na nominację bp. Gulbinowicza na metropolitę wrocławskiego 2 grudnia 1975 r. Decyzja ta była podyktowana kalkulacją, że bp Gulbinowicz ze względu na swoją umiarkowaną postawę jako administrator apostolski oraz dialog operacyjny prowadzony z aparatem bezpieczeństwa będzie do zaakceptowania. To jednak nie zakończyło sprawy, gdyż Stolica Apostolska miała poważne wątpliwości. Wspominał o tym w „Pro memoria” kard. Wyszyński, gdy relacjonował, że Paweł VI nakazał mu wziąć odpowiedzialność za tę nominację. Można się jedynie zastanawiać, czy prymas (a także watykański Sekretariat Stanu) mógł posiadać pewną wiedzę na temat niemoralnego prowadzenia się bp. Gulbinowicza w czasie pracy w Olsztynie i Białymstoku. Zapisy w jego dzienniku na to nie wskazują. Nie posiadał także z pewnością informacji na temat jego rozmów z SB, gdyż to podobnie jak zarzuty dotyczące moralności przekreśliłoby bp. Gulbinowicza jako kandydata na tak ważną stolicę biskupią jak Wrocław.

Dodatkowym argumentem za nominacją dla administratora apostolskiego w Białymstoku było z pewnością zmęczenie prymasa przedłużającym się konfliktem, który powodował, że ważne dla Kościoła w Polsce stanowisko pozostawało bez obsady przez blisko dwa lata, oraz to, że bp Gulbinowicz pochodził z archidiecezji wileńskiej (co miało znaczenie >>

» w kontekście tego, że na tym terenie zamieszkiwała ludność z dawnych kresów II RP). W doniesieniu TW ps. Ludny z 9 stycznia 1976 r. odnotowano interesującą opinię bp. Jerzego Modzelewskiego, która, jak się wydaje, dobrze oddaje poglądy kard. Wyszyńskiego i jego bliskich współpracowników w tej sprawie: „Jest to kandydat najbardziej kompromisowy i najbardziej dla władz wygodny. Kardynał [Wyszyński – R.Ł.] liczy się, że Gulbinowicz będzie we Wrocławiu popularny, ponieważ jest tam duże zgrupowanie rodzin kresowych, a Gulbinowicz jest z pochodzenia wilnianinem. Ma on dużą łatwość nawiązywania kontaktów”.

Decyzję Stolicy Apostolskiej kard. Wyszyński zakomunikował bp. Gulbinowiczowi 30 grudnia 1975 r. w Warszawie. Należy zaznaczyć, iż w czasie rozmowy nominat przyznał, że doszły już do niego informacje na ten temat, co odnotował prymas: „Przedstawiam Mu decyzję Stolicy Św., mocą której został przeniesiony na wukującą Stolicę Arcybiskupią w Wrocławiu. Ks. Biskup nie jest zaskoczony, gdyż jakieś »przyjazne« głosy już dotarły do Niego. Ale ma różne obawy, co nie jest złym znakiem. Zaledwie wgrzył się w archidiecezję w Białymstoku, którą zna doskonale. Teren Wrocławia jest dlań obcy. Jednak chce być posłuszny woli Ojca św. Przyjmuję to jako znak consensus [...]”. Można zakładać, że hierarcha dowiedział się o tym, iż jest kandydatem na metropolitę wrocławskiego, bezpośrednio od gen. Straszewskiego w czasie ich październikowego spotkania.

Kolejne spotkania

Abp Gulbinowicz spotykał się jeszcze przynajmniej trzykrotnie z gen. Straszewskim. Spotkania z przyszłym podsekretarzem MSW odbyły się z inicjatywy aparatu bezpieczeństwa. Mimo początkowych obiekcji abp Gulbinowicz godził się na rozmowy z szefem pionu odpowiadającego za inwigilację Kościoła. Nie jest znany przebieg spotkania, które odbyło się 9 stycznia 1976 r., gdyż relacji z niego nie ma w dokumentacji MSW poświęconej kontaktom z SB administratora apostolskiego w Białymstoku i arcybiskupa metropolity wrocławskiego. Drugie, trwające trzy godziny spotkanie odbyło się 20 stycznia u abp. Gulbinowicza w Białymstoku, przebiegło w bardzo przyjaznej atmosferze (uczestniczył w nim również ppłk Wiejak), z zachowaniem zasad konspiracji. Jak odnotowano w raporcie: „Rozmowa, podobnie jak poprzednio,

była bardzo swobodna i nie wyczuwało się, by nominacja spowodowała zmianę stosunku do nas”. O tym, jak swobodnie czuł się abp Gulbinowicz, świadczą słowa, jakie – pół żartem, pół serio – wypowiedział, odnosząc się do swojej nominacji: „Dobrze, że chociaż wiem, komu i jakiej instytucji to zawdzięczam”. Można to także interpretować jako potwierdzenie tezy, że hierarcha miał świadomość, jak dobra opinia na jego temat przedstawiona przez gen. Stra-

nie wspomniał o zobowiązaniach, jakie wynikają z uchwał episkopatu czy też lojalności wobec Wyszyńskiego – wszystkie problemy stawiał w swoim imieniu”.

Kolejne spotkanie w tym samym składzie odbyło się pod koniec kwietnia 1977 r. w willi MSW w Konstancinie i tym razem atmosfera również była przyjazna, a abp Gulbinowicz „starał się przedstawiać siebie jako człowieka, który nie zamierza prowadzić do kon-

HIERARCHA MIAŁ ŚWIADOMOŚĆ, ŻE DOBRA OPINIA NA JEGO TEMAT PRZEDSTAWIONA PRZEZ GEN. STRASZEWSKIEGO WŁADZOM PRL MOGŁA SIĘ BEZPOŚREDNIO PRZYZCZYNIĆ DO JEGO KOŚCIELNEGO AWANSU

szewskiego władzom PRL mogła się bezpośrednio przyczynić do jego kościelnego awansu. Arcybiskup miał również wznieść toast, w którym zaznaczył, iż „cieszy się, że może gościć przedstawicieli władz, wizyta nasza sprawia mu dużą satysfakcję, cieszy go fakt, że przy stole, przy którym przyjmowani byli arcybiskupi i kardynałowie, może dzisiaj gościć generała – jest człowiekiem dialogu i będzie się starał działać w duchu wzajemnego zrozumienia i poszanowania władz, jest Polakiem i patriotą, widzi wiele problemów, w rozwiązywaniu których państwo i Kościół mogą ściśle współdziałać – liczy, że jego postawa znajdzie zrozumienie u władz państwowych i będzie z tego bardzo rad”.

Czesław Wiejak zwrócił także uwagę na deklarację, jaką złożył w czasie tego spotkania abp Gulbinowicz. Hierarcha zapowiedział, że nie będzie ulegał wpływom części środowiska kurialnego we Wrocławiu, które chciałoby: „by tańczył pod takt ich muzyki, ale jak oświadczył, nie ma ucha wrażliwego na takie melodie. Stanowisko takie może mieć istotne znaczenie, albowiem w Warszawie ustanowiono bpa [Józefa] Marka, by był pierwszym doradcą nowego ordynariusza i czuwał nad jego poczynaniami. Może to więc oznaczać, że bp GH zachowa na nowym miejscu dużą niezależność od Wyszyńskiego i Dąbrowskiego”. Jako pozytywną dla władz oznakę traktowano również to, że „ani w trakcie rozmowy, ani też w oficjalnym toaście

fliktów i zadrażnień, pragnie mieć dobre stosunki z władzami, a wszystkie sprawy załatwiać legalnie. Podkreślał, że nie ma jakichś nadzwyczajnych żądań i wymagań, a zwraca się z prośbą jedynie o to, co jest naprawdę konieczne”. W dalszej części rozmowy hierarcha deklarował się jako rzecznik procesu normalizacji relacji państwa z Kościołem. Abp Gulbinowicz dbał o zachowanie rozmowy w tajemnicy: „Okoliczności i forma umówienia się na spotkanie, a także nieprzyjęcie propozycji odbycia rozmowy w Hotelu Europejskim mogą wskazywać, że nie ujawnił kontaktów z nami Wyszyńskiemu – stąd troska o konspirację”. Ppłk Wiejak zaznaczył w swoim raporcie, że hierarcha był zadowolony z miejsca i przebiegu rozmowy. W końcowej jej części funkcjonariusze zaproponowali kolejne spotkanie, gdy arcybiskup będzie miał więcej czasu. W odpowiedzi: „Biskup próbował zbyć żartem nasze zaproszenie, oświadczaając, że zrewanżował się nam za wizytę u niego i sprawę można uznać za zakończoną. Sądzić jednak należy, że aczkolwiek z wahaniem i pewnymi oporami, to jednak na propozycję kolejnego spotkania w podobnych warunkach wyrazi zgodę”. Nic jednak nie wskazuje na to, że do podobnej rozmowy z udziałem gen. Straszewskiego doszło w kolejnych latach. W dokumentacji dotyczącej rozmów abp. Gulbinowicza z SB nie odnaleziono na to żadnego potwierdzenia. ■

PAWEŁ
SKIBIŃSKI

Pod koniec kwietnia 1952 r. wszedł w życie traktat z San Francisco, podpisany pół roku wcześniej – 8 września 1951 r. – między Japonią a 48 sprzymierzonymi państwami w II wojnie światowej. Był to traktat pokojowy kończący konflikt, który objął cały glob. Wśród sygnatariuszy traktatu z San Francisco znalazły się USA, Wielka Brytania, Francja, Holandia, Australia i Nowa Zelandia, ale już nie Związek Sowiecki ani Chiny.

Traktat miał zakończyć trwającą już sześć lat aliancką okupację Japonii. W 1945 r. – w przeciwieństwie do Niemiec – Japonia nie została podzielona na strefy okupacyjne, podporządkowane poszczególnym mocarstwom sprzymierzonym. Amerykański prezydent Harry Truman nie zgodził się na powstanie na terytorium japońskim sowieckiej strefy okupacyjnej, która mogłaby zostać wykorzystana przez Stalina do zainstalowania japońskiego państwa komunistycznego.

Na mocy aktu bezwarunkowej kapitulacji cesarstwa z 2 września 1945 r. Japonia została podzielona na siedem obszarów. Cztery główne wyspy japońskie (Honsiu, Kiusiu, Hokkaido i Sikoku) znalazły się pod władzą głównodowodzącego Sojuszniczych Sił Okupacyjnych (SPAC), którą to funkcję do 1951 r. pełnił amerykański dowódca gen. Douglas MacArthur. Administracja amerykańska rozciągała się również na Iwo Jimę i Okinawę, a także na Koreę Południową. Stany Zjednoczone objęły też Mandat Południowego Pacyfiku, który wkrótce stał się Terytorium Powierniczym Południowego Pacyfiku, obejmującym wyspy Mikronezji, Mariany i Palau.

Związek Sowiecki przejął Sachalin, Wyspy Kurylskie i Koreę Północną, a także terytorium Kwantungu w Mandżurii. Chiny narodowe zajęły Tajwan i wyspy Spratly.

Okupacja Japonii była pierwszym tego rodzaju przypadkiem w całych wielowiekowych dziejach kraju. Na wyspy trafiło ok. 350 tys. żołnierzy i funkcjonariuszy służących w ramach amerykańskiej administracji okupacyjnej, wspomaganych przez ok. 50 tys. Brytyjczyków, Australijczyków,

1952

– rok zakończenia okupacji Japonii

Nowozelandczyków i Hindusów z Sił Okupacyjnych Wspólnoty Brytyjskiej (BCOF).

Gen. MacArthur jako naczelny dowódca sił okupacyjnych sprawował pełną realną władzę nad Japonią. Pozostawił ustrój monarchiczny, a także utrzymał na tronie panującego w okresie wojny cesarza Hirohito. Niezmiennie rządził w Tokio rząd japoński, ale był kierowany przez polityków będących zwolennikami współpracy z USA. Najważniejszym z nich był Shigeru Yoshida, premier w latach 1946–1947 i 1948–1954, który jednocześnie był szefem japońskiej dyplomacji.

Chociaż alianccy okupanci ścigali japońskich funkcjonariuszy odpowiedzialnych za zbrodnie wojenne, to MacArthur był zwolennikiem odrodzenia wolnej Japonii w nowym kształcie – demokratycznym i pokojowym. Podstawą takiego rozwiązania miała być Konstytucja Państwa Japońskiego, którą to nazwę przyjęła oficjalnie Japonia. Wiązało się to z rezygnacją przez Hirohito z boskiego statusu osoby cesarza, przy jednoczesnym jego pozostaniu na czele państwa. Konstytucja, zaprogramowana przez administrację MacArthura, weszła w życie w 1947 r.

Od 1951 r. na czele administracji okupacyjnej stał następca MacArthura – gen. Matthew Ridgway. MacArthur został bowiem przez prezydenta Trumana odwołany w związku z tym, że podczas wojny koreańskiej, toczącej się od 1950 r., prowadził znacznie bardziej agresywną politykę wobec Chin komunistycznych od tej, jakiej życzył sobie jego polityczny przełożony.

Ridgway zakończył amerykańską okupację Japonii, a władze okupacyjne opuściły cztery główne wyspy japońskie, choć na tery-

torium kraju wciąż istniały bazy i stacjonowały garnizony wojsk amerykańskich.

Zamknięcie okupacji właściwej Japonii nie oznaczało jednak zakończenia tej okupacji na wszystkich terytoriach przejętych przez aliantów w 1945 r.

Wprawdzie w 1948 r. powstała Republika Korei – tj. Korea Płd. – na której czele stanął jako prezydent Li Syng Man. Korea Płn. natomiast stała się komunistyczną Koreańską Republiką Ludowo-Demokratyczną, znajdującą się pod protektorem Związku Sowieckiego.

Amerykanie pozostali na Okinawie, Iwo Jimie i Wyspach Południowego Pacyfiku. Amerykańska administracja trwała na Okinawie do 1972 r., a USA promowały tam tendencje separatystyczne, co jednak ostatecznie nie przyniosło odcierania wyspy od Japonii. Wróciła ona jako integralna część kraju. Cztery lata wcześniej japońska administracja wróciła także na Iwo Jimę. Administracja amerykańska na południowym Pacyfiku utrzymała się do 1986 r., a obecnie istnieją tam trzy niezależne państwa i jedno terytorium stowarzyszone z USA.

Chiny nie wycofały się Tajwanu, a po 1949 r. Tajwan stał się centrum niezależnej od komunistów Republiki Chin.

Związek Sowiecki zwrócił wprawdzie komunistycznej Chińskiej Republice Ludowej terytorium Kwantungu w 1955 r., jednak Sachalin stał się w 1947 r. integralną częścią terytorium rosyjskiego. Japończycy w 1951 r. rzekli się swoich praw do północnej części Wysp Kurylskich, wciąż jednak utrzymuje się spór wokół czterech wysp – tzw. Kuryli Południowych. Ponieważ nie ma do tej pory traktatu pokojowego między Rosją a Japonią, nie tylko Tokio, lecz

Pomnik
gen. Douglasa
McArthura



i wiele innych państw uważa, że ta część archipelagu wciąż jest okupowana przez Rosjan.

NARÓD TO ŻYWA CAŁOŚĆ HISTORYCZNA

OPOWIEŚĆ O PROF. ROMANIE RYBARSKIM

TRZYMAM W DŁONIACH DZIESIĘCIOZŁOTOWĄ MONETĘ Z 2019 r., NA KTÓREJ ZNAJDUJE SIĘ ZNAMIENNA MYŚL: „NARÓD NIE JEST ABSTRAKCJĄ, LECZ ŻYWA CAŁOŚCIĄ HISTORYCZNĄ”, A TAKŻE ROK URODZENIA I ŚMIERCI JEJ AUTORA. PROF. ROMAN RYBARSKI – BO O NIM TU MOWA – BYŁ EKONOMISTĄ, POLITYKIEM, PUBLICYSTĄ, DZIAŁACZEM SPOŁECZNYM, A TAKŻE JEDNYM Z TWÓRCÓW PROGRAMU GOSPODARCZEGO NARODOWEJ DEMOKRACJI



MARTA
CYWIŃSKA

Przyszedł na świat 3 lipca 1887 r. w miejscowości Zator nieopodal Oświęcimia. Jego ojciec Jan był urzędnikiem sądowym, matką – Albertyna de domo Szczygielska. Roman miał siedmioro rodzeństwa, z którego dwoje zmarło w dzieciństwie.

Rybarscy przeprowadzili się z Zatoru do Rzeszowa, Jan otrzymał tam bowiem dobre płatną posadę. Niestety w 1900 r. zmarł, pozostawiając rodzinę w trudnej sytuacji finansowej. Młody Roman miał silne poczucie odpowiedzialności za rodzinę. Dorabiał korepetycjami i uczęszczał przez dwa lata do rzeszowskiego

Gimnazjum nr 1, dokończył ten etap nauki w Gimnazjum nr 2 – równie renomowanym. Jeszcze jako uczeń starszych klas Roman zetknął się z polskimi organizacjami niepodległościowymi oraz samokształceniowymi. Na umocnienie jego systemu wartości oraz zainteresowań społecznikowskich miała ogromny wpływ organizacja Zet – Związek Młodzieży Polskiej – powołana jeszcze przez tajną Ligę Polską (od 1893 r. Narodową), której celem było m.in. umacnianie charakteru oraz przygotowanie do pełnienia ważnych funkcji w życiu społecznym.

Sukcesy naukowe

W 1906 r. Roman rozpoczął studia na Uniwersytecie Jagiellońskim. Łączył dalszą aktywność w organizacji Zet z działalnością na rzecz środowiska studenckiego, stojąc zarazem na czele ZMN (Zjednoczenie Młodzieży Narodo-

wej). Młody Rybarski poświęcił się nauce, a miarą jego osiągnięć były stypendia. Otrzymał ich w sumie kilka – w tym za wielkie postępy w nauce. W 1910 r. ukończył Wydział Prawa na UJ. Już jako doktor nauk prawnych zaangażował się w działalność tajnej Ligi Narodowej.

Niestety nie udało mu się otrzymać posady na uczelni. W 1911 r. podjął decyzję o wyjeździe do Wielkiej Brytanii, a otrzymane stypendium naukowe umożliwiło mu przygotowanie habilitacji, którą uzyskał w 1913 r. Przez pewien czas studiował na London School of Economics, Oksfordzie, École Libre des Sciences Politiques oraz w USA na Columbia University, Wharton School of Economy

and Political Sciences. W tym samym roku Ministerstwo Oświaty nadało mu na wniosek Wydziału Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego stopień docenta, tzw. Privatdozent. Rybarski był zobowiązany do prowadzenia określonej liczby wykładów, ale wiązało się to nie z uzyskiwaniem dochodu, lecz z prestiżem.

Wykładał m.in. na Politechnice Warszawskiej i Uniwersytecie Warszawskim. Jego zainteresowania dydaktyczne skupiały się wokół rachunkowości państwowej, austriackiego prawa skarbowego, nauki o skarbowości oraz ekonomii politycznej. Prowadził także seminaria z ekonomii politycznej w Polskiej Szkole Nauk Politycznych w Krakowie.

W 1914 r. ożenił się z Jadwigą Jastrzębską. Mieli dwie córki Hannę i Marię.

W drodze do ekonomii narodowej

22 czerwca 1917 r. dekretem cesarskim otrzymał nominację na profesora nadzwyczajnego. Rybarski brał też udział w konferencji pokojowej po zakończeniu I wojny światowej jako ekspert polskiej delegacji. Już w odrodzonej Polsce po publikacji pracy „Idea gospodarstwa narodowego” oraz z inicjatywy Rady Wydziału Prawa UJ został mianowany przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego profesorem zwyczajnym ekonomii politycznej. Objął II Katedrę ekonomii politycznej na UJ.

W 1919 r. Rybarski zamieszkał w Warszawie, podejmując pracę podsekretarza w Ministerstwie Skarbu byłej dzielnicy pruskiej, a potem do 31 marca 1921 r. był wiceministrem skarbu w Scalonym Ministerstwie Skarbu RP. Od 1919 r. był członkiem Związku Ludowo-Narodowego, tworzył program gospodarczy obozu narodowego.

W roku akademickim 1921/1922 podjął pracę na Politechnice Warszawskiej w Katedrze Ekonomii Politycznej jako profesor zwyczajny, rok później zaś na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego. W 1924 r. został kierownikiem Katedry Skarbowości. Współpracował ze Szkołą Główną Handlową, na której wykładał historię handlu. Od 1925 r. był członkiem korespondentem Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, a od 1938 r. członkiem czynnym Polskiej Akademii Nauk. W 1936 r. objął funkcję dziekana Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego.

Całą swoją działalność publiczną podporządkował idei narodowej, podkreślając dobitnie, że każdy naród podąża sobie właściwą drogą rozwoju.

Tworzyć i działać dla narodu

Stale łączył też działalność polityczną z naukową. W 1926 r. został członkiem Wielkiej Rady Obozu Wielkiej Polski, a po jej rozwiązaniu jednym z decydentów tajnej Straży Narodowej. Od 1928 r. znajdował się w Zarządzie Głównym Stronnictwa Narodowego. Jednocześnie współpracował z Polską Akademią Umiejętności i Towarzystwem Naukowym Warszawskim. Wygłaszał odczyty popularyzujące wiedzę ekonomiczną, wyjaśniał aktualną sytuację polityczno-gospodarczą we współpracy z Towarzystwem Prawniczym i Ekonomicznym w Poznaniu czy dla czytelników „Myśli Narodowej”.

Lata 1919–1923 to apogeum jego działalności społecznej. Koordynował współpracę z Herbertem C. Hooverem, który był odpowiedzialny za przydzielanie pomocy w ramach American Relief Administration krajom dotkniętym wojną – w tym Polsce. Wiązało się to z podróżami do USA. Od 1928 do 1935 r. był posłem na sejm i prezesem klubu parlamentarnego narodowców. Uznawano go za lidera wolnorynkowej frakcji ND. Na forum publicznym popierał parlamentarizm, demokrację i gospodarkę wolnorynkową. Bronił autonomii uczelni, piętnował prześladowania polityczne rządów sanacji.

W ramach Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego zainicjował powołanie Instytutu Prawa Lotniczego i Zagadnień Gospodarczych Lotnictwa, którego został pierwszym kierownikiem.

Krytykował także niektóre trendy występujące we własnym środowisku politycznym. W latach 30. ujawniły się bowiem różnice między frakcją młodych SN skupionych wokół prezesa Zarządu Głównego Kazimierza Kowalskiego a tzw. grupą starych, z którą utożsamiał się Roman Rybarski.

Od idei do działalności konspiracyjnej

Po wybuchu wojny, reprezentując podziemne SN, współtworzył władze cywilne Państwa Podziemnego, w tym tajną organizację Służba Zwycięstwu Polski. Wszedł do konspiracyjnych struktur kie-

rownictwa SN. Uczestniczył w tworzeniu reprezentacji SN w Politycznym Komitecie Porozumiewawczym, który zastąpił Radę Polityczną SZP. To Rybarski wystąpił z koncepcją jednej Delegatury Rządu na Kraj, w ramach której kierował Departamentem Skarbu. Po aresztowaniu przez gestapo 18 maja 1941 r. został przewieziony na Pawiak, by po dwóch miesiącach trafić do KL Auschwitz. Stał tam na czele konspiracji narodowej razem z Janem Mosdorfem (ONR) i Stefanem Niebudkiem z SN. Włączył się w powołanie konspiracyjnego Komitetu Politycznego, do którego weszli oprócz działaczy narodowych członkowie PPS: Stanisław Dubois i Adam Kuryłowicz. Prawdopodobnie za tworzenie konspiracji na terenie obozu koncentracyjnego mający wtedy 55 lat Rybarski został rozstrzelany przez Niemców 6 marca 1942 r. Inne źródła podają jako przyczynę zgonu anginę bądź dyzenterię. Za tą ostatnią wersją przemawia relacja Witolda Pileckiego kierującego wojskową częścią konspiracji na terenie obozu.

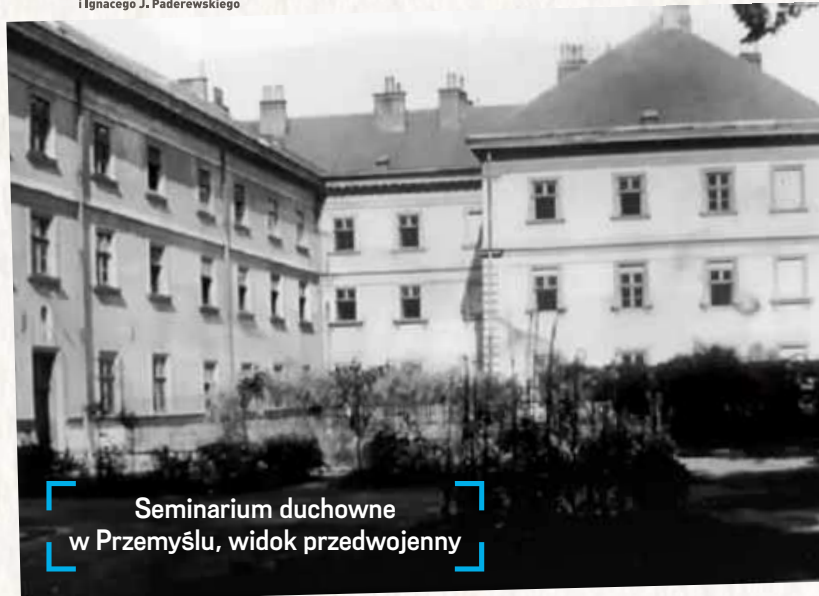
Monetą i piórem

Pamięć o profesorskiej frakcji w obozie narodowym była niestety skutecznie rugowana przez komunistyczną historiografię. Roman Rybarski bronił bowiem polskiej tradycji republikańskiej w swych sporach z sanacyjnymi adwersarzami. Stawał w obronie cywilizacji łacińskiej. Był zdecydowanym krytykiem ZSRR i III Rzeszy. Publikował obszernie, rzetelnie udokumentowane monografie naukowe. Miał iście eklektyczny umysł, także jako czołowy publicysta „Gazety Warszawskiej”, „Myśli Narodowej”, „Warszawskiego Dziennika Narodowego”, „Polityki Narodowej” i „Kuriera Poznańskiego”. Rozwijał nieustannie wszechstronne swe zainteresowania naukowe, pokazując zarazem, jak bardzo umiłował narodową przeszłość. Był jednym z wybitniejszych polskich teoretyków ekonomii. Był zarazem orędownikiem nawrotu do etyki w prawie, łączenia działalności społecznej z publicystyczną oraz naukową.

Sprzeciw Rybarskiego wobec ekonomicznej polityki sanacji nabiera dziś wymiaru symbolicznego. Myśl Rybarskiego jest bardzo aktualna w obliczu wyzwania XXI w. i czerpać z niej mogliby przedstawiciele różnych profesji. W tym roku obchodzimy 78. rocznicę tragicznej śmierci profesora, warto więc sięgnąć do dzieł jego autorstwa.



INSTYTUT DZIEDZICTWA
MYŚLI NARODOWEJ
im. Romana Dmowskiego
i Ignacego J. Paderewskiego



Seminarium duchowne
w Przemyślu, widok przedwojenny



WYJĄTKOWE CZASY WYMAGAJĄ WYJĄTKOWYCH POWOŁAŃ I CNÓT...

PRZEMYSKIE SEMINARIUM DUCHOWNE W WARUNKACH OKUPACJI NIEMIECKIEJ

JUŻ 7 WRZEŚNIA 1939 r. PRZEMYŚL DOSIĘGŁY PIERWSZE BOMBARDOWANIA
NIEMIECKIE. PIWNICE SEMINARIUM DUCHOWNEGO PEŁNIŁY
WÓWZAS FUNKCJĘ SCHRONU DLA OKOLICZNEJ LUDNOŚCI



MARIUSZ
KRZYSZTOFIŃSKI

15 września 1939 r. miasto zajęli Niemcy. Dwa dni później Związek Sowiecki zaatakował Polskę. 28 września jednostki Armii Czerwonej wkroczyły do Przemyśla. Terytorium diecezji przemyskiej zostało przedzielone granicą oddzielającą obie okupacje. Rozdzielony został także Przemyśl. Wzgórze zamkowe wraz z katedrą,

pałacem biskupim i seminarium znalazło się po stronie sowieckiej. Z kolei tzw. Zasanie przypadło Niemcom. Bp Franciszek Barda, ordynariusz diecezji przemyskiej, w pośpiechu przeniósł się do części miasta okupowanej przez Niemców.

Niezwykłe seminarium

24 września bp Barda przybył do Brzozowa i zamieszkał w tamtejszej willi biskupiej Anatolówce. Niezwykłym zarządzeniem losu ordynariusz przemyski 21 października 1939 r. uzyskał zgodę od lokalnej komendantury wojskowej w Brzozowie na prowadzenie seminarium. Po wyremon-

towaniu willi przez niezwykle ofiarnych mieszkańców pobliskiej Malinówki kilka miesięcy później, 10 maja 1940 r., seminarium zainaugurowało swoją działalność w drewnianym budynku, w okolicy otoczonej lasami. Przedsięwzięciu temu towarzyszyło poczucie niepewności, obawy przed aresztowaniami, wywózką do obozu czy osadzeniem w więzieniu. Przed inauguracją bp Barda wystosował do alumnów datowany na 4 maja 1940 r. list, w którym czytamy: „Wyjątkowe czasy wymagają wyjątkowych powołań i cnót. Boski Mistrz i Jego Kościół św. spodziewa się po Was, że zrozumiecie Wasze zadania w tych bolesnych, ciężkich okolicznościach i z zapa-

łem starając się o uświęcenie duszy i wykształcenie umysłu w wiedzy Bożej. Z dala, z piątego już mieszkania mego, po opuszczeniu Katedry, ślę Wam słowa serdecznej zachęty, abyście godnie odpowiadali wezwaniu Pańskiemu i z poświęceniem kontynuowali Waszą pracę...”. Jako datę przybycia wyznaczono klerykom 8 maja 1940 r. Do Anatolówki przyjechali alumni z poszczególnych roczników studiów. Wśród nich byli m.in. Jerzy Ablewicz (późniejszy biskup tarnowski) oraz pojedynczy alumni z innych diecezji: poznańskiej, lwowskiej, wileńskiej, łuckiej, pelplińskiej.

W początkowym okresie funkcjonowania seminarium rutynowym działaniem było wystawianie przez alumniów specjalnych nocnych wart. Czynniono tak pod wpływem pogłosek o możliwym aresztowaniu kleryków przez gestapo. Jak zapisano w kronice: „Kaźde jednak przygodne auto niemieckie (np. do szybu naftowego) wywoływało popłoch i wszyscy niknęli w gęstwinie leśnej. Przyszło pewne uspokojenie, kiedy we wrześniu 1940 r. nadeszło pismo z pozwoleniem prowadzenia seminarium, jako »kursu liturgiczno-pastoralnego«”.

Położenie seminarium pośród lasów umożliwiała na poły konspiracyjne kształcenie przyszłych księży diecezji przemyskiej. Alumni studiowali w warunkach spartańskich (bez instalacji elektrycznej, w budynku nieprzystosowanym do zamieszkania w okresie zimowym, trudnym do ogrzania). W ciągu lat 1940–1946 święcenia kapłańskie przyjęło 86 alumnów. Rektorem tego seminarium był ks. dr Jan Grochowski, wykładowcami zaś kapłani, którzy piastowali potem istotne funkcje na terenie diecezji przemyskiej: ks. Franciszek Misiąg (wówczas ojciec duchowny), ks. dr Władysław Matyka (wicerektor), ks. dr Piotr Federkiewicz (prefekt), ks. dr Roman Głodowski, ks. dr Michał Jastrzębski (prokurator). W 1944 r. wykładowcą został także ks. dr Stanisław Jakiel, późniejszy biskup pomocniczy diecezji przemyskiej. Według kroniki rektor seminarium ks. Grochowski „imponował klerykom rozległą wiedzą i fenomenalną pamięcią. Z całym oddaniem pracował nad urobieniem umysłowym (zwykle miał największą ilość godzin wykładowych), a zwłaszcza duchowym alumnów. Żądał pobożności, zdrowej ascezy, prostoty, abnegacji, sumiennosci, a tych cnót sam świecił przykładem. Wielką wagę przykładął do wychowania cnót naturalnych u kleryków, jako podkładu dla życia nadprzyrodzonego. »Bądź przede wszyst-

kim człowiekiem«” – to często głoszona przez niego zasada”. Ks. Grochowski, układając teologię moralną klerykom, „dawał jasny pogląd na ciężkość poszczególnych grzechów i ostrzegał przed powiększaniem niektórych z nich”. Ks. Michał Jastrzębski w kronice seminarium z okresu wojny stwierdził, że „całe grono profesorskie to idealisci. Byli oni najlepszym wzorem i przykładem dla swoich wychowanków, z którymi żyli jak rodzina między sobą, dzieląc wspólnie niewygody i niebezpieczeństwo”.

Ubogą codzienność

Zajęcia w seminarium brzozowskim trwały przez kilka miesięcy w roku. Przez pozostałą część roku klerycy przebywali w swoich rodzinnych miejscowościach. Taki system studiów był wynikiem ciężkich warunków bytowych panujących w seminarium brzozowskim. Warunki towarzyszące formacji seminaryjnej nie należały do najlepszych. Wyrazem tego były kłopoty ze zdobyciem odpowiedniej ilości pożywienia. Utrzymanie seminarium było możliwe dzięki wspólnym nakładom finansowym kurii biskupiej, poszczególnych parafii, księży oraz alumnów diecezji przemyskiej. Dodatkowo kilkanaście okolicznych parafii dostarczało seminarium żywności. W tej materii wyróżniały się parafie: Jasionów, Jaćmierz, Domaradz, Krościenko Wyżne, Jarosław, Siennów. W warunkach wojennych niedobory żywności wcale nie należały do rzadkości. W seminarium niekiedy bywało i tak, że brakowało chleba, który trzeba było racjonować. Wśród innych niedogodności dnia codziennego odczuwalny był brak opału i ciepłej wody. Niektórzy klerycy zmuszeni do mycia się w lodowatej wodzie i przebywania w nieogrzanych pomieszczeniach odmrozili sobie ręce. Spowodowało to, że zostali zwolnieni „od służenia do mszy św.”.

Inną bolączką była niewystarczająca liczba podręczników, potrzeba przygotowywania drewna na opał przez alumnów, brak nafty umożliwiającej wieczorną naukę. Spowiednikami seminarzystów byli jezuici z pobliskiego klasztoru w Starej Wsi. Zakonnicy ci odprowadzali też dla nich zazwyczaj rekolekcje. Głównym spowiednikiem alumnów był o. Marcin Drwięga SJ. Kuchnią i całym gospodarstwem domowym seminarium zawiadywała s. Stanisława Czwarzka ze Zgromadzenia Sióstr Służebniczek NMP (Starowiejskich). Pomimo tego, że klerycy przebywali w nie najlepszych warunkach,

aktywnie zaangażowali się w działalność Unii Apostolskiej w Brzozowie. Uczestnicząc w jej spotkaniach, wygłaszali referaty ascetyczne oraz „starali się o szczere, głębokie życie religijne” w duchu Listów św. Pawła i na wzór życia św. Jana Vianey.

Wojna Niemiec i Związku Sowieckiego przyniosła kolejne zagrożenia dla seminarium. Okazał się nim m.in. tyfus.

Wojenne traumy

Do przebywających w Anatolówce kleryków w sierpniu 1942 r. zaczęły docierać wieści o mordowaniu przez Niemców ludności żydowskiej. 10 sierpnia 1942 r. Niemcy zabronili klerykom opuszczać budynek seminaryjny. Podczas wykładów alumni liczyli strzały dobiegające z pobliskiego lasu, w którym rozstrzeliwano brzozowskich Żydów. Ostatecznie wykłady zastąpiono czytaniem podręcznika, które rozpoczęto od fragmentu: „Od Adama i Ewy wszyscy ludzie pochodzą”. Niemcy zamordowali wówczas kilkuset Żydów.

Według opinii rektora seminarium ks. Grochowskiego: „Zachowanie młodzieży było bez zarzutu. Wszyscy mieli zrozumienie ciężkich i ważnych chwil, jakie przeżywali. Pobożność wielka, codziennie prawie wszyscy przystępowali do Komunii Św., co tydzień do spowiedzi....Pilność w nauce też bardzo wielka, tym bardziej że materiał naukowy był obszernym, a czas skrócony. Mimo gorliwej pracy młodzieży okropny czas wojny odbił się na zdrowiu i postępie młodzieży w nauce. Wyczerpanie i osłabienie ogólne”.

Kolejny zimowy kurs w seminarium (1 października 1942 – 20 marca 1943) rozpoczęło 50 kleryków. Okres ten charakteryzował nasilający się głód wśród słuchaczy seminarium. Święceń kapłańskich alumnom udzielał bp Franciszek Barda. Po ich otrzymaniu nowo wyświęceni kapłani kierowani byli do poszczególnych parafii.

Dzięki staraniom wiernych, kapłanów, zakonników i zakonnice w trudnych realiach wojennych uformowano pokolenie księży, które w kolejnych dziesięcioleciach odgrywało istotną rolę w życiu diecezji przemyskiej, jak również Kościoła w Polsce. Ten wspólny trud, pełen wyrzeczeń w obliczu eksterminacyjnej działalności obydwu okupantów, stanowi chwalebny kartę w dziejach Seminarium Duchownego w Przemyśle i całej Diecezji.

Autor jest pracownikiem IPN Oddziału w Rzeszowie

JAN PAWEŁ II NIEZAPOMNIANY

**SĄ TACY LUDZIE, KTÓRZY NA ZAWSZE POZOSTAJĄ
W SERCU, SPOTKANIA, KTÓRYCH SIĘ NIE
ZAPOMINA, SŁOWA, KTÓRE ZMIENIAJĄ ŻYCIE,
WYDARZENIA, KTÓRE WPŁYWAJĄ NA BIEG HISTORII**



**MONIKA
JABŁOŃSKA-
CHODAKIEWICZ**

16 października 1978 r. kardynał Karol Wojtyła został papieżem. Jak napisał Jarosław Iwaszkiewicz: „Z osobą Jana Pawła II weszła w orbitę wszechświatowej polityki i globalnych zagadnień historia i kultura polska. Karol Wojtyła zasiadł na tym tronie zbrojny w tysiącletnie doświadczenie europejskie swojego narodu i w krótkie, ale jakże intensywne doświadczenie swojego żywota [...]. Razem z nim zasiadła na tronie watykańskim cała kultura polska, bliżej, cała kultura krakowska, uniwersytecka kultura jagiellońska i piastowska kultura naszego najdroższego miasta [...]. Wnosi on na szerokie forum światowe nasze dziedzictwo, nasze formacje, nasze pojęcie o tolerancji, wolności, pokoju, nasze pojęcie o kulturze europejskiej. Wielkie to wydarzenie”.

Co zatem jest najbardziej istotne w panowaniu Jana Pawła II? Trudno jednoznacznie stwierdzić. Skierowanie do świata, wyjście do ludzi i ich jednoczenie oraz zwrócenie się ku Kościołowi... Jan Paweł II na nowo ożywił naszą wrażliwość na drugiego człowieka, na wartości moralne, na rodzinę, na wiarę i religię. Dla ludzi różnych światopoglądów Ojciec Święty był rzecznikiem wielkich ogólnoludzkich wartości. Był gorącym zwolennikiem dialogu i orędownikiem pokoju. Był świadkiem nadziei. Jego obecność dawała nam poczucie bezpieczeństwa w czasach wielkich niepokojów na świecie. A tak widzieli go dostojnicy Kościoła.

W pierwszym wywiadzie udzielonym TVP 20 września 2005 r. papież Benedykt XVI powiedział o Janie Pawle następujące słowa: „Spotkaliśmy się podczas pierwszego konklawe w 1978 r. i od razu poczułem do Niego wielką sympatię, a On – ówczesny kardynał – z mojej strony, sądzę, niezaskuzenie – od samego początku obdarzył mnie swoją przyjaźnią. Jestem Mu wdzięczny za to zaufanie [...]. Przede wszystkim zaś – widząc, jak się modli – nie tylko zrozumiałem, ale i zobaczyłem, że to człowiek Boży. To właśnie zrobiło na mnie największe wrażenie, że jest to człowiek, który żyje z Bogiem. Więcej: żyje w Bogu! Byłem też pod wrażeniem szczerzej, niestereotypowej serdeczności, jaką mi okazywał [...]. Miałem sposobność poznać wielkość Wojtyły jako myśliciela. I tak – bez wielkich słów – zrodziła się serdeczna przyjaźń”. „Tylko ktoś o tak silnej osobowości i charyzmie był w stanie zmobilizować młodzież dla sprawy Bożej i miłości do Chrystusa” – powiedział papież emeryt.

Z kolei bliski polskiemu papieżowi kardynał Camillo Ruini w wywiadzie dla włoskiej gazety „Il Foglio” skomentował: „Będąc w bliskim kontakcie z Janem Pawłem II przez prawie 20 lat, stopniowo nabrałem przekonania, że mam do czynienia z wielkim świętym, ale także z wielkim człowiekiem. Intensywność jego modlitwy uderzyła mnie od samego początku – natychmiast i całkowicie pograżał się w modlitwie, gdy tylko pozwalała mu na okoliczności, i nic, co się wokół niego działo, nie rozpraszało go [...]. Drugim »elementem« świętości papieża była niezwykła zdolność przebaczenia”.

Bardzo pięknie powiedział o Janie Pawle II także kardynał Gerhard Ludwig Müller: „Dla mnie Jan Paweł II jest rze-



**Jan Paweł II „całkowicie
pograżał się w modlitwie,
gdy tylko pozwalały mu
na to okoliczności”**

czywiście jednym z naprawdę wielkich świętych, który od razu przekonuje mnie bezpośrednio jako wzór naśladowania Chrystusa. Nadał papieżstwu najlepszy profil na XXI w. [...]. W pewnym sensie brakuje Jana Pawła II, choć z pewnością wiele dla nas robi z Domu Ojca. Ale dziś »trochę więcej« Jana Pawła II byłoby bardzo korzystne dla Kościoła. Był odważny, jasny, niezłomny, wierny Chrystusowi i zakorzeniony w pobożności maryjnej. W tym sensie jest dla nas wzorem do naśladowania. Był skałą i umacniał swoich braci (Łk 22,32). Można było na nim polegać. Był to konieczny znak sprzeciwu w zapomnianym przez Boga świecie, który dotyczy również Kościoła”.

Jan Paweł II jest święty, taka była wola Boga i ją uszanujmy, wszyscy. Był bardzo oddany swojej ojczyźnej ziemi i jej rodakom. To on zbliżył nas do Chrystusa. Odkrył dla nas sens i wielkość Bożego Miłosierdzia. Jednocześnie pogłębił naszą miłość do Matki Bożej. Bądźmy z niego dumni, tak wiele mu zawdzięczamy.

Życzę wszystkim, aby w nowym 2021 r. Jan Paweł II nas prowadził swoim światłem i wspierał nas swoją modlitwą. ■

PRZEDSTAWICIELE RODU ORŁOWSKICH H. LUBICZ
NALEŻELI DO ELITY ZARÓWNO ARYSTOKRATYCZNEJ,
JAK I POLITYCZNEJ EUROPY XIX I XX w.

ORŁOWSCY

– OBYWATELE PODOLA I ARGENTYNY

Ksawery
Orłowski



JAROSŁAW
KOSSAKOWSKI

Rodzina ta wywodziła się z mazowieckiej szlachty, do olbrzymiej fortuny doszła zaś linia Orłowskich, która na przełomie XVIII i XIX w. przeniosła się na Podole. W ziemi dobrzyńskiej północnego Mazowsza kroniki historyczne notowały jeszcze Walentego Orłowskiego, kasztelana dobrzyńskiego, za nim najczęściej wymieniany jest Jan Onufry Orłowski, Wielki Łowczy Koronny, twórca podolskiej linii rodu i uczestnik Targowicy. Jego syn Adam spokrewniony był już ze znanym małopolskim rodem Krasickich h. Rogala, wnuk Aleksander zaś ożenił się z przedstawicielką jednego z najgłośniejszych rodów europejskich – Klementyną de Talleyrand.

Niespotykany międzynarodowy awans mało znanej ziemiańskiej polskiej rodziny tak przedstawia w komentarzu do książki „Orłowscy. Historia jednej rodziny” pióra Karola Stefana Orłowskiego (Wydawnictwo AgArt, Warszawa 2002) Kacper Krasicki (ur. 1966 r.), syn Ignacego i Delfiny z Orłowskich Krasickich: „Co skłoniło Talleyrandów, by wydać córkę za

nieutytułowanego polskiego ziemianina? Według mnie czynnikiem decydującym było bogactwo podolskich krezusów oraz finansowo niełatwa (wbrew pozorom) sytuacja Talleyrandów w połowie XIX w. Główne majątki Talleyrandów rozsięgały się we Francji i na Dolnym Śląsku, gdzie władali księstwem żagańskim (pałac w Żaganiu – przyp. J.K.). Można więc przypuszczać, że Klementyna de Talleyrand w 1860 r. wyszła za mąż za Aleksandra Orłowskiego bez stosownego posagu, co pozwoliło Talleyrandom na nie uszczuplenie rodowego majątku”.

Jarmolińce na Podolu

Wspomniany Jan Onufry Orłowski (zm. po 1793 r.) żonaty z Anną Starzyńską, córką Antoniego, chorążego czerwono-grodzkiego, w 1782 r. stał się właścicielem kilku majątków na Podolu, w tym klucza jarmolińskiego. Trzy lata później Jan Onufry odkupił od rodziny Świrskich niedlegle Malejowce, w których ze względu na malownicze położenie postanowił wznieść główną siedzibę rodziny. W nabytych bowiem wcześniej Jarmolińcach oprócz zamkowych ruin i małego starego dworku w środku miasteczka nie było odpowiedniego miejsca dla większej liczby osób. Orłowscy w Jarmolińcach zatrzymywali się więc w klasztorze bernardynskim lub w miejscowym zabytkowym zajeździe. I właśnie ten zajazd w dość

zaskakujących okolicznościach stał się kolejną rezydencją rodu Orłowskich.

Car Aleksander II, odwiedzając Kijów, postanowił zwiedzić również Kamieniec Podolski, a ponieważ Jarmolińce znajomego mu z pułku gwardyjskiego w Petersburgu Aleksandra Orłowskiego (wnuk Jana Onufrego) leżały po drodze, zapowiedział swoją tam wizytę. Wzniesiony już w Malejowcach pałac tej rodziny, odpowiedni na przyjęcie dostojnego gościa, był jednak znacznie odsunięty od wyznaczonej drogi carskiej podróży. Nie pozostało więc nic innego niż szybka przebudowa zabytkowego XVII-wiecznego zajazdu na godny carskich odwiedzin dwór. Dawną zajazdową sień przerobiono na jadalnię z olbrzymim bufetem, pochodzące z połowy XIX w. meble otaczały zaś wielki rozsuwany stół. Były tam jeszcze przebudowane z dawnych gościnnych pokoi saloniki i ogromna sala balowa. Według licznych pamiątek z epoki opisujących wystrój dworu w Jarmolińcach miały się tam znajdować m.in. dwa znakomite dzieła sztuki „Święta Rodzina” Rafaela i „Zdjęcie z krzyża” Ribery (obrazy pochodziły z kolekcji Talleyrandów). Ściany dworu w Jarmolińcach dekorowały także liczne płótna polskich XIX-wiecznych malarzy, takich jak Henryk Siemiradzki, Józef Brandt czy Józef Chełmoński.

W najbliższej odległości od tych dworsko-zajazdowych zabudowań >>

» mieściły się jarmarczne kramy i handlowe uliczki, które ożywały w czasie słynnych jarmolinieckich jarmarków. Handlowano tam z poparciem Orłowskich, którzy sprowadzili niemieckich rzemieślników tkaczy, miejscowymi wyrobami tkackimi, rasowymi końmi, zbożem oraz lokalnym rzemiosłem, skórą, futrami i ukraińskimi haftami. Po przejęciu przez władze prawosławne starego kościoła pw. Świętej Trójcy Orłowsky wzniesli w Jarmolińcach drugi kościół pw. Świętych Piotra i Pawła, do którego udało się przenieść ze starej bernardyńskiej świątyni złożony ołtarz główny oraz marmurowe nagrobki Orłowskich.

Pałac w Malejowcach

Do dzisiaj podzielone są zdania co do autorstwa projektu klasycystycznego pałacu w Malejowcach. Przekazy rodzinne Orłowskich mówią o Dominiku Merlinim (1730–1797), wybitnym architekcie króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, znawcy XVIII-wiecznej architektury polskiej skłaniają się zaś ku autorstwu innego świetnego architekta epoki stanisławowskiej Jakuba Kubickiego (1758–1833). Jako historyk sztuki opatrzonej trochę w pałacowej i dworskiej polskiej architekturze, projektanta pałacu w Malejowcach widziałbym raczej w Kubickim, którego budowle zawsze były surowsze i bardziej monumentalne niż wdzięczne, pełne zaskakującej lekkości realizacje Merliniego. A pałac w Malejowcach imponującą, wręcz groźną bryłą zbliżoną nawet do dawnych rezydencji obronnych (elewacja ogrodowa), dekorowaną portykiem w wielkim porządku, stanowi wersję czystego akademickiego klasycyzmu ze wszystkimi detalami. Surowej powagi dodawał całej wyniosłej budowli materiał, z którego została wzniesiona, mianowicie miejscowe kamienne ciosy.

Ukończony w 1788 r. pałac w Malejowcach był usytuowany na malowniczej skarpie, co czyniło, że front był partem z półpiętrzem, elewacja ogrodowa wznosiła się zaś na wysokość prawie trzech pięter. Obie fasady – zarówno ogrodowa, jak i frontowa – posiadały po trzy ryzality z mocno wysuniętym środkowym, wsparte na doryckich kolumnach dźwigających trójkątne frontony ozdobione herbowymi kartuszami. Całość budowli cechowała surowa symetria, która też obowiązywała w bogato zdo-



Jan Onufry
Orłowski

URODZONY W CANNES WE FRANCJI KAROL STEFAN STUDIA POLITYCZNE UKOŃCZYŁ W PARYŻU, JEDNAK DOTRZYMUJĄC SŁOWA DANEGO OJCU, SŁUŻBĘ WOJSKOWĄ ODBYŁ W SZKOLE PODCHORAŻYCH REZERWY W GRUDZIĄDZU

bionych wnętrzach pałacu wraz z obszernym westybulem i paradową klatką schodową. Ściany salonów i gabinetów zdobiły liczne obrazy, m.in. sprowadzone z dworu (dawnego zajazdu) w Jarmolińcach, który w 1905 r. częściowo się spalił. W bogatej bibliotece znalazł się też m.in. liczący ponad 8 tys. woluminów zbiór książek po bp. Ignacym Krasickim.

Dewastacje i zniszczenia

Bolszewicka rewolucja i przesunięcie nowych granic Polski zmusiły Orłowskich do opuszczenia ich podolskich majątków, m.in. Malejowic, na zawsze. Ostatni właściciel Karol Stefan hr. Orłowski urodził się w 1914 r. we Francji i nigdy w życiu nie zobaczył rodzinnych stron na Ukrainie.



Pałac Orłowskich w Malejowcach
w 1885 r., drzeworyt Stanisława
Antoszewicza

Pałac w Malejowcach jednak częściowo oparł się bolszewickiej dewastacji. W pustych ocalałych murach był kiedyś dom dziecka, później sanatorium. Ukrainę odwiedził już w obecnych czasach, czyli prawie sto lat po opuszczeniu w 1918 r. Podola przez Orłowskich, wspomniany Kasper Krasicki, wnuk po kądzieli ostatnich właścicieli Malejowic. Tak zapisał swoje wrażenia: „W większości wypadków w miejscu, gdzie przed rokiem 1917 stały piękne dwory, pałace, zamki otoczone wspianymi parkami, zastawaliśmy ruiny i sprofanowane kościoły. Na tym ponurym tle Malejowce jaśniały. Pałac miał szczęście. Zaraz po rewolucji został uratowany przed pogromem przez jakiegoś kulturalniejszego bolszewika, a potem przemianowany na sanatorium, którego kierownictwa starały się dbać o substancję. Remonty wewnątrz pałacu dokonywane były jednak bez nadzoru konserwatora zabytków. Niestety ciągle brakuje pieniędzy, by zrobić prawdziwy remont pałacu i przede wszystkim skończyć z tą potworną, szkaradną manierą nakładania farby na farbę przez dziesiątki lat. Sam pałac na zdjęciach wydaje się o wiele większy, niż jest w rzeczywistości. W założeniu był przeznaczony do zamieszkania przez jedną raczej niewielką rodzinę, która miała być otoczona zbytkiem zapewnionym przez liczną służbę, na co wskazują liczne dependencje i oficyny dworskie, własną aptekę dworską, która służyła także poddanym Orłowskich. Zaprzecza to tezie bolszewickiej, że polscy ziemianie nie troszczyli się o miejscowych chłopów”.

Zasłużeni dla Polski

Zamieszkałych jeszcze w podolskich rezydencjach Orłowskich z Argentiną połączyło małżeństwo urodzonego w Jarmolińcach Xawerego hr. Orłowskiego z Ignacją del Carril, córką Benigna del Carril, właściciela olbrzymich majątków ziemskich w tym południowoamerykańskim kraju.

Przyszli małżonkowie poznali się w 1911 r. w austriackim kurorcie Marienbad, ślub odbył się w 1912 r. w Paryżu, w parafii Saint-Honore d'Eylau.

Xawery Orłowski (1862–1926) po studiach w Dorpacie (Estonia) pracował w rosyjskiej dyplomacji, ale już w latach I wojny światowej w Paryżu podjął działalność na rzecz niepodległości Polski. Od 1920 r. pracował w polskiej dyplomacji, pełniąc poselskie funkcje w Brazylii, Hiszpanii i Portugalii, za które odznaczony został m.in. wielkim krzyżem orderu Izabeli Katolickiej. Po przejściu w dyplomatyczny stan spoczynku aż do śmierci w 1926 r. mieszkał w Paryżu.

Urodzony w Cannes we Francji syn Xawerego i Argentynki Ignacji del Carril Orłowskich Karol Stefan studia polityczne ukończył w Paryżu, jednak dotrzymując słowa danego ojcu, służbę wojskową odsłużył w Szkole Podchorążych Rezerwy w Grudziądzu, opanowując przy okazji perfekcyjnie język polski. Po ukończeniu służby wojskowej w Nieświeżu w 27. pułku Ułanów Ciechanowskich otrzymał list od ks. Aba Radziwiłła: „Przekonany jestem, że Ojciec Twój, a mój wielki przyjaciel, byłby dumny, widząc swojego syna, który chociaż wyrósł na obczyźnie – czuje się Polakiem i tak spełnił swój obowiązek względem Ojczyzny”. Piękną żołnierską kartę zapisał też Karol Stefan w czasie II wojny światowej. Przebywając w Hiszpanii, został łącznikiem polskiego rządu w Londynie do spraw przerzucania przez Pireneje polskich wojskowych zdążających do armii gen. Sikorskiego w Anglii. W 1940 r. przydzielony został do attachatu wojskowego przy poselstwie polskim w Portugalii.

W Lizbonie poznał młodą wdowę Różę z Sobańskich Romanową Chłapowską, która została jego małżonką w 1943 r. Przeniesiony później do dowództwa Armii Polskiej na Zachodzie do Londynu, w 1944 r. Karol Stefan został attaché wojskowym przy poselstwie polskim w Buenos Aires. Po likwidacji poselstwa Orłowscy pozostali na stałe w Argentynie, gdzie w posiadłości La Soledad przyszły na świat ich dzieci. Karol Stefan odznaczony dziesiątkami medali i krzyży zarówno wojennych, jak i cywilnych zmarł w 1990 r. we Francji, którą zawsze uwielbiał i starał się jak najczęściej w niej przebywać.

Z kilkorga dzieci Karola Stefana i Róży Orłowskich w Polsce zamieszkała ich córka Delfina z Orłowskich hr. Krasicka (1944–2012), ciekawa artystka (tkaniny), założycielka w Warszawie galerii malarstwa Galeria Delfiny, gorąca propagatorka młodych artystów, również z dawnych polskich Kresów. Bogate w wydarzenia i fakty artystyczne życie Delfiny Krasickiej wymaga jednak odrębnego artykułu. ■



TRENER NA CELOWNIKU SB

**SPORTOWCY TRAFIALI W KRĄG ZAINTERESOWANIA
BEZPIEKI RÓWNIEŻ PO ZAKOŃCZENIU KARIERY,
GDY ZOSTAWALI DZIAŁACZAMI LUB TRENERAMI.
TAK TEŻ BYŁO W PRZYPADKU ŚWIETNEGO POLSKIEGO
GIMNASTYKA JERZEGO JOKIELA (NA ZDJ.)**



**GRZEGORZ
MAJCHRZAK**

Jerzy Jokiel to jeden z najlepszych polskich gimnastyków. To właśnie on zdobył pierwszy olimpijski medal w tej dyscyplinie sportu dla Polski. Podczas letnich igrzysk olimpijskich w Helsinkach wywalczył srebro w ćwiczeniach wolnych. Niewiele zresztą brakowało, aby wywalczył pierwsze złoto w tej dyscyplinie. Okazało się jednak, że przekroczył czas wyznaczony na wykonanie ćwiczenia...

Był to jego największy sukces na arenie międzynarodowej, zdecydowanie więcej odnosił ich w kraju. Był 15-krotnym mistrzem Polski – zarówno w wieloboju, jak i składających się na niego poszczególnych konkurencjach. Po zakończeniu kariery sportowej pracował jako szkoleniowiec. Był m.in. trenerem reprezentacji Polski (1967–1968), a także kilku klubów. Po igrzyskach olimpijskich w Moskwie wyjechał z żoną – również trenerką – do Hiszpanii, gdzie trenowali członków klubu gimnastycznego w Barcelonie.

W 1982 r. osiadł na stałe w Republice Federalnej Niemiec.

Kilka lat wcześniej – pod koniec 1973 r. – znalazł się na celowniku Służby Bezpieczeństwa. Jej funkcjonariuszy z Rudy Śląskiej zaniepokoiły pobyty Jokiel w RFN. Jak pracownicy wyliczano, w 1972 r. wyjechał prywatnie na zaproszenie niemieckiego związku gimnastycznego, aby obejrzeć letnie igrzyska olimpijskie w Monachium, a rok później na zaproszenie szwagierki Róży Dzwigall. Podejrzewano, że „mógł nawiązać liczne kontakty z osobami powiązanymi z działalnością antypolską”. I postanowiono to sprawdzić.

Zakładają kwestionariusz ewidencyjny

Trzy miesiące wcześniej, 3 lipca 1973 r. inspektor SB Zdzisław Szałwiński „zebrał dane” na jego temat u dyrekcji kopalni Wawel, w której ten był formalnie zatrudniony na stanowisku instruktora gimnastyki. Na tej podstawie stwierdził m.in., że „ob. Jokiel utrzymuje kontakt korespondencyjny i bezpośredni z ob. Dzwigall Róża”, a także, iż „w latach 1959–64 jako czynny sportowiec odwiedził wszystkie kraje Europy, przebywał w Azji i Ame-

ryce”. To właśnie Szałwiński – jako pierwszy – zaproponował bliższe zainteresowanie znakomitym gimnastykiem w ramach kwestionariusza ewidencyjnego. Przełożeni esbeka zalecili mu, aby ustalił konkretnie, „kiedy i gdzie był” Jerzy Jokiel. Funkcjonariusz przygotował 13 sierpnia 1973 r. plan opracowania kwestionariusza ewidencyjnego figuranta. Pierwszym punktem było sprawdzenie jego osoby w ewidencji operacyjnej Służby Bezpieczeństwa, co zresztą przyniosło negatywny efekt – SB wcześniej sportowcem się nie interesowała. Kolejnymi czynnościami były: zebranie danych o rodzinie Jerzego Jokiel w ewidencji ludności, a także

o jego wyjazdach zagranicznych w organach paszportowych oraz „przeprowadzenie wywiadu” w miejscu jego pracy. To jednak nie wszystko. Przy „opracowaniu” Jokiel zamierzano skorzystać z agentury, a także zastosować przez okres pół roku perlustrację, czyli cenzurę korespondencji krajowej i zagranicznej.



10 października zakres wiedzy inspektora Szałwińskiego na temat Jerzego Jokielu znacząco się poszerzył. Tego dnia sporządził zdecydowaną dokładniejszą notatkę na temat byłego sportowca. Zawierała m.in. dokładny rysopis Jokielu, informacje o jego rodzinie, nadanych mu odznaczeniach państwowych czy wreszcie wspomnianych wcześniej wyjazdach do Republiki Federalnej Niemiec w latach 1972–1973. Podobne szczegółowe ustalenia esbek poczynił w odniesieniu do jego małżonki Doroty Jokiel.



JUŻ DWA RAZY W CIĄGU OSTATNICH KILKU LAT PRZEPROWADZANY BYŁ U NICH W DOMU „REMONT”, A INNI CZEKAJĄ NA „REMONTY” PO KILKA LAT

W kolejnych tygodniach czujny funkcjonariusz ustalił m.in., że Jerzy Jokiel „nie przechodzi w materiałach” Wydziału Kryminalnego KW MO w Katowicach.

Dalej 28 maja 1974 r. Szałwiński pisał o swoich ustaleniach, które były efektem rozmowy ze sztygarem Cebulą, zatrudnionym na tym sam oddziale kopalni, co Jokiel. Sztygar twierdził, że ten jest „zakochany w gimnastyce» i żadne inne sprawy nie obchodzą go”. Z kolei w odpisie meldunku z 20 kwietnia 1974 r., dotyczącego wizyty biskupa katowickiego Herberta Bednorza w Ośrodku Przygotowań Olimpijskich w Orzegowie, stwierdzano, że hierarcha „w asyście trenera ob. Jokielu zwiędził halę sportową, wyposażenie, zaplecze oraz gabinet odnowy, po czym pobłogosławił halę sportową i odjechał”. Jak przy tym dodawano: „Spotkanie to podobno było uzgodnione z ob. Jokielem”.

Sąsiedzi i współpracownicy

19 września tego roku Zdzisław Szałwiński „przeprowadził wywiad” w miejscu zamieszkania Jerzego Jokielu. Rozmawiał z jego dwoma sąsiadami, nazwiskiem Czajor i Kupka (jak w oryginale). Nie wystawili oni najlepszej opinii rodzinie Jokielów: „To ludzie zarozumiali, któ-

rym dobrobyt przewracał w głowach [...]. Uważają się za kogoś lepszego i z sąsiadami nie utrzymują bliższych kontaktów”. Sąsiedzi zaliczyli ich do ludzi z tzw. plecami. „Już dwa razy w ciągu ostatnich kilku lat przeprowadzany był u nich w domu remont, a inni czekają na remonty po kilka lat”. Uważali oni Jokielów za ludzi bogatych, gdyż ci posiadali samochód marki Mercedes, a także za „zgodne małżeństwo”.

8 października 1974 r. do funkcjonariusza dotarła informacja, że Jokielowi w treningach pomaga niejaki Ślosarek. Co prawda szybko się okazało, że Ślosa-

rek pokłócił się z Jerzym Jokielem i został zwolniony. Tę sytuację esbek postanowił wykorzystać i kilka dni później – 18 października wezwał Ślosarka na komendę w celu przeprowadzenia z nim rozmowy operacyjnej. Znali się z Jokielem dłużej, jeszcze z okresu, gdy obaj czynnie uprawiali sport. Ślosarek mówił o nim, że miał być nie lubiany przez swoich kolegów „ze względu na swą zarozumiałość”. Z kolei pieniądze na mercedesa miał zarobić, pracując dwa lata jako trener w Meksyku. A na koniec podał esbekowi nazwisko gospodarza hali gimnastycznej, w której zajęcia prowadził Jerzy Jokiel – Jerzego Wojtala. W tej sytuacji Zdzisław Szałwiński postanowił porozmawiać również z nim.

Ostatecznie doszło do rozmowy operacyjnej z Wojtalą 29 października. Ponownie zresztą okazało się, że dane zebrane przez SB są nieścisłe – Jerzy Wojtala już nie był gospodarzem hali, ale pracował jako górnik. Miał on poinformować esbeka, że „Ob. Jokiel Jerzy wywodzi się z rodziny, która przed i w czasie wojny miała opinię zatwardziały Niemców. Wychowywany był w duchu antypolskim”. Potwierdził pracę Jokielu w Meksyku w latach 1965–1968, a według Wojtali w tym samym czasie pozostawał formalnie pracownikiem huty Pokój i otrzymywał z niej wynagrodze-

nie na konto. Kolejną cenną – z punktu widzenia bezpieki – informacją było to, że Jokiel „utrzymuje bliski kontakt z klerem” i z okazji świąt kościelnych zaprasza do swego miejsca pracy księży. Miał też ponoć zmuszać swych podopiecznych do udziału w nabożeństwach, a jedną z dziewczynek, która odmówiła, odesłać z tego powodu do domu. Dalej opisywał, że: „Jest krnąbrny i ordynarny. Podczas treningów krzyczy na młodzież, wyzywając ich od idiotów, kretyń i baranów”. A do tego oskarżał Jokielu o przywłaszczanie sobie części pieniędzy z tzw. dodatku startowego poprzez zawyżanie rachunków na dokonane przez siebie zakupy, a także o wyniesienie wiosną 1974 r. dwóch dywanów z miejsca pracy i wywiezienie ich w nieznane miejsce. Jednak chyba najważniejszą informacją, a właściwie pogłoską, jaką podzielił się z funkcjonariuszem SB, było to, że jeżeli Jerzy Jokiel otrzyma zezwolenie na wyjazd zagraniczny, to do Polski już nie wróci.

Tajni współpracownicy

Od początku 1975 r. w jego aktach Jokielu pojawiają się także doniesienia tajnych współpracowników. 13 lutego TW „Medyk” potwierdził posiadane przez siebie dane. 24 lutego tajny współpracownik „Paweł” przekazał, że były sportowiec przyjaźni się z dyrektorem kopalni, w której jest formalnie zatrudniony. Cztery dni później TW „Legnica” informował, że „bliski kontakt utrzymuje z braćmi Noculakami i taksówkarzem Makułą”. O samym Jerzym Jokielu zaś mówił: „Z usposobienia jest bardzo spokojny, opanowany, cały wolny czas poświęca sportowi”.

Wreszcie 19 lipca 1980 r. w streszczeniu materiałów zebranych w ramach kwestionariusza ewidencyjnego Jokielu napisano: „W trakcie prowadzenia sprawy nie stwierdzono jego związków z osobami prowadzącymi działalność antypolską”. Nie potwierdziły tego również dwa listy z zagranicy – jeden od szwagierki i drugi od Lidii Król, trenerki gimnastyki w Australii – przechwycone przez SB w 1974 r. W tej sytuacji nie dziwi wniosek o zaniechanie prowadzenia kwestionariusza z tego samego dnia. Cztery dni później został on zatwierdzony, a dokumenty trafiły do archiwum.

Autor jest pracownikiem
Biura Badań Historycznych IPN

ZAPOMNIANY EMIGRACYJNY HISTORYK



**KRZYSZTOF
TARKA**

Urodził się w 1897 r. w Łodzi. Kilka lat później Paszkiewiczowie przenieśli się do Warszawy, gdzie Henryk ukończył Gimnazjum im. M. Reja, a w latach 1916–1920 studiował historię na Uniwersytecie Warszawskim. Był uczniem wybitnego historyka, w przyszłości również emigranta, prof. Oskara Haleckiego, pod którego kierunkiem napisał rozprawę doktorską. Po obronie doktoratu przez kilka lat pracował jako nauczyciel historii w żeńskim Gimnazjum im. J. Słowackiego w Warszawie. Nie zaniechał jednak pracy naukowej. W 1927 r. habilitował się na podstawie rozprawy o polityce ruskiej Kazimierza Wielkiego. Rok później otrzymał etat na stołecznym uniwersytecie. Wykładał również w Wolnej Wszechnicy Polskiej. Specjalizował się w dziejach Polski, Litwy i Rusi w wiekach średnich.

We wrześniu 1939 r., jako oficer rezerwy, walczył w obronie stolicy. Wzięty przez Niemców do niewoli lata II wojny światowej spędził w oflagu w Murnau w Bawarii. Po zakończeniu wojny nie wrócił do Polski rządzonej przez komunistów. Wstąpił do 2. Korpusu Polskiego dowodzonego przez gen. Władysława Andersa stacjonującego we Włoszech. W wojsku ppor. prof. Paszkiewicz został głównym opiekunem naukowym polskich żołnierzy, którzy rozpoczęli studia na uniwersytetach włoskich (jego zastępczynią była prof. Karolina Lanckorońska, niedawna więźniarka Ravensbrück). Jesienią 1945 r. wraz z ks. prof. Walerianem Meysztowiczem i Lanckorońską był jednym ze współzałożycieli Polskiego Instytutu Historycznego w Rzymie. W następnych latach ta zasłużona placówka wydawała rocznik

PROF. HENRYK PASZKIEWICZ, HISTORYK EMIGRACYJNY, AUTOR TRYLOGII O POCZĄTKACH RUSI I POWSTANIU NARODU RUSKIEGO, W PRL SKAZANY NA ZAPOMNIENIE, BYŁ JEDNYM Z BARDZIEJ ORYGINALNYCH, KONTROWERSYJNYCH, ALE I NAJCZĘŚCIEJ CYTOWANYCH W HISTORIOGRAFII ŚWIATOWEJ, POLSKICH MEDIEWISTÓW

naukowy „Antemurale”. Przez prawie 20 lat Paszkiewicz wchodził w skład komitetu redakcyjnego pisma, sporadycznie publikował również na jego łamach.

W 1948 r. Paszkiewicz wyjechał do Londynu, gdzie mieszkał do końca życia. Angażował się w działalność licznych emigracyjnych instytucji naukowych. Współpracował ze Szkołą Nauk Politycznych i Społecznych oraz z Instytutem Wschodnim „Reduta”. Przez wiele lat wykładał w Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie. Działał w Polskim Towarzystwie Historycznym w Wielkiej Brytanii (przez kilka lat był jego wiceprezesem i redaktorem rocznika naukowego „Teki Historyczne”) oraz w Polskim Towarzystwie Naukowym na Obczyźnie. Udzielał się również społecznie jako członek Głównej Komisji Skarbu Narodowego i Polskiej Macierzy Szkolnej Zagranicą.

W 1950 r. z inspiracji gen. Andersa został mediatorem między prezydentem Augustem Zaleskim a partiami politycznymi. Jako człowiekowi politycznie niezaangażowanemu po żadnej ze stron sporu prezydent zaproponował mu również utworzenie nowego rządu. Kłótnie i podziały w „polskim” Londynie były coraz większe, w efekcie jego misja zakończyła się niepowodzeniem.

Średniowieczna Ruś

Pasja badawcza sprawiła, że Paszkiewicz nie zaniedbywał jednak własnej twórczości naukowej. Pochłonięty kwerendami przesiadywał w londyńskich archiwach i bibliotekach. W 1954 r. ukazało się jego opus vitae o początkach Rusi (The Origin

of Russia). To liczące ponad 500 stron dzieło stanowi poważny wkład do badań nad średniowieczną historią wschodniej Europy. Autor przeprowadził gruntowną analizę średniowiecznych źródeł z kroniką Nestora na czele. Sięgnął również do setek artykułów i monografii badaczy rosyjskich, sowieckich, polskich, skandynawskich, niemieckich czy amerykańskich. Zamieszczona w książce bibliografia liczy ok. 2 tys. pozycji! Wydanie pracy w języku angielskim pozwoliło mu dotrzeć ze swoimi tezami do historyków na Zachodzie.

Paszkiewicz był czołowym rzecznikiem teorii o normańskim rodowodzie Rusi podbitej przez skandynawskich Rurykowiczów. Jego dzieło pobudziło spory zwolenników i przeciwników tej hipotezy, o czym świadczą liczne recenzje książki. Emigracyjny historyk wskazywał również na mongolskie tradycje rosyjskiego samoderżawia.

Największe kontrowersje wywołało jednak zakwestionowanie przez Paszkiewicza słowiańskiego pochodzenia Rosjan. Emigracyjny mediewista przekonywał, że Wielkie Księstwo Moskiewskie powstało na terenach zamieszkałych przez ludność pochodzenia ugrofińskiego, a nie słowiańskiego. Następnie pod wpływem religii (prawosławia) przyjęła ona język ruski. Większość recenzentów uznała tę śmiałą tezę za psychohistoryczną mitologię, która zaprowadziła Paszkiewicza na manowce myśli historycznej. Nawet zwolennicy teorii normańskiej uważali, iż większość ludności Rusi musiała być Słowianami. Inaczej od kogo ugrofińscy protoplaści Rosjan mieliby przyjąć język słowiański?

Najzagorzalszymi krytykami Paszkiewicza byli badacze sowieccy oraz rosyjscy i ukraińscy historycy emigracyjni. Kwestionując słowiański rodowód Rosjan, emigracyjny mediewista podważał przynależność współczesnej mu Rosji (właściwie Związku Sowieckiego) do europejskiego kręgu kulturowego. Jego historyczna teza miała więc również całkiem bieżący kontekst. Wydaje się, że była też swoistym manifestem niezłomnego emigranta. Niestety osłabiało to naukowy charakter wywodów historyka.

Recenzje i polemiki

Książka Paszkiewicza wywołała odgłosy niemal na całym świecie. Ogółem ukazało się ponad 60 recenzji naukowych czy prasowych omówień w kilkunastu krajach, m.in. w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Republice Federalnej Niemiec, Związku Sowieckim, lecz również w odległej Japonii czy Indiach.

Wśród historyków i publicystów emigracyjnych dominowały entuzjastyczne oceny dzieła Paszkiewicza. Na łamach fachowych periodyków czy w prasie emigracyjnej pierwszy tom trylogii ruskiej recenzowali m.in. Oskar Halecki, Bronisław Hełczyński, Leon Koczy, Paweł Skwarczyński, Stanisław Stroński czy Karol Zbyszewski. Nie wszyscy jednak podzielali taką opinię. Juliusz Mieroszewski w liście do Jerzego Giedroycia z 8 maja 1955 r. pisał: „Musimy wzmóc walkę z polskoemigracyjną kołtunierią. Ktoś na łamach »Kultury« powinien zjechać bez litości »The Origin of Russia« Paszkiewicza. Ja nie jestem zawodowym historykiem, ale wydaje mi się, że jest to w dużej mierze klasyczny przykład nauki idącej w pacht ciasnej nacjonalistycznej propagandy”. Mieroszewski donosił też Giedroyciowi, że Paszkiewicz rozpowszechnia plotki, iż „Kultura” „bierze pieniądze z brudnych źródeł”.

Pochlebłą recenzję Pawła Hostowca (pseudonim Jerzego Stempowskiego) w czerwcowym numerze „Kultury” z 1955 r. Mieroszewski uznał za laurkę, która doprowadziła go wprost do furii. W kolejnym liście przekonywał redaktora „Kultury”: „Książka [Paszkiewicza] jest więcej jak sporna, cała ta normańska teoria jest jeszcze więcej jak sporna (zobacz Pan, co o tej książce powiedzą amerykańscy uczeni) i nie było powodów do tego typu peanów”. Giedroyc, który książki Paszkiewicza nie czytał, odpowiadając Mieroszewskiemu, stwierdził

przewrotnie, że pozytywna recenzja jest „elegancką formą dania w zęby”.

Stempowski uważał, że książka Paszkiewicza jest „bardzo dobra i zasługuje na dokładne omówienie”. Uznał ją za wartościową encyklopedię średniowiecza słowiańskiego. W recenzji drukowanej na łamach „Kultury” stwierdził: „Wyjątkowa rozległość i pewność wiedzy, szerokie wyzyskanie źródeł i przede wszystkim odczytanie ich na nowo dają autorowi możliwość oświecenia wielu zagadnień dotąd nieprzejrzytych i zajęcia stanowiska w sprawach będących przedmiotem sporów”. Dodał, że „Książka prof. Paszkiewicza skorzysta zapewne z aktualności, jaką posiadają w tej chwili na Zachodzie wszystkie sprawy rosyjskie. Z pochlebnych recenzji prasy angielskiej można wnosić, że ma szanse przeniknięcia także poza obręb czytelników zainteresowanych zawodowo słowiańskim średniowieczem. Do zdobycia szerszego koła czytelników dzieło to posiada kilka ważnych tytułów”.

W Polsce obszerny artykuł recenzyjny na łamach „Kwartalnika Historycznego” z 1957 r. poświęcił jej prof. Henryk Łowmiański. Krajowy historyk, polemizując z emigracyjnym badaczem, stwierdził w podsumowaniu: „Nie zgadzając się z głównymi wynikami pracy H. Paszkiewicza, muszę jednak stwierdzić, że koncepcja jego, oparta na rozległym materiale źródłowym i uwzględniająca obszerną i starannie zebraną literaturę przedmiotu, świadcząca zarazem o talentie kombinacyjnym autora, daje impuls do skontrolowania panujących poglądów, wskazuje na pewne luki w ich uzasadnieniu i tym samym ułatwia gruntowniejsze poznanie poruszonych problematyki. I na tym polega, zdaje się, jej główny wkład do historiografii rozpatrzonych zagadnień”.

Ze swoimi oponentami Paszkiewicz z pasją polemizował na łamach kolejnej książki o powstaniu narodu rosyjskiego „The Making of the Russian Nation” wydanej w 1963 r. Jej recepcja nie była już tak szeroka, choć recenzje ukazały się na łamach renomowanych periodyków: „American Historical Review”, „Slavic Review”, „Slavic and East European Journal” oraz w emigracyjnych „Tekach Historycznych” i krajowym „Kwartalniku Historycznym”. Już pośmiertnie w 1983 r. ukazała się ostatnia, niedokończona część jego ruskiej trylogii, poświęcona genezie potęgi średniowiecznej Moskwy. Opus magnum Paszkiewicza w całości liczy prawie 1,5 tys. stron.

Konsekwentny do końca

Po latach, pod koniec ub. stulecia, Polska Akademia Umiejętności w Krakowie wydała krajową edycję Paszkiewiczowskiej trylogii, przygotowaną na podstawie rękopisu w języku polskim. Współcześnie dzieło emigracyjnego historyka nie wywołało już jednak takiego rezonansu jak w chwili pierwodruku. Wybitny mediewista, prof. Henryk Wyrozumski, krajową reedycję trylogii Paszkiewicza uznał jednak za brakujące ogniwo polskiej myśli historycznej. Jak podkreślił: „Mimo kontrowersyjności zagadnień, które porusza, i rozwiązań, które proponuje, stanowi klasykę naszej mediewistyki, tak pod względem warsztatowym, jak też erudycyjnym”.

Paszkiewicz był też redaktorem wielotomowego wydawnictwa „Polska i jej dorobek dziejowy w ciągu tysiąca lat istnienia”. W 1956 r. ukazał się jednak tylko pierwszy tom planowanej encyklopedii.

Jako niezłomny emigrant sprzeciwiał się jakimkolwiek formom współpracy czy nawet kontaktów z krajowymi historykami. Z tego powodu konsekwentnie odmawiał udziału w międzynarodowych kongresach nauk historycznych. Przed kolejnym kongresem w Sztokholmie w liście do prof. Mariana Kukiela z 3 maja 1957 r. w następujący sposób tłumaczył swoją decyzję: „Co do Kongresu to pozwoliłem sobie już zaznaczyć moje stanowisko. Nie zamierzam osobiście stykać się i polemizować z Moskalami, ich satelitami lub »wielbicielami« z Zachodu. Pomijam już szereg innych powodów, które mnie wstrzymują od udziału w Kongresie. Nowa moja książka, która – jak się spodziewam – powinna ukazać się pod koniec roku [chodzi o drugi tom trylogii Paszkiewicza, który ukazał się kilka lat później, dopiero w 1963 r. – K.T.], wywoła jeszcze większy szal i wściekłość strony rosyjskiej. Moją więc skromną walkę z Moskalami podjąłem i kontynuuję, ale w takiej formie, która mi odpowiada”.

Prof. Henryk Paszkiewicz zmarł w 1979 r. w wieku 83 lat. Informacja o śmierci emigracyjnego badacza nie ukazała się w żadnym z krajowych czasopism historycznych. Pochowany został na londyńskim cmentarzu Gunnersbury, który stał się narodową nekropolią na emigracji. Spoczywa na nim wielu emigracyjnych działaczy politycznych, społecznych czy ludzi kultury. W 1976 r. wzniesiono tam pierwszy w Europie Zachodniej pomnik katyński.

FEMINISTYCZNY GUŁAG (cz. 2)

MARKSISTOWSKA I FEMINISTYCZNA
HISTORYCZKA KATHERINE R. JOLLUCK W KSIĄŻCE
„EXILE AND IDENTITY: POLISH WOMEN IN
THE SOVIET UNION DURING WORLD WAR II”
(PITTSBURGH 2002) POSTANOWIŁA POĆWICZYĆ
SWĄ GŁĘBOKO ZAGMATWANĄ METODOLOGIĘ
NA DZIEJACH POLSKICH KOBIET W GUŁAGU

Kobiety nie żyją w próżni. Istnieją jeszcze mężczyźni. Autorka od czasu do czasu przytacza dzieje polskich mężczyzn w gułagu. Ale jak bardzo różniło się ich doświadczenie od kobiecego? Tego Jolluck nie mówi. W rzeczywistości albo różniło się niewiele, albo nie różniło się prawie wcale. Wyodrębnienie kobiet tylko po to, aby ukreślić ideologiczny bicz na



MAREK J.
CHODAKIEWICZ

mężczyzn, czyli na „patriarchat”, nie ma wielkiej wartości poznawczej.

Jolluck sądzi Polki z połowy XX w. przez pryzmat dzisiejszych standardów ideologii feministyczno-marksistowskiej. Jest

to więc podejście anachroniczne. Jednak – paradoksalnie – ze względu na ponadczasowość dialektycznej formuły Marksa rezultat jest taki, że w niektórych miejscach interpretacja autorki niewiele różni się od standardowych narracji sowieckich z czasów Stalina. Przykładowo bolszewizm i feminizm jawią się jednym i tym samym w sprawie pracy niewolniczej. Według marksistowskiej wykładni kobiety są takimi samymi niewolnikami (pardon, szczęśliwymi obywatelami) jak inni poddani sowieccy. Chodzi o egalitaryzm. Ale przecież Polakom chodziło o wolność. Dla Polek i Polaków wymuszanie pracy niewolniczej na kobietach urągało zasadom rycerskości, co irytuje Jolluck. W związku z tym według jej analizy Polki uważały się za zbyt wspaniałe, aby się zniżyć do pracy fizycznej. Feministyczna „naukowczyni” nie rozumie, że sprzeciw wobec pracy niewolniczej nie wynikał z odrzucenia pracy jako takiej, lecz był formą oporu przeciw niewolnictwu (s. 66–67). W takich miejscach – a jest ich wiele – trudno otrząsnąć się z wrażenia, że Jolluck albo w sekrecie, albo w podświadomości głosi prokomunistyczne treści.

Autorka zupełnie nie rozumie w tym kontekście, że koncepcja polskości to uniwersalna odznaka honorowa, a nie wąska etykieta etnonacjonalistyczna (s. 212). Polskość, polski nacjonalizm, nie był etniczny, tylko kulturowy. W tym sensie każdy mógł być Polką lub Polakiem



z wyboru, tak długo jak stosował się do dominujących polskich norm kulturowych. A do nich należały inteligencko-szlachecka kultura służby i dobrych manier, naturalnie patriotyzm i wiara. Powtórzmy więc – nie trzeba było być ani „etnicznym” Polakiem, ani katolikiem, aby być jednym z nas. Tego Jolluck zupełnie nie potrafił sobie wyobrazić. Niestety albo nie nauczono jej tego w domu, albo właściwe odruchy dziecka z porządnej i prostej rodziny, niewzmocnione odpowiednio intelektualnie, a oparte jedynie na prostej wierze religijnej, zostały zmiażdżone przez walec marksizmu-feminizmu, który uwiódł wykręconą autorkę w college’u.

Ta osobista tragedia rzutuje na przygotowanie intelektualne. Jolluck nie jest w stanie sprowadzić tak skomplikowanej tematyce, którą niestety zdecydowała się zająć w „Exile and Identity”. Nie potrafi wykroczyć poza analizę ekonomiczną sytuacji polskich kobiet w okresie międzywojennym na Kresach. A przecież nie ekonomia, lecz kultura była głównym czynnikiem determinującym tam polskość. Analiza klasowa całkiem nie wystarczy. Autorka jest pod tym względem niestety po prostu głucha i ślepa.

W tym kontekście staje się jasne, że zamiast bałwochwalczo odnosić się do takich osób jak Joan Wallach Scott i jej wymysłów o feministycznej walce klas (s. 299 n. 4), Jolluck powinna się pochylić nad pracami Elisabeth Fox-Genovese o antebellum Południa w USA. Ta ostatnia autorka przeprowadza analizę niewolnictwa oraz kultury tamtejszych właścicieli plantacji. Z pewnością byłoby to bardziej pomocne w zrozumieniu kultury ziemiańskiej polskiej oraz doświadczenia niewolników w gułagu niż dogmatyka marksistowska. Pomogłoby wielce monografii, gdyby Jolluck potrafiła się odnieść do wyżyn intelektualnych wytyczonych przez profesor Ewę M. Thompson. Ale nie potrafi. Zamiast tego zapisała się do kazirodczego klubu intelektualnego lewicy, w którym panuje przekonanie o posiadaniu monopolu na rację. Wszyscy inni tej racji pozbawieni są wykluczeni z towarzystwa wzajemnej adoracji. Co za wielka strata dla nauki w ogóle, a szczególnie dla badań o polskim doświadczeniu na Syberii...

Największą stratą jest to, że Jolluck i towarzyski zatruwają swą metodologią marksistowsko-feministyczną następne pokolenia. Weźmy choćby pracę Anny Müller „If the Walls Could Speak: Inside a Women’s Prison

in Communist Poland” (Oxford: Oxford University Press, 2018). Jest ona niestety kalką metodologiczną i ideową pionierskich dokonań Jolluck. Müller też ma końskie okulary, wszystko widzi przez pryzmat ideologiczny lewactwa. I w przeglądanych przez siebie materiałach odnajduje to, co chce, a nie to, co w nich rzeczywiście jest.

Müller genialnie odkryła, że Stefania Broniewska, żołnierz NSZ i żona gen. Zygmunta Broniewskiego „Boguckiego”, była rzekomo lesbijką (s. 149–150). Dzięki uprzejmości dr. Rafała Sierchuły udało

NAJWIĘKSZĄ STRATĄ JEST TO, ŻE JOLLUCK I TOWARZYSZKI ZATRUWAJĄ SWĄ METODOLOGIĄ MARKSISTOWSKO-FEMINISTYCZNĄ NASTĘPNE POKOLENIA

mi się dotrzeć do źródła tej rewelacji – grubej teczki w IPN Bydgoszcz. Według ubeckich dokumentów agentka celna faktycznie mówiła ubekom, że jest lesbijką i ma stosunki z panią Broniewską. Agentka zauważyła, że fantazje lesbijskie wywołują u jej zleceńodawców odruch wymiotny i kierują ich na fałszywy trop. Dopiero po dwóch latach ubecy zrozumieli, że agentka cały czas przekazywała im fałszywe informacje. Co napisali czarno na białym, a czego Müller nie potrafił przetworzyć ani zrozumieć.

Niezwykle dzielna Stefania Broniewska była żoną komendanta głównego NSZ. W więzieniu matkowała i ciotkowała młodszymi więźniarkom. Opowiadała mi zresztą o tym inna współwięźniarka, śp. Hanka Rozwadowska. Było to standardowe zachowanie w naszym środowisku, co potwierdzają relacje mojej babci Ireny Chodakiewiczowej i jej koleżanek. U mężczyzn było podobnie. Na to składało się

też wychowanie religijne i patriotyczne. Ale Müller woli włochate myśli w takt marksizmu-lesbianizmu. Można i tak. Ale co to ma wspólnego z nauką? Czy były lesbijki? Jasne. Ale nie ma podstaw, aby przypisywać to Stefani Broniewskiej.

Nie możemy się doczekać, aż prof. Jolluck bądź ktoś z jej stajni zdecyduje się skoncentrować na chrześcijańskich Polkach, więźniarkach Auschwitz i innych niemieckich obozów koncentracyjnych, przez ten sam obiektyw „inności” (otherness). Już sobie wyobrażamy, że – tak jak w wypadkach zesłańców syberyjskich – Polki zostaną opisane jako poślednie ofiary, zaprawdę niewarte całej gamy naszego współczucia, bo niepostępowe. Polki były bowiem patriotyczne („nacionalistki”), tradycyjalistyczne („zaściankowe”) oraz religijne („bigotki”). Albo otumanione przez patriarchat miały „fałszywą świadomość” czy też były świadomymi reakcjonistkami i – dlatego – „zdrajcami genderowymi” (gender traitors). To ma wymiar taki jak „zdrójca rasowy” (race traitor) u nazioli. Paradygmatu do takich narracji ideowych dostarczyła już dość dawno Andrea Dworkin, „Right Wing Women: The Politics of Domesticated Females” (London: The Women’s Press, 1983), chociaż ostrzegała też, że seksizm lewicy pcha kobiety na prawicę. I czytelnik nadal nie będzie wiedział, czy taka agitpropka feministyczno-marksistowska jest kokieterijna, czy ma dysonans poznawczy.

Jaki z tego wszystkiego więc pożytek? Zgaduję, że taki, iż inne feministki przeczytają „Exile and Identity” i w swojej sekcie nie tylko utrwalą fałszywe marksistowskie i feministyczne stereotypy, lecz również poznają w jakimś pokrętnym kształcie tragiczną historię kobiet zesłanych i więzionych przez komuny. Czy to w jakiś sposób złagodzi ideologię lewackich feministek? Na pewno nie. Nie pozwoli im nawet na refleksje, że ich totalitarna ideologia jest współodpowiedzialna za te cierpienia.

Co najwyżej możemy mieć nadzieję, że za tysiące lat, jeśli wszystkie inne książki spłoną, a przetrwają prace Jolluck i jej stajni, to jakiś logocentryczny dziejopisarz będzie potrafił się pozbyć z takich źródeł ideologicznego kaftana bezpieczeństwa i odkryje – jak archeolog – cierpienie i poświęcenie polskich kobiet, wychowanych na paradygmacie religijnym i patriotycznym.

Pierwszy odcinek eseju prof. Marka J. Chodakiewicza opublikowaliśmy w poprzednim wydaniu „wSieci Historii”



Stworzenie Słońca, Księżyca i roślin, fresk Michała Anioła na sklepieniu kaplicy Sykstyńskiej, przed konserwacją malowideł

JANA PAWŁA II DIALOG ZE



**JERZY
MIZIOŁEK**

KONSERWACJA FRESKÓW MICHAŁA ANIOŁA W KAPLICY SYKSTYŃSKIEJ JEST OGROMNĄ ZASŁUGĄ PONTYFIKATU JANA PAWŁA II. ODKRYTO PRAWDZIWY SPLENDOR ARCYDZIEŁA, KTÓRE PAPIEŻ Z POLSKI – JAK NIKT PRZED NIM – PODDAŁ NIEZWYKLE POGŁĘBIONEJ, POETYCKIEJ INTERPRETACJI

W Muzeum Kolekcji im. Jana Pawła II w Warszawie, znanym pod nazwą Galeria Porczyńskich (od nazwiska jej twórcy – Zygmunta Porczyńskiego), znajduje się pięć wielkiego formatu kolorowych zdjęć naklejonych na miedziane płyty. Te wykonane ok. 1980 r., w specjalnej technice fotografie/reprodukcje ukazują sceny „Stworzenia świata i pierwszych ludzi”, jakie zdobią sklepienie Kaplicy Sykstyńskiej. Uderzają ich ceglasty odcień, mgliste kontury postaci, liczne ciemne pęknięcia i ogólne wrażenie, jakby się patrzyło na genialne dzieło Michała Anioła przez ciemne okulary. Zdjęcia te dają pełne wyobrażenie o fatalnym stanie malowideł. Podjęcie decyzji o ich konserwacji było jednak niezwykle trudne, bo naznaczone widmem ryzyka. Padało pytanie: czy zdejmując patynę wieków, nie uszkodzi się nieodwracalnie dzieła geniusza? Wielu historyków sztuki i niektórzy konserwatorzy stanowczo

odradzali porwania się na absolutne arcydzieło. Jednak Jan Paweł II zdecydował się, po długich konsultacjach, na podjęcie prac konserwatorskich. Cekał na rozbłysk kolorów, na rodzaj illuminatio i prawdziwe „widzenie”. Jak się okazało, miał znakomitą intuicję.

Jak przez okopcone szkło

„Jeżeli będę mógł w pełni zająć się freskami Sykstyńskimi – pisał w 1935 r. wybitny konserwator Biagio Biagiotti – bez trudu wykażę, że widzimy je dziś niejako przez okopcone szkło. Zmniejsza to ogromnie jaskrawość ich barw i potęgę modelunku”. Po dokładnych oględzinach malowideł nie zdecydowano się jednak na ich pełną konserwację. Ta została podjęta dopiero

bez mała pół wieku później. Najpierw, w latach 1981–1994, czyszczono i konserwowano malowidła na sklepieniu, a następnie „Sąd Ostateczny”. W latach 1995–1999 konserwacji poddano również freski artystów XV-wiecznych ze scenami z życia Mojżesza i Chrystusa, ukazane na bocznych ścianach kaplicy.

Jak doszło do tak silnego zabrudzenia malowideł, że widać je było „jak przez okopcone szkło”? Przypomnijmy, że freski zdobiące sklepienie Sykstyńskie wykonane w latach 1508–1512, mają powierzchnię ok. 1200 m², która przez całe wieki wchłaniała kopcę ze świec i piecyków ogrzewczych, jakich używano w czasie jesiennych i zimowych konklawe. Co ciekawe, już w połowie XVI w. czyszczono je białym winem, a w latach 70. tego sa-



Ten sam fresk po renowacji, stan na grudzień 2019 r.

SZTUKĄ MICHAŁA ANIOŁA

mego wieku konserwowano. Były nawet częściowo uzupełniane przez Domenico Carnevalego w tych miejscach, w których nastąpiły ubytki w wyniku silnej eksplozji prochu w pobliskim Zamku św. Anioła. Następne poważne prace przy freskach, odnotowane w archiwaliach Watykanu, wykonali Simone Lagi w 1625 r. i niejaki Mazzuoli w początkach XVIII w. W 1787 r. w czasie pobytu w Rzymie Goethe zanotował: „Drugiego lutego wybraliśmy się wszyscy do Kaplicy Sykstyńskiej na święcenie świec. Poczuję się nieswojo i razem z przyjacielem wyszliśmy szybko z kościoła, bo pomyślałem sobie, że te właśnie świece od trzystu lat zaćmiewają cudowne freski”.

Czyszczenia miększym chleba i winem przynosiło niewielkie efekty i dlatego tu i ówdzie już w XVI w. aplikowano klej-werniks pochodzenia zwierzęcego, zwany keratyną. Z czasem pokryto nim całą polichromię sklepienia. Dlaczego stosowano go na tak ogromną skalę? Nie ulega wątpliwości, że wino nie rozpuszczało sadzy przedostającej się głęboko, poprzez drobne pęknięcia, pod powierzchnię fresków. Ponadto przeciekanie wody tworzyło wykwyty, zwane saletami, gdyż było w nich sporo soli. By ukryć te wykwyty i rozjaśnić malowidła, kładziono właśnie keratynę. Po takim zabiegu na kilkanaście lat freski stawały

się jaśniejsze, lecz potem werniks ciemniał ponownie, zmieniając tym samym ich kolorystykę. Do zmiany pierwotnych kolorów przyczyniły się także przemalówki. Na nieusuwalnym dla konserwa-

W SŁOWACH JANA PAWŁA II O FRESKACH SYKSTYNY NIE MA PRZEPYCHU, ALE JEST GŁĘBIA MYŚLI, GŁĘBOKA WIEDZA TEOLOGICZNA I POETYCKI POŁOT

torów w poprzednich wiekach werniksie dokonywano rozmaitych poprawek i uzupełnień. Angielski podróżnik Richard widział ok. 1765 r. w Sykstyńskim malarzy tres mediorces, a więc bardzo marnych, dokonujących takich właśnie przemalówek. W ciągu wieków zarówno samo intonaco

(podkład pod freskami), jak i powierzchnia malowideł były niezwykle silnie zabrudzone, a w niektórych partiach nieczytelne. W odniesieniu do lunet (ponad oknami), które były zanieczyszczone najbardziej, w naukowych opracowaniach aż do czasów pontyfikatu Jana Pawła II używano określenia „strefa cienia” lub „strefa mroku”. Prawdziwa pierwotna kolorystyka czekała na odkrycie.

Blask spiętrzonych kolorów

Bezpośrednim powodem konserwacji fresków Sykstyńskich było pojawienie się w keratynie bakterii niszczących ich wierzchnią warstwę. Dzięki żmudnym pracom konserwatorów spod warstw sadzy, przemalówek i kleju zaczęły się wyłaniać finezyjne, pełne światła malowidła, ze znakomitą modelunkiem postaci i mieniącymi się kolorami. Nie brakowało jednak wśród konserwatorów i historyków sztuki takich, którzy twierdzili, że wraz z oczyszczeniem zabrano jakiś istotny element malarstwa Buonarrotiego – rodzaj werniksu czy patyny. Wystarczy rzut oka na tondo Doni we florenckich Uffiziach, wykonane przez Michała Anioła kilka lat przed rozpoczęciem prac w Sykstyńskim, by się przekonać, że już w młodości był wybitnym kolorystą. Tondo, >>



Sąd Ostateczny, fragment fresku Michała Anioła na ścianie ołtarzowej kaplicy Sykstyńskiej, grudzień 2019 r.

» podobnie jak malowidła sklepienia po ich oczyszczeniu, jest pełne światła i jaskrawych kolorów.

Dzięki konserwacji zleconej przez Jana Pawła II możemy dziś w rozmaitych porach dnia i roku bez sztucznego światła podziwiać wszystkie sceny wraz z detalami i studiować ich treści ideowe. Papież podjął się również tego zadania w swoich wypowiedziach prozą i wierszem. W „Tryptyku rzymskim” czytamy:

*Tu, w tej kaplicy, wypisał ją
[Księgę Rodzaju] Michał Anioł
nie słowem, ale bogactwem
spiętrzonych kolorów*

Na nowo odkryte kolory dały Mu też odczuć intensywniej wszystko to, co nazywa – odnosząc się do sykstyńskiej wizji czasów ostatecznych – „szczytem przejrzystości”:

*Kres jest tak niewidzialny, jak początek.
Wszechświat wyłonił się ze Słowa
i do Słowa też powraca.*

*W samym centrum Sykstyń artysta
ten niewidzialny kres wyraził
w widzialnym dramacie Sądu –
I ten niewidzialny kres stał się widzialny
jakby szczyt przejrzystości*

Kolorystyka Sądu Ostatecznego (malowanego w latach 1536–1541) różni się od barw na sklepieniu. Nie ma w nim wszechobecnej świetlistości, ale – po konserwacji – rozbłyska pełnym blaskiem

szat Matki Boskiej, malowanych prawdziwym lapis lazuli, i przede wszystkim słonecznym Chrystusem Sędzią. Oto koniec czasów ukazany jako kosmiczny wir, w którego centrum jaśnieje Chrystus – Słońce sprawiedliwości. Zarówno papież Klemens VII, który zamówił malowidło u Michała Anioła, jak i jego następcy, papież Paweł III (za jego pontyfikatu dzieło zostało wykonane), znali heliocentryczną teorię Kopernika. Jest wysoce prawdopodobne, że w Sykstyń mamy jej refleks.

W cytowanej już kilka razy homilii takie oto odnajdujemy słowa o centralnej postaci tej ogromnej, mającej 180 m², kompozycji: „Jest to Chrystus niezwykle. Ma w sobie jakieś antyczne piękno, w pewnym sensie nietypowe dla Jego tradycyjnych przedstawień malarskich”.

Karol Wojtyła w drodze do Sykstyń

Pomimo podjęcia wiekopomnej decyzji o konserwacji fresków Michała Anioła Jan Paweł II na ich temat tak w nauczaniu apostoelskim, jak i w swoich pismach bardzo długo się nie wypowiadał. I oto wreszcie w 16. roku pontyfikatu – 8 kwietnia 1994 r. – wygłosił tę niezwykłą homilię zatytułowaną „Kaplica Sykstyńska mówi o wielkości Boga”. Dwa lata przed śmiercią opublikował swój słynny

„Tryptyk” (2003); jego środkowa, najważniejsza część to rodzaj jedynego w swoim rodzaju dialogu poety i jednocześnie papieża teologa z genialnym artystą. Oto zawarte w nim wołanie, po którym następuje poetycka, odważna i nowatorska, interpretacja arcydzieła:

*Przyzywam ciebie, Michale Aniele!
Jest w Watykanie kaplica,
która czeka na owoc twego widzenia!
Widzenie czekało na obraz...
Wchodzimy, żeby odczytywać...*

Słowo „widzenie” – na co zwracali już uwagę znawcy poezji – jest tu kluczowe, ma podstawowe znaczenie w papieskiej interpretacji. Ma swoje źródło w tęsknocie – zawartej już w poematach Karola Wojtyły – za bezpośrednim ujrzaniem Boga. Sztuka Michała Anioła, z całym blaskiem jej kolorów i plastyczną wizją majestatu Stwórcy, ogromnie w tym pomaga, gdyż pomaga w „widzeniu” „Niewidzialnego”, który w „Tryptyku” tak oto jest określony:

*On [Stwórca]
Jest jak gdyby niewysłowiona prze-
strzeń, która wszystko Ogarnia*

W 1999 r., pomiędzy homilią z kwietnia 1994 r. a „Tryptykiem” opublikowanym w 2003 r., powstał wysublimowany, niemal monumentalny w swej objętości i głębi treści „List do artystów”, w którym o postaci Michała Anioła i jego malowidłach sykstyńskich jest również mowa. „Stąd – czytamy w nim – przemawia do nas Michał Anioł, który we freskach Kaplicy Sykstyńskiej zawarł niejako cały dramat i misterium świata, od stworzenia po Sąd Ostateczny, ukazując oblicze Boga Ojca, Chrystusa sędziego oraz człowieka przemierzającego trudną drogę od początków do kresu dziejów”.

Jaka była droga Karola Wojtyły do Rzymu i do Kaplicy Sykstyńskiej, w której 16 października 1978 r. (co jest w „Tryptyku” pięknie przypomniane) został wybrany na tron św. Piotra? O studiach na papieskim Uniwersytecie Angelicum w Rzymie, w latach 1946–1948, czytamy w autobiograficznej publikacji „Dar i Tajemnica”, wydanej w 1996 r., w 50. rocznicę święceń kapłańskich. Jeszcze przed wyjazdem do Wiecznego Miasta usłyszał od jednego ze swoich profesorów w seminarium, żeby myślał nie tylko o doktoracie, lecz także poznawał Rzym, co młody ksiądz ogromnie wziął sobie do serca. „Systematycznie zwiedzaliśmy Rzym pod kierunkiem wytrawnych znawców jego historii i zabytków... uczyłem się Rzymu: Rzymu katakumb, Rzymu męczenników, Rzymu

Piotra i Pawła, Rzymu wyznawców... poprzez Rzym moje młode kapłaństwo wpięsało się w jakiś nowy wymiar europejski i uniwersalny” – czytamy w autobiografii. A potem w latach 60. było Jego uczestnictwo w II Soborze Watykańskim, nabożeństwa w Kaplicy Sykstyńskiej i biret kardynalski z rąk Pawła VI w 1967 r. Sobór był dla przyszłego papieża ogromnie ważny, także dlatego, że są w jego ustaleniach odniesienia do roli sztuki. Jan Paweł II pisze o tym w „Liście do artystów” i dodaje taką oto myśl: „W tym świetle [docenienia dzieł sztuki] nie budzi zdziwienia teza o. Marie Dominique Chenu, że również historyk teologii nie wykonałby w pełni swojego zadania, gdyby nie poświęcił należytej uwagi dziełom sztuki, zarówno literackim, jak i plastycznym, które na swój sposób są »nie tylko estetycznymi ilustracjami, ale prawdziwymi źródłami teologicznymi«”.

Można odnieść wrażenie, że Jan Paweł II długo dojrzewał do tego, żeby zabrać głos w sprawie Sykstyń, odbyć rodzaj dialogu z Michałem Aniołem. Zapewne ten dialog toczył od dawna, ale zapisanie go prozą i wierszem wymagało czasu. Doszło do tego, gdy „widzenie” – niegdyś „jak przez okopcone szkło” – stało się w pełni możliwe po konserwacji wszystkich fresków sykstyńskich Michała Anioła. W międzyczasie była kanonizacja Brata Alberta (1989), którego twórczość malarska (m.in. malowanie „Ecce Homo”) skierowała na drogę posługiwania biednym, i beatyfikacja innego malarza – Beato Angelico – który w 1992 r. stał się oficjalnie błogosławionym. Marek Skwarnicki w przedmowie do wydania „Tryptyku” pisze, że Jan Paweł II wyznał mu w czasie jednej z rozmów, iż „Kaplica Sykstyńska odegrała wielką rolę w całym Jego życiu”. Papież myślał nie tylko o pamiętnym konklawe, lecz również o freskach Michała Anioła i wszystkim, co w nich „widział”. Pierwszy odważył się dotknąć kontrowersji, kwestii nagości w obrazowaniu prawd wiary w Sykstyń, i oto powstały arcydzieła – homiletyki i poezji – na temat dzieł genialnego artysty. Tylko niewielu najwytrawniejszych badaczy próbowało wniknąć w złożoną teologię fresków Sykstyń.

Jana Pawła II czytanie Sykstyń

W monografii Michała Anioła pióra Władysława Kozickiego czytamy: „Freski Michała Anioła w Sykstyńskiej Kaplicy są dziełem tak olbrzymich rozmiarów,



Wręczenie kluczy św. Piotrowi, fragment fresku Pietra Perugina na ścianie bocznej kaplicy Sykstyńskiej, grudzień 2019 r.

a treść ich myślowa otwiera takie oceaniczne głębie, że trudno się pokusić o podkreślenie całej ich wielkości [...]. Aby się z tego zadania godnie wywiązać, trzeba by [...] należeć do umysłów najwyższych, sięgających do zawrotnych wyżyn, na których geniusz twórcy samotnie przebywał. Z filozoficzną bystrością musiałby iść w parze polot i przepych poetycznego słowa”.

I oto pojawił się taki umysł. W słowach Jana Pawła II o freskach Sykstyń nie ma przepychu, ale jest głębia myśli, głęboka wiedza teologiczna i poetycki polot. Zarówno sceny na sklepieniu, jak i na ścianie ołtarzowej zyskują entuzjastyczną pochwałę nie tylko za powszechnie docenianą formę artystyczną, lecz przede wszystkim za teologiczną głębię. W pamiętnej homilii odnajdujemy genialne, niezwykle treściwe zdanie: „Kaplica Sykstyńska jest – jeśli tak można powiedzieć – sanktuarium teologii ludzkiego ciała. Jeśli świadczy o pięknie człowieka stworzonego przez Boga mężczyzną i niewiastą, to w tym świadectwie wyraża też w jakiś sposób nadzieję świata przemienionego, przemienionego wraz z Chrystusem zmartwychwstałym, a przedtem jeszcze na górze Tabor”. Niezwykła, przez niewielu tylko badaczy dostrzeżona jest interpretacja wielowatkowości „Sądu Ostatecznego” Michała

Anioła. Dla Jana Pawła II, który dobrze znał takie wielowątkowe kompozycje w apsydach kościołów wczesnochrześcijańskich, jest to jednocześnie scena Przemienienia i Zmartwychwstania. Oto swoista suma teologiczna zawarta na ścianie ołtarzowej najważniejszej kaplicy chrześcijaństwa.

Papież nie waha się też mówić, pomimo istniejącej od początku do dzisiaj kontrowersji wokół nagich postaci w „Sądzie Ostatecznym”, o świętości ludzkiego ciała, o kaplicy papieskiej jako o sanktuarium tego ciała. To ciało jest uświęcone, bo powołane przez Stwórcę na Jego obraz i podobieństwo. Jan Paweł II myśli jak teologowie epoki renesansu, dla których Wcielenie, Objawienie się Boga w ludzkiej postaci było największym wydarzeniem w dziejach świata. Dlatego Chrystus sędzia ma niezwykle, antyczne piękno a Bóg Ojciec – czytamy wersy „Tryptyku”:

Jest Wszechmocnym Starcem – Człowiekiem podobnym do stwarzanego Adama.

Obok wątku Inkarnacji/Wcielenia powraca jakże ważny w „Tryptyku” temat „widzenia” i „widzialności”:

wizja ostatecznego Sądu.

Jak uczynić widzialnym, jak przeniknąć poza granice dobra i zła?

Początek i kres, niewidzialne, przenikają do nas z tych ścian!



**RAFAŁ
ŁATKA**

Biurowa Badań
Historycznych
IPN

W KRĘGU KLIO

W trosce o cywilizację zachodnią i Polskę. Nowości Białego Kruka

Wojciech Roszkowski, „Bunt barbarzyńców. 105 pytań o przyszłość naszej cywilizacji”, Kraków 2020
Krzysztof Ożóg, Adam Bujak, „Narodziny potęgi. Dziedzictwo Kazimierza Wielkiego”, Kraków 2020

Wydawnictwo Białe Kruki od wielu lat zajmuje ważne miejsce na polskim rynku wydawniczym. Wydaje nie tylko książki o charakterze religijnym, katolickim, lecz również cenne publikacje historyczne na czele ze wspaniałym wielotomowym dziełem prof. Andrzeja Nowaka, czyli „Dziejami Polski”. Krakowska oficyna słynie także z wielu innych wartościowych publikacji dotyczących szeroko rozumianego polskiego patriotyzmu oraz sporów o kształt cywilizacji zachodniej. W tej drugiej kwestii warto wspomnieć o książce prof. Wojciecha Roszkowskiego zatytułowanej „Roztrzaskane lustro”, w której autor poszukuje źródeł kryzysu europejskiej tożsamości. Dodać można także inne prace odnoszące się do tej tematyki, by wspomnieć tylko dzieła dotyczące prawdziwego charakteru Unii Europejskiej (autorstwa Krzysztofa Szczerskiego) czy George’a Sorosa (Andreasa von Rétyi).

Wśród ostatnio wydanych książek Białego Kruka chciałbym zwrócić szczególną uwagę czytelników na dwie ważne po-

zycje. Pierwsza to publikacja wspomnianego już wyżej prof. Roszkowskiego będąca kontynuacją jego rozważań o stanie cywilizacji zachodniej. W książce „Bunt barbarzyńców” warszawski historyk odpowiada na 105 w jego przekonaniu najważniejszych pytań o przyszłość naszego kręgu kulturowego. Analizę przeprowadza, prezentując refleksje szeroko nawiązujące do dziejów Europy, sposobu kształtowania się jej tożsamości oraz zwraca uwagę na jej główne fundamenty: filozofię grecką, rzymskie prawo oraz chrześcijaństwo. Autor nawiązuje do refleksji podjętej w wydanym rok wcześniej „Roztrzaskanym lustrze”, ale uzupełnia ją o nowe ważne wątki. Książkę W. Roszkowskiego uważam za obowiązkową dla każdego, kto chce poznać, dlaczego cywilizacja zachodnia znalazła się w kryzysie oraz jakie prądy ideowe najbardziej się do tego przyczyniły (liberalizm, komunizm, neomarksizm). Szczególnie cenne jest to, że autor nie ogranicza się do opisu zastanej rzeczywistości, lecz również prezentuje receptę, co należy uczynić, by mieszkańcy naszego kontynentu przebudzili się z cywilizacyjnego

letargu. Mimo widocznego ogromnego kryzysu Roszkowski wskazuje na pewne oznaki przebudzenia, jak choćby wzrastający krytyczny stosunek do unijnej biurokracji.

Drugą pracą wydaną niedawno przez Białego Kruka, na którą warto zwrócić uwagę, jest książka „Narodziny potęgi. Dziedzictwo Kazimierza Wielkiego”. Jest to wspólne dzieło znanego mediewisty prof. Krzysztofa Ożoga i świetnego fotografa Adama Bujaka. Publikacja w syntetyczny sposób przybliża to, co nasza ojczyzna zawdzięcza królowi Kazimierzowi Wielkiemu. Należy podkreślić, że opisano tu nie tylko polityczne sukcesy najwybitniejszego chyba monarchy piastowskiego (m.in. trzykrotny wzrost terytorium za jego panowania), lecz także jego wkład w gospodarkę, prawo, organizację wojska i fortyfikacji, fundacje kościołów oraz uniwersytetu w Krakowie. Za szczególnie cenną część książki uważam rozważania dotyczące gospodarczych sukcesów króla Kazimierza na czele z doskonałą organizacją handlu solą jako jedną z podstaw finansowej potęgi państwa. Równie interesująco przedsta-



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

AUTOPROMOCJA



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

AUTOPROMOCJA

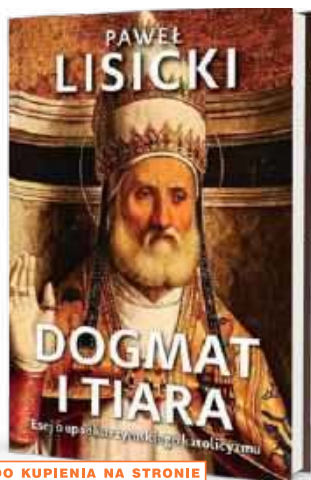
wiono działania monarchy zmierzające do wzmocnienia militarnej siły naszej ojczyzny, zarówno w zakresie ogromnego postępu w budowie fortyfikacji, zamków, jak i poprawy modelu funkcjonowania armii. Warto podkreślić, że książka jest

opatrzona doskonałymi materiałami ikonograficznymi na czele ze zdjęciami A. Bujaka. Bardzo dobrze ilustrują one treść merytoryczną i pozwalają wyobrazić sobie, jak wiele panowanie Kazimierza Wielkiego zmieniło w rzeczywistości

państwa rządzonego przez Piastów. Nie jest przypadkiem, że to właśnie wtedy powstały nie tylko piękne zamki, lecz również imponujące swoim rozmachem świątynie, będące dzisiaj skarbami polskiej architektury.

Paweł Lisicki, „Dogmat i tiara. Esej o upadku rzymskiego katolicyzmu”, Warszawa 2020, Fronda

Paweł Lisicki od wielu lat należy do ścisłej czołówki polskich publicystów, eseistów zajmujących się historią Kościoła katolickiego. Do szczególnie cennych jego publikacji możemy bez wątpienia zaliczyć: „Kto zabił Jezusa”, „Krew na naszych rękach”, „Dżihad i samozagłada Zachodu”, „Luter. Ciemna strona rewolucji”. Każda z tych prac przynosi cenne refleksje – wkład do naszej wiedzy – oraz przybliża nieznane szerszemu kręgowi odbiorców fakty i wydarzenia opatrzone wnikliwymi komentarzami redaktora naczelnego „Do Rzeczy”. Nie inaczej jest w przypadku najnowszej publikacji zatytułowanej „Dogmat i tiara”. Lisicki w całościowy sposób przedstawia źródła już nie tylko kryzysu, lecz i upadku Kościoła rzymskokatolickiego. Zwraca uwagę na kluczowy element tego procesu, czyli upadek dogmatu jako czegoś niekwestionowanego i niepodważalnego. Opisuje także, jak do jego rozmontowania przyczynili się kolejni po Piusie XII papieże. Szczególną rolę w nim odegrali: Jan XXIII i Paweł VI będący cichymi zwolennikami modernizmu w Kościele. Równie ważne są rozważania autora dotyczące przebiegu kariery kard. Josepha Ratzingera i jego ewolucji. Lisicki prostuje wiele błędnych przekonań na temat kształtowania się poglądów przyszłego papieża Benedykta XVI. Kluczową i przekonującą udowodnioną tezę przedstawianą w książce jest to, że Sobór Watykański II był momentem, w którym modernści zdobyli w Kościele katolickim przewagę, często posługując się w tym celu metodami niegodnymi duchownych, a charakterystycznymi dla świata polityki. Efektem tego zjawiska było wprost zanegowanie wyjątkowości religii katolickiej oraz jej najważniejszych zasad i dogmatów. Lisicki trafnie podkreślił, że „punktem zwrotnym była rezygnacja z jasnego wypowiedzenia własnej doktryny oraz rezygnacja z próby »narzucenia« światu tych najważniejszych praw, których należy przestrzegać”. Efekty takiego pojmowania roli Kościoła widać najlepiej tam, gdzie „duch Soboru” był najszerzej wprowadzany, czyli w Belgii, Holandii i we Francji. W tym ostatnim państwie wyświęca się 10–15 proc. kapłanów w stosunku do sytuacji przed Soborem.



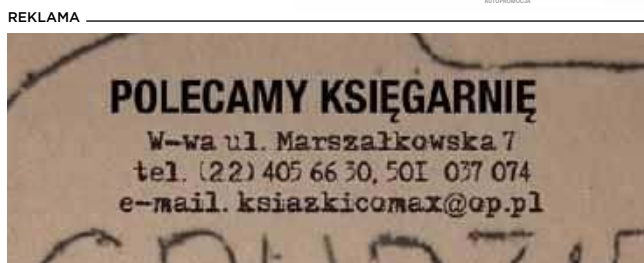
DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

„Najbardziej tajemniczy kraj świata. Związek Sowiecki w fotografiach i tekstach Julienu H. Bryana 1930–1959 / The Most Mysterious of Countries. The Soviet Union in the Photographs and Writings of Julien H. Bryan 1930–1959”, redakcja naukowa Tomasz Stempowski, Warszawa 2020, IPN

Institut Pamięci Narodowej opublikował niedawno dzieło wyjątkowe – dwujęzyczny album zawierający fotografie Julienu Bryana z jego wielokrotnych wyjazdów do Związku Sowieckiego, odbywanych na przestrzeni prawie trzech dziesięcioleci. Są to zdjęcia unikatowe pod dwoma względami. Po pierwsze, żaden inny fotograf z zachodniego kręgu kulturowego (a przynajmniej nic o tym nie wiemy) nie wykonał tylu ujęć prawdziwej rzeczywistości „Kraju Rad” ile Bryan. Po drugie, dzięki wielu swoim podróżom był w stanie przedstawić, jak zmieniały się miejsca, które wcześniej odwiedził, oraz zachować ten obraz dla następnych pokoleń i badaczy. Kluczowe jest także uchwycenie dnia codziennego obywateli sowieckiego państwa. Ważnym uzupełnieniem zdjęć są refleksje poczynione przez fotografa odnoszące się do poszczególnych wyjazdów oraz samych zdjęć, zwłaszcza gdy chodzi o tak egzotyczne miejsca jak Buriacja czy inne słabo wyeksplorowane tereny Syberii. Publikacja „Najbardziej tajemniczy kraj świata” byłaby jednakże niezrozumiała dla przeciętnego odbiorcy bez wnikliwego szczegółowego opracowania i wstępu przygotowanych przez Tomasza Stempowskiego. Autor ten precyzyjnie opisał okoliczności wyjazdów Bryana, tego jak wiele mógł zobaczyć (niezbyt dużo i niemal zawsze pod kontrolą władz) oraz jak przygotowane przez siebie materiały ów podróżnik i filmowiec wykorzystywał do celów zarobkowych. Wstęp Stempowskiego nie tylko kompetentnie przybliży sposób, w jaki powstały zdjęcia w albumie, lecz również osadza je w szerokim kontekście historycznym zmian w polityce Związku Sowieckiego.



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL



Rafał Łatka rozmawia z...

...dr. **Danielem Gucewiczem**, współautorem książki „Grudniowa Kolęda.

Kościół katolicki w Trójmieście wobec Grudnia '70"

Właśnie ukazała się nowa książka poświęcona wydarzeniom Grudnia 1970 r., którą napisał pan z Piotrem Abryszeńskim. Co wnosi nowego do refleksji nad wydarzeniami sprzed 50 lat?

Daniel Gucewicz: Przede wszystkim wykorzystujemy nowe źródła, głównie kościelne, dotąd mało lub w ogóle nieznane. Dzięki temu możemy poznać obraz wydarzeń z innej niż dotychczas perspektywy, mówiąc obrazowo, od strony zakrystii. Staraliśmy się dogłębnie przebadać zagadnienie i zweryfikować funkcjonujące twierdzenie, że Kościół zachował daleko idącą powściągliwość. Brzmi to niemal jak oskarżenie, że nie poparł słusznych przecież protestów robotniczych, i się z tym nie zgadzamy. Skupiamy się jednak przede wszystkim na samym Trójmieście, choć oczywiście przedstawiamy ogólne stanowisko episkopatu. Myślę, że zweryfikowaliśmy też inne twierdzenie, iż w szeroko pojętym Grudniu robotnicy nie wysuwali postulatów dotyczących Kościoła. Tak nie było, czego najlepszym przykładem jest sprawa budowy świątyni na gdańskim Przymorzu, podniesiona nawet na spotkaniu stoczniovców z Edwardem Gierkiem. Do pewnego stopnia nowym, szczegółowo opisanym wątkiem jest kwestia dramatycznych nocnych pogrzebów ofiar pacyfikacji, które odbywały się z udziałem księży. Dotąd ich nazwiska i okoliczności zatrudnienia do tej przykłej powinności były zasadniczo nieznane. Ze wszystkich takich pochówków na Wybrzeżu gdańskim 18–21 grudnia 1970 r. tylko jeden odbył się w zgodzie z przepisami kościelnymi, choć niezgodnie z tradycją, bo wieczorem, po godzinie milicyjnej.

Zatem Kościół katolicki nie opuścił swoich wiernych na Wybrzeżu w potrzebie? Zdecydowanie tak. Kapłani organizowali specjalne nabożeństwa w intencji poległych, a podczas wizyt duszpasterskich,

czyli tytułowej grudniowej kolędy, wspierali parafian duchowo i moralnie. Była to niedostrzegalna na pierwszy rzut oka działalność, ale jakże istotna dla wielu ludzi. Duchowni pomagali też materialnie w ramach działań charytatywnych. Co istotne, w lutym 1971 r. Kościół przeprowadził ogólnopolską zbiórkę na rzecz rodzin zabitych i innych poszkodowanych.

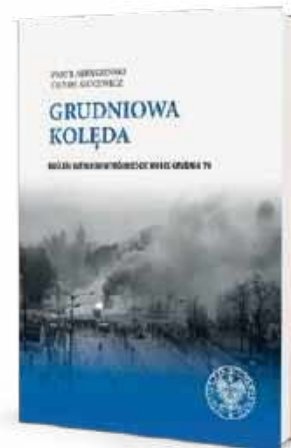
Jak ocenia pan postawę hierarchii kościelnej wobec Grudnia '70? Pytam zarówno o biskupów z Wybrzeża, jak i cały episkopat?

Zamiast wspomnianej już powściągliwości bardziej pasują tu określenia „ostrożność” i „realizm”. Biskupi nazywali rzeczy po imieniu, w listach pasterskich mówili o ulicach, po których spłynęła bratnia krew. Wytykali błędy systemu i wskazywali nowym przywódcom państwa, co należy poprawić. Trudno sobie wyobrazić, aby hierarchia, ale i zwykli księża, wzywali ludzi do walki, do kontynuowania protestów. Mogłoby się to równać eskalacji konfliktu i powiększeniu liczby ofiar, która zresztą była niewiadoma – mówiło się o setkach i tysiącach zabitych. Komuniści udowodnili przecież, że nie cofną się przed niczym, aby zaprowadzić porządek. Co więcej, groźba interwencji zewnętrznej wcale nie była jakimś science fiction. Przecież półtora roku wcześniej dotknęła Czechosłowację. W takim momencie potrzebne było działanie tonujące nastroje, dzięki czemu można było wykorzystać osłabienie komunistów. Ostatecznie wycofali oni podwyżkę, rozpoczęli zmiany ekonomiczne, zmodyfikowali politykę wyznaniową.

Grudzień '70 na Wybrzeżu kojarzy nam się z dwoma duchownymi: ks. Hilarym Jastakiem i ks. Henrykiem Jankowskim. Dlaczego bardziej powinniśmy pamiętać o tym pierwszym?



Nie jestem zwolennikiem sprowadzania postawy całej grupy do jednego czy dwóch nazwisk, bo to zawęża problem i mogłoby dowodzić, że tylko oni byli wówczas aktywni, co jest nieprawdą. Wymieniona dwójka faktycznie dała się poznać jako jedni z najbardziej zaangażowanych w pomoc poszkodowanym, w upamiętnianie Grudnia i jego ofiar. Obaj mieli kontakt z prymasem Wyszyńskim, któremu relacjonowali przebieg wydarzeń. Różnice w ocenie obu kapłanów pojawiają się później, ponieważ ks. Jankowski stworzył mit o swoim udziale w wydarzeniach, nawet w nocnych pochówkach, o tym, że dopiero Grudzień '70 przyczynił się do odbudowy kościoła św. Brygidy. Tak nie było, co nie umniejsza jego zasług z tamtego okresu.



Wielkie pionierskie podróże antyku



**MICHAŁ
KARPOWICZ**

Niemiecki archeolog Raimund Schulz nie przypadkiem dał swojej książce tytuł „Łowcy przygód w dalekich krajach”. Nie jest to jednak powieść jak spod pióra Juliusza Verne’a, ale praca rzetelnego badacza świata antycznego.

„Akcja” książki rozgrywa się na przestrzeni blisko tysiąca lat – od czasów, gdy Odyseusz i Fenicjanie przemierzali z mieczem z brązu u pasa dostępne sobie akweny, do czasów gdy niemal sto lat po Chrystusie Rzymianie, z żelazną już bronią, kontaktowali się z Chińczykami. Miejsce „akcji” to szerokie obszary wokół Morza Śródziemnego.

Spotykamy więc najpierw Greków, gdy z przywołanym już Odysem pływają po morzach, szukając terenów do ekspansji, ale też okazji do doświadczenia rzeczy niezwykłych, do zaspokojenia głodu wiedzy, do przeżycia dreszczyku emocji, do poznania świata. Ale powstrzymując nasze zapędy, autor uprzedza: „W wyprawach żeglarzy i lądowych ekspedycjach okresu archaicznego manifestowała się ciekawość, gotowość podejmowania ryzyka i uczenia się, jednak antykowi w dużej mierze obce było nowożytne pragnienie, by osiągnąć biegun północny czy szczyt Himalajów z samej chęci dotarcia do nich. Wyruszający w podróż realizowali strategiczne cele, zawsze zależne od politycznych i gospodarczych koniunktur”.

Starożytni byli praktyczni. Może właśnie dzięki temu Raimund Schulz miał tak duży materiał do opisanie.

Autor zaczyna od Greków, których znajduje na Spitsbergenie, na Syberii, na Atlantyku. Dalej śledzi Fenicjan wpływających do rzeki Senegal i handlujących w Timbaktu.

Z Persami, a potem Aleksandrem Macedońskim, dociera do Indii. Towarzyszy Rzymianom sprowadzającym jedwab z Chin, przemierzającym szkockie góry i szukającym źródeł Nilu. Na czele każdej takiej wyprawy stoją śmiałkowie, których Juliusz Verne na pewno uczyniłby bohaterami swoich powieści, gdyby miał szansę czytać pracę Schulza.

Ta pokaźna, zbudowana z ośmiu części książka kusi nas i zwodzi. Jest bowiem jedną z tych, które bierze się wieczorem, „bo ładna okładka”, otwiera, by rzucić okiem na kilka stron, i wraca do rzeczywistości nad ranem, kiedy do przeczytania zostały już tylko indeksy, przypisy i bibliografia. Te z górą 400 stron to nasza, czytelników, przygoda. ■

Raimund Schulz, „Łowcy przygód w dalekich krainach. Wielkie pionierskie podróże i wiedza antyku o świecie”, Państwowy Instytut Wydawniczy 2020



Skąd ta forsa?



**GABRIELA
SIEROCIŃSKA-
DEC**

Pieniądze są nieodzownym elementem naszej codzienności. Towarzyszą człowiekowi od dawna. Nic więc dziwnego, że miały wpływ na wiele wydarzeń i nie małą rolę odegrały w życiu wielu postaci historycznych. Monety czy banknoty bywają też bohaterami powieści, filmów, a także literatury dla młodzieży.

Wokół nich toczy się akcja lub stają się pretekstem do wprowadzenia innych, szerszych tematów. Tak właśnie dzieje się w jednej z opowieści z serii „Ale historia...” – książce Grażyny Bąkiewicz „Kazimierz, skąd ta forsa?”.

Czytelnik trafia ponownie do szkoły, w której historii uczy ekscentryczny pan

Cebula. Dzięki jego ławkom uczniowie przenoszą się w czasie i podczas wypraw do przeszłości doświadczają na własnej skórze tego, co działo się kiedyś, przy okazji pogłębiając wiedzę związaną z tematem danej lekcji. Przez opowieść prowadzi nas tym razem 12-letnia Zuza, która ma mnóstwo marzeń, lubi historię i niecierpliwie czeka na kolejne lekcje oraz czasoprzestrzenne podróże.

A jaki temat zgłębiają uczniowie? Po skorzystaniu z ławkowego wehikułu czasu trafiają do Polski pod panowaniem Kazimierza Wielkiego. Mają o nim mętne pojęcie – gdzieś w głowach kojarzy im się powiedzenie o Polsce drewnianej i murowanej. I niewiele więcej. Tuż przed naciśnięciem przycisków dowiadują się, że trafiają do czasów, w których nastąpił rozwój państwa polskiego, powstały nowe miasta i zbudowano wiele zamków. Skąd król miał na to pieniądze? – takie pytanie stawia swoim uczniom profesor Cebula i wysyła klasę, podzieloną na dwie grupy, w przeszłość.

Zuza wraz z koleżankami trafia do średniowiecznego Gniezna, skąd próbuje się przedostać do Krakowa. Droga jest pełna przygód i niespodziewanych zwrotów akcji, bo spotykają zbójców, rycerzy, kupców, a nawet alchemika. W pewnym momencie uczniowie docierają także na królewski dwór.

Poza warstwą fabularną książki mamy tu sporo dygresji, wtrąceń i pełnych humoru komiksów. Dodatkowe materiały pokazują kontekst wydarzeń, tłumaczą pewne zjawiska, objaśniają trudne słowa, a przede wszystkim wprowadzają sporo ciekawostek pozwalających młodemu czytelnikowi na lepsze zrozumienie ówczesnej rzeczywistości. Czy uzyska odpowiedź na tytułowe pytanie? Zachęcam do sięgnięcia po książkę i sprawdzenia. ■

Grażyna Bąkiewicz, „Kazimierz, skąd ta forsa?”, Nasza Księgarnia; Wiek: 10+



OŁTARZ W MUZEUM

WOJENNE LOSY OŁTARZA MARIACKIEGO

KATARZYNA ZIELIŃSKA

Ołtarz mariacki, czyli ołtarz Zaśnięcia Najświętszej Marii Panny, autorstwa przybyłego z Norymbergi rzeźbiarza Wita Stwosza (ok. 1448–1533) został wykonany w latach 1477–1489 dla bazyliki Mariackiej w Krakowie. Retabulum ufundowała rada miasta, gdy po trzęsieniu ziemi w 1442 r. w kościele runęło sklepienie, niszcząc dotychczasowe wyposażenie prezbiterium. Ta największa gotycka nastawa ołtarzowa Europy ma formę pentaptyku i mierzy 11 m wysokości oraz 13 m szerokości. Składa się na nią ponad 200 figur wykonanych z drewna lipowego, polichromowanych i złoczonych, z czego największe rzeźby sięgają prawie trzech metrów wysokości.

Na kilku fotografiach z zasobu Narodowego Archiwum Cyfrowego widzimy ołtarz w zaskakującym anturażu świeckiego wnętrza. Z opisu zdjęć dowiadujemy się, że w 1941 r. prezentowany był na wystawie monograficznej Wita Stwosza w Muzeum Cesarza Fryderyka w Berlinie. Jak do tego doszło?

W przededniu II wojny światowej

W obliczu zbliżającego się widma niemieckiej agresji na Polskę powstała oddolna inicjatywa zabezpieczenia gotyckiego arcydzieła. Koncepcja ukrycia ołtarza ograniczała się do warstwy dekoracyjnej, a zatem figur, płaskorzeźb i ornamentów. Z uwagi na imponujące gabaryty szafy ołtarzowej zdecydowano pozostawić ją w świątyni i w miarę możliwości sprawić, by nie przyciągała uwagi. Finalnie efekt ten osiągnięto poprzez zamknięcie skrzydeł i zawieszenie dywanów w miejscach, które dotąd zajmowały płaskorzeźby. Rozmontowanie retabulum zostało przeprowadzone dopiero w dniach 25–26 sierpnia 1939 r.



Poważnym wyzwaniem przy demontażu retabulum było bezpieczne ściągnięcie ogromnych figur z górnej i środkowej części nastawy. Pomyślną realizację tego zadania ułatwiło odnalezienie na strychu fary drewnianego wału korbowego, który okazał się... oryginalnym XV-wiecznym urządzeniem, wykorzystywanym przez Wita Stwosza przy ustawianiu ołtarza. Po odłączeniu figur od konstrukcji ołtarza przepasane sznurem

rzeźby opuszczono za pomocą średnio-wiecznej maszyny na posadzkę.

W nocy z 28 na 29 sierpnia 1939 r. Karol Estreicher, krakowski historyk sztuki, wyruszył galarem do Sandomierza wraz z 30 skrzyniami. Nie przypuszczano, że wojna wybuchnie tak szybko, toteż planowano wyekspediowanie dalej ołtarza drogą wodną do Gdańska, a następnie przewiezenie go do portu w Gdyni, skąd



Fragment rzeźby Wita Stwosza z ołtarza Zaśnięcia NMP w kościele Mariackim w Krakowie, 1940 r.

mógłby zostać wysłany statkiem do Szwecji lub innego kraju zachowującego neutralność. Jak wiadomo, nigdy nie udało się zrealizować tego scenariusza.

Tymczasem Estreicher dotarł do Sandomierza 1 września 1939 r., nie uniknąwszy niemieckiego ostrzału z powietrza. Szczęśliwie cenny ładunek nie ucierpiał. Po przybyciu do Sandomierza skrzynię złożono w Diecezjalnym Seminarium Duchownym, poza kilkoma największymi, które ukryto w sandomierskiej katedrze.

Odnalezienie ołtarza przez Niemców

5 września 1939 r. Niemcy wkroczyli do Krakowa. Niemal natychmiast zorientowali się, że szafa ołtarza mariackiego stoi pusta. Równocześnie odkryli dwa z trzech krakowskich schowków mieszczących drobne elementy rzeźbiarskie. W wyniku intensywnych przesłuchań i poszukiwań z udziałem Rudolfa Weismann – znanego z okrucieństwa szefa Gestapo z Zakopanego, SS dowiedziało się o miejscu prze-

chowywania figur ołtarzowych. Rzeźby najpierw przewieziono do Krakowa, wyruszyły kolumną samochodów do Berlina. Tam zostały złożone w Skarbcu Banku Rzeszy.

Losy ołtarza na terenie III Rzeszy

Informacja o tym błyskawicznie dotarła do Norymbergi, gdzie tamtejszy burmistrz, generał SS Willi Liebl, bezzwłocznie rozpoczął starania o pozyskanie figur do rodzinnego miasta Wita Stwosza. Wystosowane zostało pismo do Alberta Speera, generalnego inspektora budowlanego stolicy Rzeszy, z prośbą o zgodę na transport i złożenie rzeźb w nowoczesnym schronie wykutym w skale Góry Zamkowej. Sprawę rozpatrzył osobiście Adolf Hitler, który zgodził się na przewiezienie figur do Norymbergi; co więcej, nakazał, aby dostarczono tam także szafę ołtarzową pozostającą w kościele Mariackim w Krakowie.

Zgodnie z rozkazem Führera przystąpiono do demontażu szafy. Już w styczniu 1940 r. specjaliści z Berlina przeprowadzili rekonesans i pomiary obiektu. Trwające dwa tygodnie prace rozbiórkowe zakończył wyjazd rozczłonkowanej nastawy do Norymbergi 15 lub 16 marca 1940 r. Ładunek dotarł do celu szybciej niż figury z Berlina, które również drogą kolejową przywieziono do Norymbergi z końcem marca.

Miejscem finalnego ukrycia ołtarza mariackiego był nowoczesny schron wydrążony w Górze Zamkowej, zaadaptowany ze średniowiecznych piwnic, wykorzystywanych od XIV w. jako skład piwa. Od początku wojny piwnice pogłębiane i rozbudowano, wyposażając je w nowoczesne urządzenia klimatyzacyjne, awaryjne oświetlenie czy drzwi grubości metra ze skomplikowanym systemem zamków.

Władze niemieckie długo starały się zataić zarówno wywóz ołtarza na teren III Rzeszy, jak i miejsce jego przechowywania. Z czasem, kiedy wywóz nastawy do Rzeszy stał się faktem powszechnie znanym, utrzymywano, że retabulum trafiło do berlińskiego Muzeum Cesarza Fryderyka, w którym zresztą rzeczywiście pojawiło się w 1941 r. na wspomnianej wystawie monograficznej Wita Stwosza. Tymczasem członkowie Polskiego Państwa Podziemnego od samego początku mieli świadomość, gdzie docelowo trafiło gotyckie arcydzieło. Demaskacja nastąpiła już na etapie wysyłki szafy ołtarzowej – w dokumentacji transportowej figurowała bowiem firma spedycyjna właśnie z Norymbergi.

Rewindykacja ołtarza

„Norymberga, 14 listopada 1945, środa rano [...] Na dole pod zamkiem, wielkie żelazne drzwi za małym domkiem – nikt by się nie domyślił. Wejście do piwnicy. Są, stoją i jest ich całe mnóstwo. Posągi apostołów... Madonna... płaskorzeźby... wielkie wzruszenie”.

Tak opisał moment odnalezienia ołtarza Karol Estreicher. Kilka miesięcy zajęło mu zidentyfikowanie 2 tys. fragmentów gotyckiego retabulum, leżących pośród dziesiątków innych średniowiecznych rzeźb złożonych przez Niemców do schronu.

30 kwietnia 1946 r. pociąg z gotyckim arcydziełem dotarł do Krakowa. Na peronie orkiestra zagrała „Mazurka Dąbrowskiego”.

Sieć Przyjaciół



JEDNA SUBSKRYPCJA - TRZY TYTUŁY

SIECI + **wSIECI HISTORII** + **wPolityce.pl**

• czasopisma w wersji cyfrowej (pdf) • archiwum wydań od 2017 r. • dostęp do strefy Premium portalu

1 miesiąc
TYLKO

9⁹⁹
zł

ZAMÓW JUŻ DZIŚ: www.SiecPrzyjaciol.pl

DZIEWCZYNA Z RYSUNKÓW GROTTGERA



Helena
z Dzieduszyckich
Pawlikowska

ARTUR GROTTGER CHĘTNIE ODWIEDZAŁ DOM PAŃSTWA DZIEDUSZYCKICH W KRAKOWIE I RYSOWAŁ ICH CÓRKĘ HELENĘ ZACHWYCONY JEJ URODĄ. W PAMIĘTNIKU POD DATĄ 23 STYCZNIA 1854 r. NAPISAŁ: „O BOŻE, DLACZEGOŚ TY TAK PIĘKNĄ STWORZYŁ TĘ HALKĘ? O ILEŚ TY JEJ UDZIELIŁ SWEJ BOSKIEJ URODY!”. BYĆ MOŻE JEJ RYSY NADAŁ TEŻ POSTACIOM ZE SWOICH POWSTAŃCZYCH CYKLI. JEŚLI TAK, NIE MÓGŁ ZNALEŹĆ LEPSZEGO IDEOWO KOBIECEGO WZORU



JOANNA
PUCHALSKA

Adorowana przez malarza hrabianka Helena Dzieduszycka poślubiła Mieczysława Gwałberta Pawlikowskiego, poetę, pisarza i publicystę, który znał Adama Mickiewicza, przyjaźnił się z Cyprianem Kamilem Norwidem i gościł u siebie Kornela Ujejskiego. Miała z nim dwóch synów: Jana Gwałberta (teścia Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej) i Tadeusza (reżysera i dyrektora teatrów). Po ślubie państwo młodzi zamieszkali w Medyce, w pałacu przepojonym historyczno-literacko-artystycznymi tradycjami i umiłowanym polskiej historii. Właścicieli Medyki – także ze względu na ich mecenat wobec zdolnych twórców – nazywano „Medyceuszami spod Przemysła”.

Już przed wybuchem powstania styczniowego w domu Pawlikowskich gromadzono broń, amunicję, szarpie, żywność, obmyślano strategię. Przez pałac przewinęły się takie postacie jak Józef Wysocki i Leon Czechowski, a słynny płk Marcin Borelowski ps. Lelewel formował tu swój oddział. Dzięki Helenie Pawlikowskiej ochotnicy wychodzili stąd zaopatrzeni we wszystko, czego trzeba.

Zapamiętała, jak w momencie takiego wymarszu pewna matka przywiozła trzech synów, prosząc, aby ich przyjęto do oddziału. Administrator medycznej parafii i duchowy opiekun oddziału ks. Wojciech Michna – który sam chętnie by z nimi poszedł, tylko suknia duchowna go wstrzymywała – prosił, żeby choć najmłodszego zabrała z powrotem. Nic z tego. Chłopcy rwali się do walki, a matka ich błogosławiła. Kiedy zniknęli z oczu – padła zemdlona.

Pocziwa praca dla Ojczyzny

Po odejściu powstańców pani Pawlikowska nadal zbierała dla nich wszystko oprócz broni, a więc pieniądze, bieliznę,

obuwie, suchy bulion, suchary i wędliny. Wspomagały ją sąsiadki. Jedna z nich, choć niebogata, przysłała osiem krów na mięso. Zapasy te, podobnie jak fundusze zebrane od ofiarnych obywateli oraz amunicję, pani Helena wysyłała lub sama woziła do partii, co odbywało się bez przeszkód, póki Austriacy udawali, że sprzyjają powstaniu. Raz wyruszyły z taką misją razem z panią Krasnopolską. Miały też dostarczyć konia dla walczącego w powstańczych szeregach Węgra, hrabiego Edwarda Nyáry. Siwek wprężony między konie, z którymi nigdy nie chodził, spowodował wywrócenie powozu. Panie wyszły bez szwanku, lecz dopiero późną nocą dostawiły cenny ładunek i konia do umówionego dworu, skąd przekazano to wszystko dalej. Dzielnym rotmistrzem kawalerii hrabia Nyáry wkrótce zginął pod Panasówką, a kilka dni później pod Batorzem poległ „Lelewel”.

Mieczysław Pawlikowski, o konspiracyjnym pseudonimie Miecz Pająk, był pomocnikiem komisarza Rządu Narodowego w Galicji Wschodniej i naczelnikiem policji narodowej we Lwowie.

Wiele przebywał poza domem, a żona zostawała w Medyce z dziećmi. Nie miała żalu, wiedziała, że tak trzeba. W maju 1863 r. napisała do teściowej: „Smutno mi, ale niech Mamcia nie myśli, bym się na Mieczą gniewać miała. On tak robi, jak robić powinien, przed Polską wszystko w kąt iść powinno. Ona zawsze pierwszą być winna w sercu Polaka, toż moją największą chlubą, największym szczęściem jest to – że mam za męża jednego z najlepszych jej synów”. Mąż z daleka dodawał jej sił, pisząc: „Kiedyś mi silna orlico moja i ostro mi się trzymasz, i odważnie przy sztandarze stoisz rycerko boża, czuję to i raduję się w duchu, i rośnie mi serce miłością i odwagą”.

A ona oprócz zajmowania się majątkiem i synami robiła to, co bohaterka powstańczych obrazów Grotgera robić powinna i za co w kwietniu 1863 r. otrzymała podziękowanie od Borelowskiego. „Przez pocziwość Twoją Szanowna Obywatelko znaczna część obozu mojego zaopatrzona została w niezbędną bieliznę, buty i odzienie – przyjmij za to podziękowanie szlachetna Polko, bądź jak dotąd wzorem dla Twych sąsiadek i nie ustawaj nigdy w Twej pocziwej pracy dla Ojczyzny”.

Szlachetne Polki

Późną jesienią 1863 r. państwo Pawlikowscy przyjechali do Lwowa. Kilka miesięcy później Helena rozpoczęła wśród mieszczan zbiórkę pieniędzy na „Dzieci Lelewela”, oddział konny sformowany w lutym 1864 r. w powiecie lubaczowskim. Ofiarność była ogromna. Jedną z kobiet, nie mając nic innego, zdjęła ślubną obrączkę z palca, a gdy jej Helena nie chciała wziąć, rzekła z wielką stanowczością: „Na taki cel nie wolno pani nie przyjąć”. Inną młodą kobietę zastała ubraną do wyjścia po zakupy. Gdy wyjaśniła cel swojej wizyty, tamta natychmiast oddała pieniądze, które miała przy sobie, po czym zdjęła kapelusz i płaszcz, nie mając już po co – a właściwie za co – iść.

Oddawane przez kobiety klejnoty polecono Helenie przekazać komisarzowi powstańczemu Janowi Majkowskiemu. Było tego sporo, ale wszystko świetnie się udało przewieźć dzięki niewątpliwym przemytniczym zaletom będącej wówczas w modzie krynoliny.

We Lwowie działał Komitet Niezależności, opiekujący się rannymi, aresztowanymi oraz rodzinami zabitych i rannych. Ponadto stowarzyszone panie nie tylko zbierały pieniądze i kosztowności na rzecz Skarbu Narodowego, lecz również zajmowały się wywiadem i produkcją amunicji,

PANIE ZAJMOWAŁY SIĘ WYWIADEM I PRODUKCJĄ AMUNICJI, BYŁY KURIERKAMI, ZAOPATRYWAŁY POWSTAŃCÓW W BROŃ, AMUNICJĘ, MUNDURY I SZTANDARY, POMAGAŁY W UCIECZKACH Z WIĘZIENIA

były kurierkami, zaopatrywały powstańców w broń, amunicję, mundury i sztandary, pomagały w ucieczkach z więzienia. Helena została przewodniczącą komitetu, niestety wskutek zdrady trwało to krótko.

Dobrowolne wygnanie

Pierwszym jej zadaniem miało być uporządkowanie dokumentów komitetu i spalenie tych kompromitujących. Nie zdążyła tego zrobić, gdyż władze austriackie wpadły na trop konspiracyjnej działalności Mieczysława Pawlikowskiego. W marcu 1864 r. przy drzwiach mieszkania rozległ się dzwonek, a że na zapytanie „Kto idzie?” padło umówione hasło „Dzieduszycki”, zostały otworzone. Była to policja, której ktoś zdradził hasło. W obecności domowników przeprowadzono rewizję, Mieczysław został

aresztowany. Helenie początkowo dano spokój, jednak później policja zaczęła ją nachodzić i w końcu zdecydowała się wyjechać, aby można było zrzuć na nią odpowiedzialność i uchronić inne kobiety z komitetu, wśród których była chora na płucą niezamożna matka pięciorga dzieci. Utwierdził ją w tym uwięziony mąż, przysyłając gryps, w którym wręcz żądał, żeby natychmiast wyjechała. Tak też zrobiła, jak się okazało, w ostatniej chwili uprzedzając posunięcie władz. Kilka godzin później w mieszkaniu zjawiała się policja, by ją aresztować, i już jej nie zastali. Na próżno rozlepiono za nią na ulicach listy gończe w Krakowie i we Lwowie.

Swego męża ona – głowy korona

Mieczysława Pawlikowskiego sąd wojenny skazał na trzy lata więzienia. Helena początkowo przebywała w Dreźnie pod przybranym nazwiskiem pani Wolmar, potem policja zaczęła jej deptać po piętach i musiała ciągle zmieniać miejsca pobytu. Gdy matka przywiozła jej dzieci do Drezn, przyjechała na jeden dzień, ale bała się nocować w swoim mieszkaniu. Chłopców zabrała do Celigny pod Genewą i tam doczekała powrotu swego Mieczysła. Został zwolniony po niecałych dwóch latach, w listopadzie 1865 r. na mocy amnestii z okazji imienin cesarzowej Elżbiety, bardziej znanej jako Sissi. Gdy wreszcie przybył z Ołomuńca, niektórzy z przebywających w Szwajcarii rodaków, ci lojalni wobec cesarstwa i bojący się afiszować z niedawnym więźniem stanu, unikali i jego, i jego żony. W przeciwieństwie do takich osób Szwajcarzy serdecznie gratulowali Pawlikowskiemu uwolnienia i nieraz usłyszeli: „Jesteś pan szczęśliwy, masz bardzo znaną, dzielną żonę”. Helena wspominała potem ze wzruszeniem, że prości chłopcy z Celigny doskonale znali dzieje powstania polskiego, wiedzieli o stronnictwach „białych” i „czerwonych”, nawet zbierali składki na polskie cele.

Przeżyła męża o 15 lat. Zmarła 12 października 1918 r. we Lwowie i pochowana została obok niego na cmentarzu w Medyce, w rodzinnej kaplicy Pawlikowskich. Do 1939 r. w zbiorach medycznych przechowywany był ukryty przez nią sztandar pułku Marcina Borelowskiego „Lelewela”.

DUM BIBO...



„GDY WINA CHCESZ, SOK Z GRON WYCISKAJ W CZARĘ” NAPISAŁ GOETHE. JEDEN Z BARDZIEJ SZLACHETNYCH TRUNKÓW TOWARZYSZY LUDZKOŚCI OD (PRAWIE) ZAWSZE, JEDNAK PRZYCZYNA JEGO POWSTAWANIA BYŁA PRZEZ WIELE WIEKÓW NIEZNANA



**KRZYSZTOF
ŻARYN**

Sylwester i start nowego roku to z reguły czas wesół – początek hucznego karnawału. Mimo że w warunkach, jakie stworzył nam niechciany przybysz z krajów azjatyckich, nie możemy w licznych gronach świętować tego okresu, nie powinniśmy też całkiem zapominać o małych przyjemnościach. Dla wielu z nas jedną z nich może być kieliszek ulubionego trunku. Każdy ma swoje upodobania, jednak pod względem zdrowotnym na liście alkoholi jest konkretny lider, który pozytywnie wpływa na nasz organizm i nasze samopoczucie. Uznaje się nawet, że jest on sprawcą pewnego paradoksu zachodzącego w jednym z krajów europejskich, który mocno zaprzętał głowę wielu naukowcom. Jak się pewnie domyślacie, chodzi o wino.

Jak to działa?

Choć może to się wydać zaskakujące, wino towarzyszyło człowiekowi niemal od początku tworzenia się cywilizacji. Winorośl, której owoce wykorzystywane są najczęściej do wyrabiania tego trunku, jest jedną z najstarszych roślin występujących na ziemi. Z początku ludzie nie znali procesu, który jest niezbędny do wytworzenia interesu-

jącego nas napoju. Tym procesem jest oczywiście fermentacja. Jednak to, że człowiek czegoś nie zna, nie oznacza, że to coś nie istnieje. Istota bardziej myśląca, mimo braków wiedzy, jest wszakże w stanie wykorzystać pewne obserwacje. Tak właśnie było w przypadku tworzenia win. Starożytni nie mieli pojęcia, że istnieją takie drobno-ustroje jak drożdże, które przerabiają cukier na alkohol i dzięki temu mogą wprawiać ludzi w stan nieważki. Prawdopodobnym początkiem odkrywania skutków wspomnianej fermentacji był zmieniony smak dłużej przechowywanych owoców, a przede wszystkim ich przetworów. Jako że degustatorom najprawdopodobniej spodobał się stan, w jakim się znajdowali po spożyciu tych dziwnych produktów, uznano, że ten nowy wyrób jest lepszy od poprzedniego i próbowano go odtworzyć. I tak najpewniej, metodą prób i błędów, dochodzono do coraz większej wprawy w produkcji tego efektu fermentacji, cały czas nie wiedząc tak naprawdę, skąd się bierze ta przemiana.

Gdzie i kiedy?

Dowodami na długość związku między winem a człowiekiem są oczywiście znaleziska archeologiczne. Najstarsze pochodzą z VII w. przed narodzeniem Chrystusa. Są to gliniane dzbanki, w których przechowywano winogronowy przetwór. Z całą pewnością można stwierdzić, że naczynia te służyły właśnie do tego, ponieważ jedna z zachowanych amfor zawierała na swej skorupie sole kwasu winowego, co stanowi dowód,

a jednocześnie najstarszą pozostałość wina w dziejach. Znalezisko to miało pochodzić z VI w. przed narodzeniem Chrystusa, a miejscem, gdzie dokonywano tych odkryć, były tereny dzisiejszej Gruzji. Co ciekawe, znaleziska i wzmianki mogły sugerować, że ówczesni ludzie przechowywali wina w tych naczyniach zakopanych w ziemi, tak jak to się robi też w dzisiejszych czasach. Drożdże w dalszej fazie fermentacji wolą niższą temperaturę, dlatego jest to ważny czynnik do wyrobu dobrego wina. Dodatkowo kształt naczynia pozwalał na zmniejszenie kontaktu produktu z tlenem, co mogło zdecydować o braku zanieczyszczenia i dobrym zachowaniu produktu.

Znaczne zasługi dla rozwoju wytwórstwa winnego miały wielkie cywilizacje starożytne. W Egipcie wazy i amfory były już bardzo rozpowszechnione i trudno byłoby określić, które z nich wykorzystywano do wyrobu wina, gdyby nie to, że powstało tam coś na kształt dzisiejszych balonów używanych do fermentacji. Były to wazy z bardzo wąskim otworem, przez który uciekał dwutlenek węgla – efekt przerabiania cukru na alkohol. Otwór ten przykrywano skórą lub inną tkaniną mającą z kolei ograniczać dostęp tlenu. Innym sprzętem, który jest obowiązkowym akcesorium każdego poważnego winiarza, a który wynaleziono w starożytnym Egipcie, była prasa wymiślna do łatwiejszego tłoczenia soku. Egipcjanie, próbując sobie wyjaśnić, skąd bierze się cudowny efekt przerozbięcia soku na alkohol, upatrywali go w boskiej interwencji. Uważali, że to bogowie przeobrażają owoce w wino.

Co mamy z wina?

Blizsze nam cywilizacje grecka i rzymska jeszcze mocniej rozpropagowały wino i rozwinęły jego wytwórstwo. Uważa się, że Grecja zawdzięczała swój rozwój cywilizacyjny klimatowi sprzyjającemu wzrostowi winorośli. Podzielona na państewka rozwinęła się dzięki postawieniu na zbiory oliwek oraz winogron. Na handlu oliwą i winem oparta była jej gospodarka. Potwierdzają to znaleziska archeologiczne. Na przykład na Krecie odkryto prasę do tłoczenia, której pochodzenie

wstawiać znane szlaki winiarskie na Półwyspie Iberyjskim oraz na terenach dzisiejszej Francji.

Przejsie w wieki średnie wcale nie stłumiło miłości, jaką ludzie pałali do wina. Z początku rzeczywistość może kunszt sztuki fermentacji nie rozwijał się tak prężnie jak dotychczas, ale tylko do czasu. Karol Wielki był wielkim zwoleńnikiem i chętnym degustatorem winogronowego wyrobu. Również w kulturze i liturgii chrześcijańskiej wino zawsze pełniło bardzo ważne funkcje symboliczne, więc miejscami, które podejmowały produkcję wina, były klasztory.

osiągnąć, mimo to nie zawsze udaje się zrobić dobry trunek. Tym bardziej wzbudzać może podziw intuicja przodków. Wino towarzyszy człowiekowi niemal od początku jego funkcjonowania, a starożytni jakoś radzili sobie z brakiem wiedzy na jego temat. Na pewno nie mieli też pojęcia, jakie pozytywy – poza wprawianiem w stan upojenia – niesie

CUDOWNEGO EFEKTU PRZEROBIECIA SOKU NA ALKOHOL EGIPCJANIE UPATRYWALI W BOSKIEJ INTERWENCJI. UWAŻALI, ŻE TO BOGOWIE PRZEOBRAŻAJĄ OWOCE W WINO

datuje się na 1600 r. przed narodzeniem Chrystusa, a przyrząd ten nadawał się idealnie do wyrobu obu tych produktów. Wino doczekało się nawet swego patrona wśród bogów. Był nim Dionizos, na którego cześć powstało święto – Dionizje wyróżniające się dużym zużyciem tego sfermentowanego napoju. Co ciekawe, wino spożywane przez starożytnych Greków było młodym trunkiem. Nie poddawano go wieloletniemu przechowywaniu, w obawie przed jego zepsuciem. Z tego powodu na pewno nie było wyrafinowane w smaku, mogło to wpływać na większy dyskomfort dnia następnego.

Wydawałoby się, że scheda po cywilizacji greckiej, którą na Starym Kontynencie przejęło Cesarstwo Rzymskie, obejmowała również dziedziczenie, a potem doskonalenie procesów produkcji wina. Rzeczywiście tak było, ale tylko do pewnego czasu. Rozkwit tej dziedziny zahamował wybuch Wezuwiusza. Zniszczył on bardzo ważny port w Pompejach, który był centrum transportowym tego szlachetnego trunku. Dodatkowo w 92 r. naszych czasów cesarz rzymski Domicjan wprowadził zakaz sadzenia winorośli, aby nie zajmować pól przeznaczonych na uprawy zbóż. Akt ten obowiązywał aż do 280 r. I dopiero po tym okresie zaczęły po-

Wypracowywały one własne receptury i zazdrośnie strzegły tajemnic. Panowały tam też dobre warunki do przechowywania tego trunku.

Droga do wiedzy

Cały czas jednak sztuka wytwarzania wina opierała się w dużej mierze na obserwacjach i wyciąganiu wniosków. Nadal nie do końca było wiadomo, na czym polega cały proces doprowadzający do powstawania alkoholu w sokach i przetworach. Dopiero poznanie drożdży i ich roli w tym przejściu zapoczątkowało rewolucyjne zmiany w przygotowywaniu wina. Drobnoustroje te wykrył w 1680 r. Anthon Phillips van Leeuwenhoek, holenderski uczony, dumny posiadacz i użytkownik jednego z pierwszych mikroskopów. Jednak to dopiero Ludwik Pasteur w XIX w. odkrył rolę, jaką odgrywają one w przemyśle winiarskim oraz ich wpływ na fermentację alkoholową. Od tego czasu wiele w tej sztuce się zmieniło. Zaczęto wykrywać różne szczepy tych mikroorganizmów, których odmiany wpływają na smak, moc i jakość napoju.

Dzisiaj wiemy o wyrobie wina znacznie więcej niż starożytni. Potrafimy dobrać odmiany winogron, szczep drożdży, a nawet oszacować moc, jaką chcemy



ze sobą spożycie tego napoju. Wino czerwone wytrawne ma walory zdrowotne. Zawdzięcza je zawartości wielu polifenoli, a zwłaszcza resweratrolu. Są to związki niwelujące negatywne działanie wolnych rodników w naszym organizmie. Zmniejszają przez to ryzyko powstawania nowotworów. Wpływają również na poprawę krążenia, m.in. poprzez zapobieganie powstawaniu miażdżycy. Jako dowód prozdrowotnego działania tego napoju posłużyć może analiza zdrowotności ludności Francji. Jest to populacja, która spożywa znaczne ilości nasyconych kwasów tłuszczowych – w postaci serów, wątróbek gęsi oraz innych tego typu regionalnych przysmaków. Mimo to są jednym z państw, w których śmiertelność z powodu incydentów sercowo-naczyniowych jest na bardzo niskim poziomie. Ten paradoks tłumaczy się właśnie UMIARKOWANYM spożyciem czerwonego wina. A na tym terenie spożycie i kultura picia wina uwarunkowane są – jak widać – wieloletnią tradycją.

„POJAZD BETLEJEMSKI”



**RADOSŁAW
MORAWSKI**

Figurka Dzieciątka Jezus leżąca na sianie w otwartym bagażniku Fiata 125 p, oświetlona rozmieszczonymi wokół lampkami. Na klapie bagażnika – od jego wewnętrznej strony – lustro, dzięki któremu żłóbek widoczny jest bez zagłębienia do środka. Taka szopka bożonarodzeniowa – w rzeczywistości instalacja artystyczna „Pojazd Betlejemski” – została umieszczona w grudniu 1984 r. na terenie kościoła pw. św. Stanisława Kostki w Warszawie.

Charakter, miejsce i czas jej wystawienia nie pozostawiały wątpliwości, że była ona nawiązaniem do męczeńskiej śmierci księdza Jerzego Popiełuszki, który został porwany przez funkcjonariuszy SB dwa miesiące wcześniej, a następnie skępowany i przewieziony w bagażniku właśnie takiego samochodu.

Tradycja wystawiania szopek bożonarodzeniowych na terenie kościołów sięga XIII w. W Polsce od samego początku ich wystrój nawiązywał do aktualnych wydarzeń, upamiętniał stroje z epoki, krajobrazy i architekturę. W XVII w. pojawiły się elementy patriotyczne, które były szczególnie mocno akcentowane w czasie zaborów, zwłaszcza po powstaniu styczniowym. Także w czasie II wojny światowej szopki niosły otuchę zniewolonemu narodowi. Wprowadzenie stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. nasiliło tendencję do odwoływania się w ich wystroju do skutków aktualnej polityki władz PRL: tragedii górników kopalni Wujek czy śmierci Grzegorza Przemyka w czerwcu 1983 r.

Instalacja „Pojazd Betlejemski” wpisywała się więc w ówczesny trend politycznych nawiązań w przestrzeni sakralnej. W normalnych czasach mogłaby zostać uznana za artystyczną prowokację, jednak wtedy oddawała nastroje społeczne i mocno oddziały-

wała na wyobraźnię tłumów odwiedzających kościół pw. św. Stanisława Kostki. Wierni stawiali obok znicze i kwiaty. Miała ona również swój wymiar religijny. Pokazywała, że ze zła, jakim była śmierć męczennika Solidarności, może zrodzić się dobro, jakim jest nowonarodzony Zbawiciel. Była swoistą emanacją słów ks. Jerzego Popiełuszki – „Zło dobrem zwyciężaj”.

Autorem instalacji był Jerzy Kalina – urodzony w 1944 r. plastyk i scenograf, performer związany w latach 70. z warszawską galerią Repassage. Właśnie on był autorem oprawy plastycznej pogrzebu ks. Popiełuszki oraz projektu jego nagrobka i krzyża pomnika na tamie we Włocławku, w miejscu śmierci kapłana. Tworzył również oprawy scenograficzne mszy papieskich w czasie wizyt Jana Pawła II w Warszawie w latach 1987, 1991 i 1999 oraz scenografie wielu przedstawień teatralnych i artystycznych performance. Jest autorem projektów wystroju kaplic w Belwederze i Pałacu Prezydenckim. W XXI w. zasłynął jako autor projektu pomnika Anonimowego Przechodnia we Wrocławiu oraz pomnika Ofiar Tragedii Smoleńskiej 2010 r. na pl. Piłsudskiego w Warszawie. Ostatnio głośno było o jego instalacji „Zatrute źródło” ustawionej we wrześniu

ARCHIWUM IPN
SEKCJA OPRAWY WYKONANIA
DOKUMENTACJI
AUDIOWIZUALNEJ

2020 r. na dziedzińcu Muzeum Narodowego w Warszawie, gdzie umieścił rzeźbę Jana Pawła II ciskającego trzymany nad głową głaz w zabarwioną na czerwono wodę wypełniającą nieckę fontanny.



„Pojazd Betlejemski”
– instalacja artystyczna Jerzego Kaliny na terenie kościoła pw. św. Stanisława Kostki w Warszawie, grudzień 1984 r.

MS-406 W MOMENCIE WYBUCHU II WOJNY ŚWIATOWEJ BYŁ PODSTAWOWYM FRANCUSKIM MYŚLIWCEM. MIAŁ TRAFIĆ TEŻ DO POLSKI. WE WRZEŚNIU 1939 r. TRANSPORTY TYCH MASZYN BYŁY W DRODZE NAD WISŁĘ, ALE NA MIEJSCE JUŻ NIE DOTARŁY

FOT. MAC



Samoloty Morane-Saulnier MS-406 w ośrodku szkoleniowym Polskich Sił Powietrznych we francuskim Bron, wiosna 1940 r.

MORANE-SAULNIER MS-406

CZYLI NIEDOSZŁY OBROŃCA POLSKIEGO NIEBA



KACPER GROCHOCKI

Pod koniec I poł. lat 30. XX w. dowództwo francuskich Armée de l'Air (Sił Powietrznych) dostrzegło potrzebę opracowania nowego samolotu myśliwskiego, dynamiczny rozwój tego typu maszyn bowiem sprawiał, że konstrukcje takie jak Dewoitine D.371, D.500 czy Loire 46, mimo że nie były stare, przestawały odpowiadać potrzebom nowoczesnej walki powietrznej. W związku z tym w 1934 r. przedstawiono wytyczne, które przyszły myśliwiec miał spełniać. Były to m.in. konstrukcja w formie dolnopłatu, chowane podwozie, zamknięta kabina pilota czy wysoka prędkość maksymalna (przynajmniej 450 km/h).

Do konkursu stanęło kilka uznanych firm awiacyjnych, lecz najbardziej obiecujące okazały się projekty firm Morane-Saulnier (MS-405), Bloch (MB.150) oraz Loire-Nieuport (LN 160). Ten ostatni odpadł jednak ze względu na rozbięcie się dwóch z trzech prototypów oraz zawirowania związane z nacjonalizacją zakładów produkcyjnych. Z kolei powstanie pierwowzoru konstrukcji firmy Bloch bardzo się przeciągało, a i sam projekt wymagał wielu poprawek, choć ostatecznie, po modyfikacjach, trafił on do służby pod oznaczeniem MB.151

i MB.152. Natomiast pierwszy prototyp MS-405 oblatany został już w lecie 1935 r. W roku następnym został wstępnie pozytywnie zaopiniowany przez komisję konkursową. Pierwsza seria przedprodukcyjna samolotów MS-405 miała zostać wykonana, po poprawkach, do listopada 1937 r. Jednak z wielu względów, m.in. przez ograniczone możliwości wytwórcze, trudności finansowe firmy oraz problemy techniczne z samym samolotem, pierwsze maszyny trafiły do armii w początkach 1938 r. Część z nich poddano modyfikacji (m.in. wymiana silnika i śmigła), która spowodowała zmianę oznaczenia myśliwca na MS-406, i stały się wzorem dla produkcji seryjnej.

Oprócz macierzystej firmy Morane-Saulnier w Puteaux samoloty MS-406 budowano również w fabrykach S.N.C.A.O. w Bouguenais. Łącznie wyprodukowano niespełna 1,1 tys. egz. tej maszyny. Był to jednomiejscowy myśliwiec w układzie dolnopłata o metalowej konstrukcji. Jednostkę napędową stanowił rzędowy silnik Hispano Suiza 12Y31 o mocy maksymalnej 860 KM, co pozwalało na osiągnięcie prędkości 490 km/h na wysokości 4,5 tys. m. Samolot uzbrojony był w działko kal. 20 mm zabudowane w rozwidleniu cylindrów silnika oraz dwa karabiny maszynowe kal. 7,5 mm zamontowane w skrzydłach.

W momencie projektowania MS-406 był samolotem o dobrych parametrach. Jednak wojna zweryfikowała go jako maszynę pod wieloma względami ustępującą niemieckim myśliwcom, choć zdolną do

nawiązania z nimi walki. Piloci latający na MS-406 w czasie kampanii francuskiej odnieśli 191 pewnych i 89 prawdopodobnych zwycięstw nad wrogiem. Z liczby pewnych zestrzeleń ponad 25 proc. stanowiły polskie trafienia (49). Później myśliwce te użytkowali m.in. Niemcy, państwo Vichy czy Finlandia.

Samoloty Morane-Saulnier MS-406 miały być również maszynami broniącymi nieba Rzeczypospolitej. W II poł. lat 30. oczywiście stało się to, że rodzime firmy przemysłu lotniczego nie są w stanie w krótkim czasie zapewnić polskiej armii nowoczesnych myśliwców. Wobec tego zdecydowano się odejść od obowiązującej polityki bazowania na własnych konstrukcjach i dokonać zakupu za granicą. Rozmowy pierwotnie podjęte z Brytyjczykami przeciągały się. W tej sytuacji zwrócono się do Francuzów, którzy zgodzili się na sprzedaż 160 myśliwców MS-406, a termin realizacji dostawy pierwszej partii 50 maszyn wyznaczono na koniec września 1939 r. Ze względu na narastające napięcia pomiędzy Rzeczpospolitą a III Rzeszą transport miał się odbywać drogą morską do portu w rumuńskiej Constancy. Wybuch wojny i niepomyślny dla Polski przebieg walk sprawił jednak, że myśliwce MS-406 nad Wisłę nigdy nie dotarły, mimo że transporty były już w drodze.

Choć Morane-Saulnier MS-406 zapewne nie odmieniłby losów kampanii wrześniowej, to miałyby szansę po części wyrównać dysproporcje w powietrznej batalii.



Uśmiecha się Weronika Jaskółka, rolę powtarza Marcin Kwaśny



Durant Eight

Temat znany wszystkim, bo miał z nim kontakt każdy Polak. Nie koronawirus, tylko polski złoty. Ale jak pokazać złotówki na okładce, żeby wzbudzić emocje? Kolejka do okienka bankowego na pewno jest emocjonująca, ale tylko dla tych, którzy w niej stoją i się spieszą. Dlatego poszliśmy krok dalej i stworzyliśmy inscenizację w klimacie filmu „Vabank” Juliusza Machulskiego, a może nawet bardziej w stylu „Bonnie i Clyde” Arthura Penna. W rolę gangstera wcielił się sam Marcin Kwaśny i była to dobra wróżba dla sukcesu sesji. Aktor znany z wielu ról filmowych, telewizyjnych i teatralnych, m.in. „Rezerwat”, „Historia Roja”, „Pilecki”, „Wyklęty”, „Listy do M. 3”, „Korona królów”, „Szpilki na Giewoncie”, „Klan”, „Barwy szczęścia”, na planie zostawił kawał serca.

Rolę kobiety lubiącej polskie pieniądze i niebezpiecznych mężczyzn zagrała Weronika Jaskółka. Ta młoda aktorka z racji wieku ma wprawdzie mniejszy dorobek filmowy, ale jest nie mniej zdolna i nie mniej wytrzymała. To, czego bowiem nie widać na okładce, to przenikliwy mróz, który zamienił fajną inscenizacyjną przygodę w walkę o przeżycie bez anginy. Poza kadrem stała cierpliwa Joanna Wasilewska trzymająca blendę doświetlającą plan. Prawdziwym jednak zadaniem Asi jest charakteryzacja bohaterów. Same włosy Jaskółce charakteryzatorka robiła przez dwie godziny. Wąsy dla Marcina były już formalnością. Dwójka aktorów była ubrana

w wybitne kostiumy udostępnione przez Agencję Retro-Pasje prowadzoną przez Małgosię Retkowską i Michała Kępińskiego. Ta wypożyczalnia mieści się dosłownie dwa kroki od Chełmskiej, więc nieraz scenografowie z poważnych produkcji odwiedzali Retro-Pasje i z satysfakcją znajdowali w nich prawdziwe perły. Żeby nadać odpowiednio groźny charakter gangsterowi, była potrzebna broń. Wprawdzie pistolet maszynowy marki Thomson bardziej pasuje do ulic Chicago niż Warszawy, jednak nie byłam w stanie wymazać tej konkretnej broni z mojej wizji. Nie miałam pojęcia, że ten model jest praktycznie nieosiągalny. Poza jednym miejscem – Rekwizytornią Praga przy Przecławskiej 5. Z kolei Rekwizytornia.info poradowała nas piękną torbą z okresu międzywojennego. Jakie pieniądze włożyć do jej środka, doradziła Anna Brzyska z Centrum Pieniądza NBP im. Sławomira S. Skrzypka.

No i pora na deser. Samochód marki Durant został wypożyczony dzięki uprzejmości pani Joanny Mikiciuk, właścicielki Muzeum Motoryzacji i Techniki w Otrębusach. Sama placówka jest niezmiernie ciekawa, liczy bowiem ok. 300 zabytkowych odrestaurowanych pojazdów, które nieraz pojawiały się w kultowych filmach czy serialach. Najlepszym dowodem jest oryginalny czołg T-34 z serialu „Cztery pancerni i pies”. A zdjęcie wykonał znamienisty Andrzej Wiktor.

MICHAŁ KORSUN



Retro-Pasje w dobie pandemii



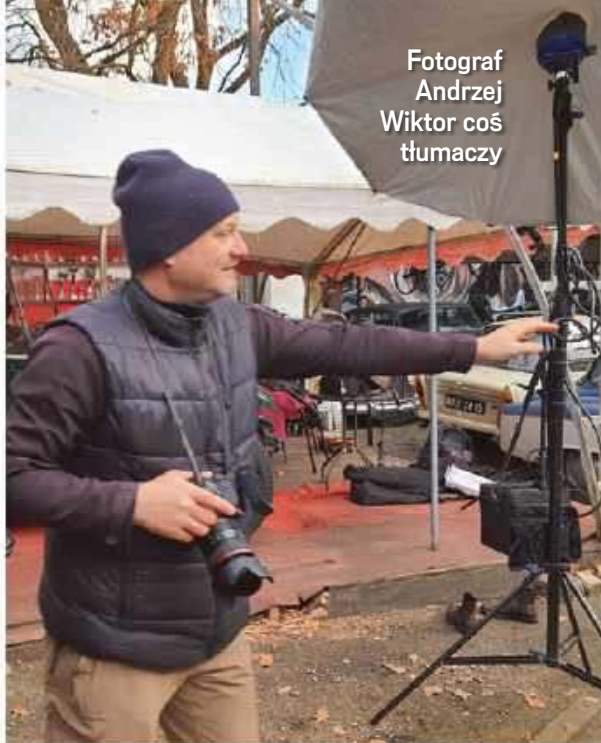
Na szczęście...



...Michał Kępiński jest profesjonalistą



Joanna
Wasilewska
w masce
i swoim
żywie



Fotograf
Andrzej
Wiktor coś
tłumaczy



Marcin
Kwaśny,
gangster
jak malowany



„Panie kierowniku, magazynek się odlepił temu miśsiu!”



Przemek Wieczorek
z Rekwizytorni Praga daje wybór



Po lewej czarny ZIS 110CABRIO, samochód Stalina



Dyrektor Muzeum Motoryzacji i Techniki
w Otrębusach – Joanna Mikiciuk

POD ZNAKIEM ORŁA I SMOKA

Ruiny zamku w podwarszawskim Czersku są dostępne dla zwiedzających. Turyści przyjeżdżający na rowerach mogą liczyć na zniżkę przy zakupie biletu. W sezonie letnim odbywa się tutaj wiele wydarzeń popularyzujących historię



Tego lata, w czasie jednej z rowerowych wypraw, trafiłem do oddalonego ok. 20 km od południowej granicy Warszawy Czerska. O czasach świetności tego byłego miasta przypominają widoczne już z daleka ceglane baszty oraz zachowany średniowieczny układ urbanistyczny. Większość zabudowań wznosi się wokół centralnie położonego rynku (który obecnie jest zielonym skwerem). Nad wszystkim góruje, położony na wzgórzu oblewanym w dawnych czasach przez nurty Wisły, zamek – wielowiekowa piastowska siedziba i stolica księstwa czerskiego.

W roku 1200 panowanie nad Mazowszem objął książę Konrad. W tym czasie na czerskim wzgórzu znajdowało się rozległe cmentarzysko. Wolą władcy Czersk uzyskał centralny status jego ziem. Wzgórze podniesiono, niszcząc cmentarzysko, i wzniesiono na nim gród pełniący funkcje administracyjne i reprezentacyjne. Ambitny książę stworzył tym samym stolicę późniejszego księstwa czerskiego. By zabezpieczyć swe włości od najazdów Prusów z północy, sprowadził na Mazowsze cystersów, by ci schryścianizowali najeźdźców. Po niepowodzeniu ich misji Konrad Mazowiecki w tym samym celu osiedlił na ziemi chełmińskiej Krzyżaków... Dzięki księciu Czersk stał się jedną z najważniejszych siedzib Piastów mazowieckich. Miasto straciło na znaczeniu w II poł. XIII w., gdy Wisła zmieniła bieg, pozbawia-

jąc miasto bezpośredniego dostępu do jej wód i szlaków handlowych.

Prawnuk Konrada Mazowieckiego – Trojden I, książę czerski i warszawski, rozbudowywał założony przez pradziada gród, jednak z tym władcą wiąże się znacznie ciekawsza historia. Wchodząc na dziedziniec czerskiego zamku, zwróciłem uwagę na zwieszoną z wieży bramnej flagę. Dwa białe orły i dwa smoki w układzie szachownicowym. O tyle nietypowe, że smok jest obcy w polskiej heraldyce. Znany jest za to dobrze na Wyspach Brytyjskich. W czasie wykopalisk archeologicznych na czerskim wzgórzu (lata 60. XX w.) w jednym z grobów odnaleziono szkielet wojownika, najprawdopodobniej obcego pochodzenia. Według badaczy mógł to być Magnus, komes Mazowsza, syn anglosaskiego króla Harolda II Godwinsona, poległego w bitwie z Normanami pod Hastings w 1066 r. Stąd też wyvern mógł się pojawić w czerskim godle. Dużo bardziej prawdopodobne jest jednak, iż stało się to za sprawą księcia Trojdena, osoby wykształconej, znającej ówczesną europejską literaturę dworską (smoki miały pozytywne znaczenie jedynie w brytyjskich legendach arturiańskich, a sam król Artur był utożsamiany z jednym z nich) i rozumiejącą jej symbolikę. Smok w herbie książąt mazowieckich pojawił się w czasach panowania Trojdena I i był używany przez jego następców, aż po Janusza III, ostatniego księcia mazowieckiego.

Pod tym właśnie znakiem w bitwie pod Grunwaldem walczyło rycerstwo z chorągwi zorganizowanej przez księcia mazowieckiego Janusza I. Ciekawostką jest to, że stołeczny hufiec ZHP Centrum nosi jego imię, a w harcerskim emblemacie dzielnicy widnieją dwa orły i dwa smoki w układzie szachownicowym.

Na stronie www.zamekczersk.pl można zapoznać się z bogatą historią zamku w Czersku, dzięki komputerowym wizualizacjom zobaczyć, jak rozwijał się on przez wieki od drewnianego grodu do murowanej warowni z wieżami zwieńczonymi hełmami. Warto też zajrzeć do kalendarza wydarzeń odbywających się w sezonie letnim na dziedzińcu czerskich ruin. Turnieje rycerskie, dni muzyki dawnej, noce grozy i inne propozycje znajdują uznanie wśród młodszych i starszych, a być może u jednego wzbudzą zainteresowanie historią. Odwiedziny w Czersku w zwykły dzień są również dobrym pomysłem – na miejscu można zwiedzić wieżę bramną, skosztować dawnej strawy czy kupić rękodzieła od rzemieślników roztawiających swoje kramy wewnątrz murów zamku. ■

ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

- | | | | | | | | | |
|---|---|---|--|---|---|--|---|--|
| <p>XI w.
Na wzgórzu w Czersku powstaje pierwszy gród. Szybko ulega zniszczeniu wskutek pożaru.</p> | <p>1142/1143 r.
Zbudowany na początku XII w., umocniony drewniano-ziemnymi wałami gród, zostaje zniszczony przez wojska polskiego księcia Władysława II.</p> | <p>XIII w.
Czersk staje się kasztelaniją i siedzibą piastowskich książąt mazowieckich.</p> | <p>27 kwietnia 1245 r.
Biskup poznański Bogufał II konsekruje zbudowany na dziedzińcu grodu drewniany kościół pw. św. Piotra.</p> | <p>1410 r.
Za panowania księcia Janusza na czerskim wzgórzu zostaje ukończona budowa ceglanoego zamku.</p> | <p>1547 r.
Królowa Bona rozbudowuje zamek. Podwyższone wieże zostają wyposażone w hucyocje i zwieńczone hełmami.</p> | <p>1656 r.
Wycofujący się Szwedzi, po przegranej bitwie pod Warką, palą Czersk i wysadzają w powietrze zamek.</p> | <p>1762–1766 r.
Starosta czerski, marszałek wielki koronny Franciszek Bieliński remontuje zamek, powstaje most przez fosę. Po III rozbiorze Polski i objęciu Czerska przez Prusaków mury zostają częściowo zburzone.</p> | <p>1915 r.
Zrujnowany zamek zostaje dodatkowo uszkodzony podczas walk niemiecko-rosyjskich.</p> |
|---|---|---|--|---|---|--|---|--|

DZIECIĘCY NIEŚMIERTELNIK



**KATARZYNA
UTRACKA**

W ZBIORACH MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO ZNAJDUJĄ SIĘ SKANY WYJĄTKOWEJ PAMIĄTKI Z OKRESU POWSTANIA WARSZAWSKIEGO. JEST TO NIEŚMIERTELNIK WYKONANY PRZED WYBUCHEM POWSTANIA PRZEZ RODZICÓW DLA CZTEROLETNIEGO SYNKA. MAŁE PŁÓCIENNE ETUI MIEŚCI KARTECZKĘ Z INFORMACJĄ O DZIECKU I JEGO RODZINIE. DOŁĄCZONO DO NIEJ MINIATUROWE FOTOGRAFIE CHŁOPCA I RODZICÓW ORAZ OBRAZEK MATKI BOŻEJ OSTROBRAMSKIEJ

Nieśmiertelnik wykonali Henryk i Wiktoria Walkowscy dla swojego synka Andrzeja. Henryk Walkowski po udziale w kampanii wrześniowej 1939 r. zamieszkał w Zamościu, gdzie poślubił Wiktorię. W 1940 r. urodził im się syn i po dwóch latach przenieśli się do Warszawy, gdzie wynajęli mieszkanie przy ul. Zuga na Bielanych. Niemal natychmiast zaangażowali się w działalność konspiracyjną w szeregach Armii Krajowej. Henryk pod pseudonimem Antoni Zawrat działał w Wojskowej Służbie Ochrony Powstania. Kiedy pod koniec lipca 1944 r. Okręg Warszawa AK szykował się do powstania, małżeństwo podjęło decyzję, że Wiktoria zajmie się synem, a mąż pójdzie walczyć. Zanim jednak Henryk poszedł do powstania, wyposażył syna w nieśmiertelnik, w razie gdyby dziecko zgubiło się w zawierusze powstańczej.

Oprócz danych dotyczących imienia i nazwiska dziecka, daty urodzenia, numeru aktu urodzenia, narodowości, informacji o wyznaniu, podano nazwiska i adresy rodziców, dziadków i krewnych. Zapisano również najważniejsze tytuły prasy krajowej i zagranicznej, w których ukażą się ogłoszenia na wypadek zaginięcia syna. Na koniec rodzice poprosili o troskliwą opiekę nad nim. Zapewnili również, że pokryją wszelkie koszty z nią związane i wynagrodzą opiekunów. Dodać należy, że Henryk Walkowski przed wojną pracował w banku, studiował też prawo, stąd taka skrupulatność i dbałość o najmniejszy szczegół.

Uwagę zwraca data widniejąca na karteczce – 27 lipca 1944 r. Tego dnia gubernator dystryktu warszawskiego Ludwig Fischer ogłosił, że nazajutrz rano 100 tys. warszawiaków ma się stawić do prac fortyfikacyjnych nad Wisłą. W tej sytuacji dowódca Okręgu Warszawa AK płk Antoni Chruściel „Monter” wydał rozkaz o mobilizacji żołnierzy AK. Wówczas zapewne por. „Antoni Zawrat”, zanim wyruszył na miejsce koncentracji, sporządził identyfikator dla syna. Rozkaz wybuchu powstania jednak nie padł i po południu 28 lipca alarm został odwołany, a por. „Antoni Zawrat” powrócił do domu. Kilka dni później, 1 sierpnia, stawił się na miejsce kolejnej koncentracji. Tym razem walkę podjęto. Swoją szlak bojowy rozpoczął w rejonie ul. Leszno jako dowódca plutonu w X Zgrupowaniu WSOP. Kilka dni później przeszedł na Stare Miasto, gdzie dowodził plutonem w Batalionie „Bończa”, a po ewakuacji kanałami kontynuował walkę na Powiślu i w Śródmieściu w szeregach I Batalionu Szturmowego „Rum”. Po upadku powstania trafił do niewoli niemieckiej. Do kraju powrócił w 1946 r. Wtedy też odszukał żonę z synem całych i zdrowych. Okazało się,



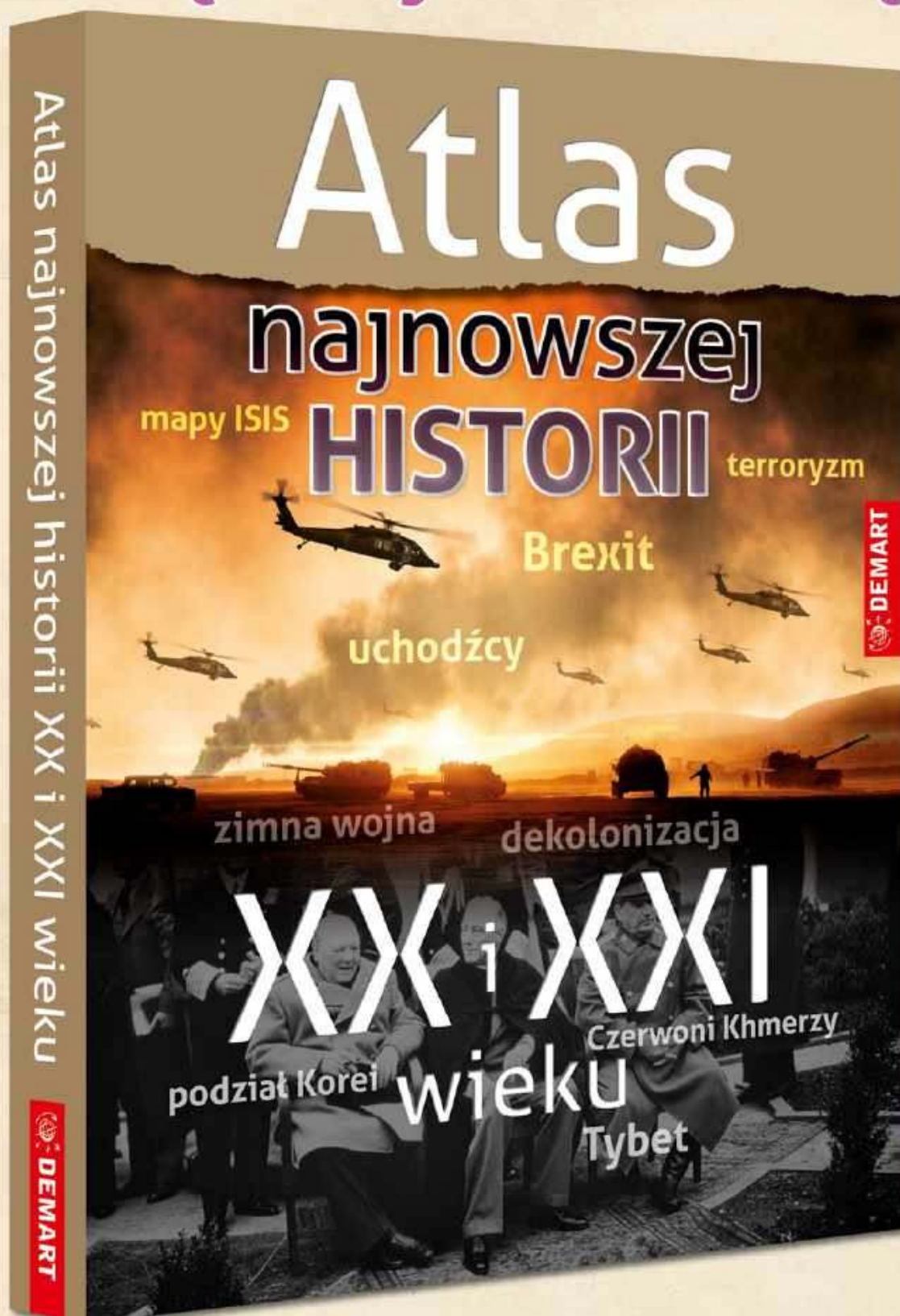
że w czasie powstania zostali wypędzeni z domu na Bielanych przez Niemców. Po czym trafili do obozu przejściowego Dulag 121 w Pruszkowie, skąd zostali wywiezieni w Łódzkę.

Nie wszyscy jednak mieli tyle szczęścia. Wraz z przedłużającymi się walkami powstańczymi przybywało osieroconych i zagubionych najmłodszych warszawiaków. Organizowano dla nich schroniska i przytulki. W akcję pomocy włączył się Polski Czerwony Krzyż, który powołał Biuro Osób Zaginionych. Duże zaangażowanie wykazała również powstańcza administracja cywilna. Własne biura otwierały wydziały opieki społecznej. Przy Departamencie Informacji utworzono specjalny referat oraz rejonowe punkty rejestracyjne, przyjmujące zgłoszenia o zaginionych. Listy z nazwiskami w formie komunikatów rozwieszano w wyznaczonych miejscach. Publikowała je także prasa powstańcza. Tylko do redakcji „Biuletynu Informacyjnego” codziennie napływało niemal tysiąc zgłoszeń o poszukiwanych. Nazwiska zaginionych publikowano również za pośrednictwem radia.

Andrzej, Henryk
WALKOWSKI
ur. 19. IX. 1940
w Zamościu.
akt. urodzenia po-
r. 1941 Zamość w. 447
narodowości: polska
wyznanie: rzymsko-kat.
w wypadku zagi-
nięcia proszę o zawiadomienie:
miejscowość:
rodzina:
WALKOWSKI HENRYK
WALKOWSKA WIKTORIA
Warszawa 32-Bielany
ul. Bogumiła Zuga 34
ciotki:
Walkowska Helena
babki:
Wojnicka Teodora
Zabramskiego Zuzanna
adresy jako wyżej.
konrad...



Nadążamy za historią



www.demart.com.pl

